

MARSZAŁEK
RYSZARD TERLECKI:

RZEŻ
ROSYJSKICH
GENERAŁÓW

TU KAŻDY BŁĄD
KOSZTUJE ŻYCIE
PORUSZAJĄCY
REPORTAŻ Z DONBASU

SPÓR
O PAŁAC KULTURY:
ZBURZYĆ CZY ZOSTAWIĆ

SIECI

ALBO DYSCIPLINA
W ZP, ALBO
WYBORY

SIECI

NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE

Nr 19 (493) 2022
9-15 maja 2022

CENA: 7,90 zł (w tym 8% VAT)

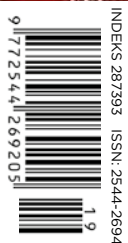


TYLKO U NAS

CZY PUTIN UDERZY

ATOMEM?

CAŁY ŚWIAT PYTA, CZY SFRUSTROWANA
PORAŻKAMI ROSJA **UŻYJE BRONI NUKLEARNEJ.**
I CO ZROBIĆ, BY JĄ POWSTRZYMAĆ

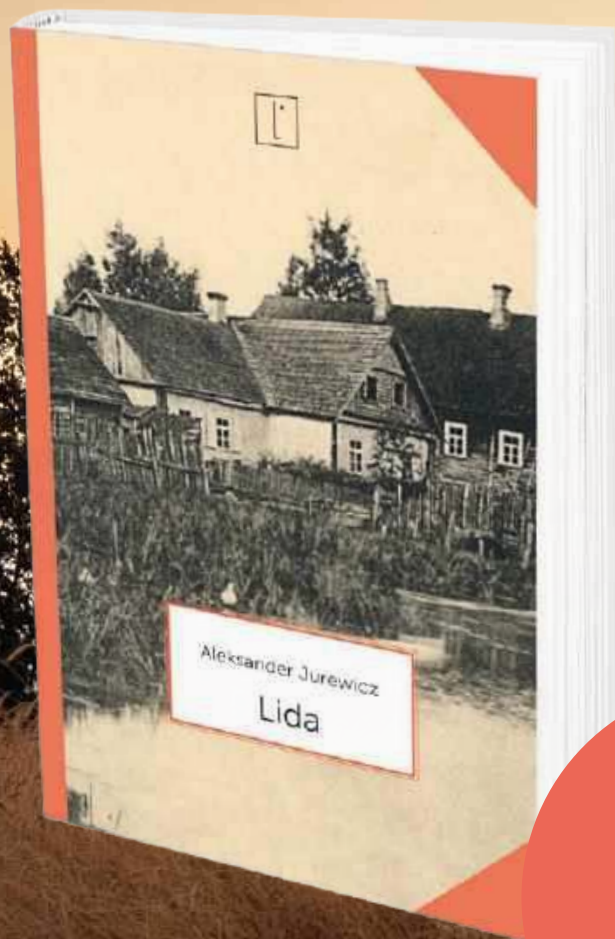


INDICES 287293 ISSN 2544-2694
9 772544 269205

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW
WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI

**wSIECI
HISTORII**



„Lida” Aleksandra Jurewicza to poetycka i pełna melancholii opowieść o „raju utraconym”, miejscu w którym autor urodził się i mieszkał jako dziecko. Całe jego życie zostało potem naznaczone tęsknotą za Lidą, w której zostawił serce i bliskich.

POETYCKA PROZA | NAGRODA CZESŁAWA MIŁOSZA

100
książek
w prezencie

Książkę „Lida” otrzymasz **GRATIS**,
zamawiając roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik **SIECI** i magazyn **HISTORII** za **295 zł**.

Zamów już dziś na: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata



Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o.,
ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16

Historyczna szansa

W przemówieniu z okazji 3 maja prezydent Duda, dziękując Polakom za niezwykłą pomoc okazywaną przez nich Ukraincom, wezwał do odbudowy projektu I Rzeczypospolitej. Nie był to retoryczny ozdobnik historycznej rocznicy, ale wskazanie realnej, choć niezwyklej możliwości, jaka otwiera się dzisiaj dla naszych krajów. I Rzeczpospolita, nazywana Rzeczpospolitą Obojga Narodów, w rzeczywistości była krajem wielu narodów, w tym Rusinów, przodków dzisiejszych Ukraińców.

Agresja Rosji na Ukrainę jest straszna, ale często wojna zmienia zasadniczo stan rzeczy, a więc otwiera nowe możliwości. Zachowanie Polaków wobec Ukraińców przewyrczya historyczne animozje (z obu stron), a jednocześnie ujawnia potrzebę współpracy wobec moskiewskiego zagrożenia. Dotyczy to także innych narodów przynależących kiedyś do I Rzeczypospolitej – przede wszystkim Bałtów, o których wspominał prezydent – i obejmuje wszystkie kraje międzyomorza.

Inwazja Moskwy udowodniła realność zagrożenia dla wszystkich sąsiadujących z nią europejskich krajów. W dużej mierze przygotowały ją jednak działania Berlina, który przekształcił UE zgodnie ze swoimi imperialnymi dążeniami. W wymiarze politycznym Unia umożliwia Niemcom sięgnięcie po status ośrodka globalnej polityki równorzędnego tak wobec chińsko-rosyjskiego układu, jak i Stanów Zjednoczonych. W tej roli Berlin coraz bardziej dystansował się do Waszyngtonu, wobec którego zawsze byłby słabszym aliantem, a więc realnie rozmontowywał atlantycki pakt. Natomiast rozbudowywał relacje z Rosją i Chinami.

Wprawdzie dziś z ociąganiem RFN podąża wreszcie za Stanami Zjednoczonymi i kierowanym przez nich NATO jako całością, ale dzieje się tak wyłącznie z powodu presji opinii publicznej zachodniego świata połączanego na nowo obrazami barbarzyństwa Rosji. Rządzący Niemcami robią to jednak niechętnie i nie wydaje się, aby w dłuższej perspektywie zrezygnowali z projektu Unii jako wehikułu swojej potęgi. In-

wazja Moskwy na Ukrainę początkowo niespecjalnie ich przejęła. Oczekiwali szybkiego zwycięstwa Putina i przygotowywali się do powtórki strategii Angeli Merkel wobec agresji rosyjskiej na Ukrainę w 2014 r., tzn. symbolicznych potępień, mało znaczących sankcji i realnego powrotu do paliwowych układów z Moskwą, które przy narzuceniu radykalnej redukcji CO₂ jeszcze bardziej podporządkowują Europę Niemcom jako dystrybutorowi rosyjskich surowców energetycznych. W tym kontekście szczególnie wymowna była ze strony Berlina sprzedaż broni do Rosji i blokowanie jej dla Ukrainy, w czym zresztą sekundowała im Francja.

W niemieckim projekcie Unii rządzi centrala, a więc głównie Berlin wspomagany przez francuskiego junior partnera, peryferia, do których zalicza się cała Europa Środkowo-Wschodnia są jej podporządkowane, a Ukraina oddana zostaje Moskwie. Nie wydaje się, aby dominujące ośrodki UE zrezygnowały z tego podejścia. Nie odeszły przecież od prób dyscyplinowania niesfornych krajów, zwłaszcza Polski. Blokowanie należnych nam pieniędzy z Funduszu Odbudowy, brak jakiegokolwiek wsparcia dla polskich wysiłków pomocy Ukraińcom są dziś tego wyrazem. To presja, aby w Polsce powołana została władza uległa Berlinowi.

Obecna wojna uświadomiła USA potrzebę powrotu do Europy. Pozostawiona dominacji niemieckiej przestanie być ona realnym sojusznikiem Stanów. Powrót Ameryki jest szansą budowy atlantyckiej osi, która sięgałaby Europy Środkowo-Wschodniej. Polska jako najsilniejszy kraj regionu powinna zacząć tworzyć maksymalnie zintegrowany układ jego państw, który wspierałyby Stany Zjednoczone i Wielka Brytania. Dawałby on nam nie tylko bezpieczeństwo wobec zakusów Moskwy, ale stanowiłby przeciwwagę dla usiłującej zepchnąć nas do podrzędnej roli zachodniej Europy.

To projekt historyczny, który zasadniczo zmieniałby geopolityczny układ, w którym uwięźliśmy od paruset lat. Zderzy się on z radykalnym przeciwdziałaniem sił dominujących dziś w Europie, które posiadają wpływową ekspozyturę wewnątrz naszego kraju. Partia niemiecka, która wymachuje europejskim sztandarem, odwołuje się do zadawnionych kompleksów Polaków, wywołanej nimi mikromanii, a także ojkofohii, którą wykształciły w polskich elitach dekady pedagogiki wstydu. A jednak należy podjąć wyzwanie powrotu do dziedzictwa I Rzeczypospolitej. To historyczna szansa, której nie wolno zmarnować.

Bronisław Wildstein





34

**Z Piotrem Naimskim
rozmawia Agnieszka
Łakoma**



38

**Dogadane
Marek Pyza,
Marcin Wiko**



76

**Wielki tenisista,
mały człowiek
Cezary Kowalski**

NA POCZĄTEK

- 6** SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8** CEZAR I BRUTUSOWIE
Krzysztof Feusette
- 9** AMBASADOR POLSKI
Dorota Łosiewicz
- 10** WOJNA KULTUROWA
NA PODWÓRKU KABARETOWYM
Jan Pietrzak
- 10** PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU
Dominik Zdort
- 11** PYTANIE O EUROPE
Bronisław Wildstein
- 12** WALIZKA KRZYSZTOFA
SKOWRŃSKIEGO
Michał Korsun
- 14** OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki
- 15** PRAWO DO BYCIA ZAPOMNIANYM
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 16** PEŁZAJĄCY ZAMACH
NA UNIĘ EUROPEJSKĄ
Samuel Pereira

WOJNA ROSJI Z UKRAINĄ

- 18** KONTROLOWANA ATOMOWA
ESKALACJA
Jan Rokita
- 22** DLACZEGO GINĄ ROSYJSCY
GENERAŁOWIE?
Marek Budzisz
- 26** TY NIE WIESZ, CO TO ZNACZY
MIEĆ OCZY DOKOŁA GŁOWY
Jakub Augustyn Maciejewski
- 28** Z PROF. RYSZARDEM TERLECKIM
rozmawia Jacek Karnowski
- 34** Z PIOTREM NAIMSKIM
rozmawia Agnieszka Łakoma

KRAJ

- 38** DOGADANE
Marek Pyza, Marcin Wiko
- 42** MIT ROZBITEJ PRAWICY
Stanisław Janecki
- 44** ZBURZYĆ CZY ZOSTAWIĆ?
Konrad Kołodziejczyk
- 47** Z DR. GRZEGORZEM JUSZCZYKIEM
rozmawia Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

- 50** ABSOLUTYSTA WOLNOŚCI
Aleksandra Rybińska

OPINIE

- 54** WZLOT I UPADEK POLITYKI RESETU
Jan Parys
- 58** KIJÓW JAK JEROZOLIMA,
DNIĘPR JAK JORDAN
Grzegorz Górny

SIECI KULTURY

- 61** DŻENTELMEN W KAŻDYM CALU
Jolanta Gajda-Zadworna
- 63** ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM
Piotr Zaremba
- 64** DROGA DO RADOŚCI
Robert Tekieli
- 65** WOJNA CYWILIZACJI
Robert Tekieli
- 66** CZYTANIE JAKO SPORT
EKSTREMALNY
Wojciech Stanisławski
- 68** SKOWYT REWOLUCJONISTY
Bronisław Wildstein

ZDROWIE

- 71** NIKT NIE CHCE ŹŁE SIĘ CZUĆ
debata „Gazety Bankowej”
i tygodnika „Sieci”

SPORT

- 76** WIELKI TENISISTA, MAŁY CZŁOWIEK
Cezary Kowalski

PODRÓŻE

- 78** PRAWDZIWE OBLICZE DUBAJU
Jacek Pańkiewicz

KUCHNIA

- 82** MOJE SZLAKI: MARCIN KYDRYŃSKI
Jolanta Gajda-Zadworna
- 83** SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 84** SKUTKI STRATEGII NA
PRZECZEKANIE
Hanna Karp
- 86** ONI WTEDY ZWYCIĘŻYLI
Alina Czerniakowskai
- 87** RUSKA ONUCA
Piotr Cywiński
- 88** A WSZYSCY PORÓWNUJĄ
Wiktor Świetlik
- 88** SUFLOWANIE
Lech Makowiecki
- 90** TE WIOSNY, TE MAJE...
CO NA PŁÓTNACH,
W STROFKACH ZOSTAJĄ
Leszek Długosz
- 98** PROSTE LICZBY
Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie

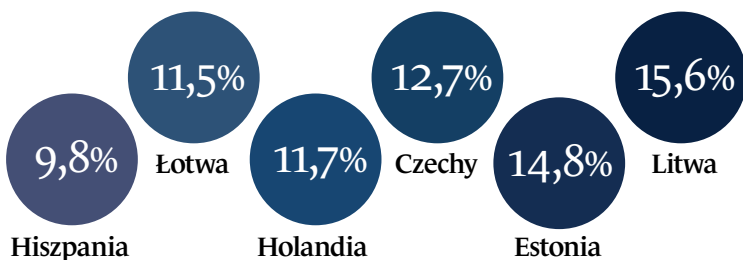


NARODOWY BANK POLSKI informuje:

Podwyższona inflacja, z którą zmagają się polska gospodarka, ma swoje źródła przede wszystkim w czynnikach zewnętrznych, wśród których należy wskazać:

- wzrost cen surowców energetycznych i żywnościowych wskutek rosyjskiej agresji przeciw Ukrainie,
- zaburzenia produkcji związane z kryzysem pandemicznym,
- rosnące koszty transportu.

Zjawisko rosnących cen ma charakter międzynarodowy. **Poziom inflacji – 7,4% w strefie euro w marcu 2022 r. był najwyższy w historii, ale w wielu państwach wzrost cen był jeszcze wyższy:**



W Stanach Zjednoczonych inflacja osiągnęła poziom najwyższy od 40 lat. **Średnia inflacja w Polsce w ostatnich sześciu latach wyniosła 2,9%, a zatem była zgodna z celem inflacyjnym NBP wynoszącym 2,5% ± 1 pkt proc.**

Ograniczenie wzrostu cen wymaga zwiększenia stóp procentowych. **Obecna stopa referencyjna – ustalona przez Radę Polityki Pieniężnej – wynosi 4,50%, co oznacza powrót do poziomu z listopada 2012 r.** Najwyższy poziom podstawowej stopy procentowej za kadencji Prezesów NBP dla porównania wyniósł:

- 36,00% – prof. Hanny Gronkiewicz-Waltz,
- 19,00% – Leszka Balcerowicza,
- 4,75% – prof. Marka Belki,
- 4,50% – prof. Adama Glapińskiego.

W ubiegłym roku Narodowy Bank Polski wypracował niemal 11 mld złotych zysku, z czego 95%, czyli prawie 10,43 mld złotych zasili budżet państwa. **Suma wpłat do budżetu państwa dokonanych w czasie jednej kadencji (6 lat) prof. Glapińskiego jest niemal tak duża, jak łączne wpłaty za dwóch kadencji (12 lat) – prof. Belki i Balcerowicza:**

43,3 mld zł – prof. Adama Glapińskiego,
23,6 mld zł – prof. Marka Belki,
21,5 mld zł – Leszka Balcerowicza.

Sygnalista nadaaje

🔊 Martwiono się ostatnio w okolicach Nowogrodzkiej, czy aby Platforma Obywatelska nie wymieni jednak **Donalda Tuska** na Rafała Trzaskowskiego. Bo choć nikt tam obecnego przewodniczącego nie lekceważy, to garb szkód, które wyrządził Polakom za czasów swoich rządów, jest dziś dla rządzących dużym kapitałem politycznym. Sondaż pracowni Social Changes dla wPolityce.pl przyniósł jednak dobrą wiadomość: Tusk jako lidera opozycji wskazało 29 proc. badanych; prezydenta stolicy zaledwie 10 proc. a więc o trzy punkty mniej niż poprzednio. Holownia otrzymała zaledwie 4 proc. wskazań. Jak widać, nowe ledwo weszło, a już wyszło.

🔊 A Tusk ruszył na chwilę w Polskę i zapowiedział po wyborach zrobienie porządków w sto dni – jak się wyraził – „żelazną miotłą”. Pogroził też w stalinowskim stylu „funkcjonariuszom PiS”, że odpowiedzą karnie. Nasz arcydemokrata zapewnił, że „nie będzie potrzeba jakichś skomplikowanych śledztw”. Paragraf się znajdzie. Nas najbardziej zafrapowały zdjęcia z tych imprez. Partia, która kiedyś kpila z moherowych beretów, dziś gromadzi głównie emerytów, na oko resortowych. Na tym tle wiece Jarosława Kaczyńskiego, Andrzeja Dudy i Mateusza Morawieckiego to przedszkole, co najwyżej zerówka. Co poszło nie tak?

🔊 Pokaż mi swoich przyjaciół, a powiem ci, kim jesteś. Jedną z nich jest niejaka Katarzyna Augustynek, znana jako „babcia Kasia”, która właśnie pogryzła uczestnika warszawskiej antyaborcyjnej pikiety. Jak widzimy na na-

graniu Fundacji „Pro – Prawo Do Życia” w pewnym momencie znana z zakłócania miesięcznic smoleńskich kobieta ruszyła w stronę uczestników pikiety. Wyrwała się interweniującym policjantom. Gdy zbliżyła się do nich, jeden z uczestników pikiety zabrał jej wuwuzelę. Augustyniak zaczęła krzyczeć, by oddał jej własność. „Oddaj mi gwizdek, skur...u” – krzyczała. Gdy słowa nie przyniosły skutku, „babcia Kasia” zaatakowała. Wbiła zęby w ramię jednego z mężczyzn, którzy brali udział w pikiecie. Jaka opozycja, takie bojówki.

🔊 Z równym smutkiem, jak na staczanie się opozycji, patrzymy na finał politycznej drogi Jerzego Buzka, który nawet w dniu narodowego święta Konstytucji 3 maja zasiadł w ławach Parlamentu Europejskiego, by wziąć udział w kolejnym festiwalu niszczenia dobrego imienia Polski. Robi to człowiek, którego do władzy wyniosła Akcja Wyborcza Solidarność, popierana i brniona (fakt, że często z braku innych możliwości) przez polskich patriotów. „Po co to robicie, szczególnie, gdy u polskich granic trwa wojna?” – zapytała organizatorów tego cyrku Beata Szydło. Cóż, być może właśnie dlatego?

🔊 Warto pójść też tropem interpelacji zaproponowanej przez posła PE **Joachima Brudzińskiego**, który tak zwrócił się do większości w PE: „Wasi przywódcy namawiają wasze firmy, by nie likwidować biznesów w Rosji, bo marzą wam się brudne, poplamione krwawą ruble, które wymienie w euro rzekomo już czyste. Tej plamy na honorze już nie zmyjecie. Historia wam tego nie zapomni. Mo-

🔊
Waldemar
Kuczyński,
kolejny
doradca
opozycji, były
minister ds.
przekształceń
własnościowych,
publicysta
i ekonomista,
przypominał, jakie
plany naprawdę
chodzą tam po głowach.
Wypalił: „Albo inflacja
wygaśnie sama, albo ten lub
przyszły rząd będzie musiał
powtórzyć operację typu
balcerowiczowskiego. Usunięcie
z obiegu dużej ilości pieniędzy,
z gwałtownym zahamowaniem
wzrostu gospodarki, spadkiem
stopy życiowej i wzrostem
bezrobocia. Nie ma trzeciej drogi”. Im
te wizje polskiej nędzy chyba po prostu
smakują, budują im poczucie własnej
wartości, są od nich uzależnieni jak
Łukaszenka od kaszy.

zecie próbować ganić Polaków, ale to nasz kraj jest dzisiaj na ustach wolnego świata”. Święta prawda.

🔊 Kłamstwa z Zachodu, kłamstwa ze Wschodu. Obok tych śmiertelnie groźnych zdarzają się kurioza. Białoruski dyktator Łukaszenka stwierdził, że w Polsce, na Litwie i na Łotwie panują takie braki żywnościowe, że mieszkańcy tych krajów nie mają nawet soli. „Zobaczcie co się dzieje z sąsiednimi Litwą, Łotwą, Polakami. O Ukrainie już nawet w tej sytuacji nie mówię. Tacy byli szczęśliwi, wesele, żyli w takim bogatym świecie. U nich wszystko było, u nas nic, a u nich było. I gdzie oni są dziś? Stoją wzdłuż granicy i proszą nas, by ich wpuścić na Białoruś. Żeby mogli kupić przynajmniej kaszę gryczaną. Mniejsza o kaszę. Sól nie mają. O sól nas proszą. A my, jako ludzie szlachetni, otwieramy tę granicę” – mówił. Wywiad kuriozalny, nieprawdziwy, ale nie wątpimy, że niestety są w naszym pozał się boże „establishmencie” ludzie, którzy się i na takie dary z obcych rąk skuszą.

🔊 A tak całkiem serio: lepiej od Łukaszenki i Putina nie brać niczego. To ludzie, którzy nawet gdy wyciągają rękę na powitanie, mogą przy okazji podać ci truciznę. Przekonał się o tym Izrael, który długo udawał, że zbrodni Putina nie widzi. Do czasu. W wywiadzie dla włoskiej telewizji Siergiej Ławrow został zapytany, jak Rosjanie mogą „denazyfikować” Ukrainę – kraj, którego przywódca jest Żydem? Odpowiedział, że „to, że prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski miałby być Żydem, nie ma żadnego znaczenia. Według mnie także Hitler miał żydowskie pochodzenie”. Dodał, że Żydzi są największymi antysemitami. Ten prymitywny antysemityczny bełkot więcej mówi o charakterze moskiewskiej tyranii niż tony naukowych opracowań. Dedykujemy to doświadczenie wszystkim narodom, które ulegają złudzeniu, że mają jakiś szacunek ze strony Moskwy. Nie, ona uznaje tylko relację pan-niewolnik.

🔊 Mając w pamięci opowieść Łukaszenki, zastanawialiśmy się, co poda w tym roku prezydent na przyjęciu dla dyplomatów z okazji 3 maja. Jak nam doniesiono, kasza była, ale w szykownym połączeniu z owocami morza. Była delikatna wołowina i łosoś. Na deser owoce i bezy. W sumie szykownie, ale z klasą, bez przesady. Natomiast faktycznie, soli nie podano.

🔊 Skoro już przy politykach i jedzeniu jesteśmy. Zauważyli państwo, że premier **Mateusz Morawiecki** ostatnio znacznie schudł? Rozwikłaliśmy zagadkę. Przyczyną jest to, że w Kancelarii



Premiera nie podają już placków ziemniaczanych. Były tak pyszne, tak chrupiące, tak smaczne i polane tłustą śmietaną, że szef rządu zamawiał je na obiad trochę za często. A to niestety idzie w boczki. Troskliwi współpracownicy dyskretnie wycofali więc pozycję z menu. I premier od razu stracił na wadze. Wszystko pięknie, ale co to za życie bez placków ziemniaczanych? Dziękujemy za taką władzę.

🔊 Stałą wagę i pozycję trzyma za to **Bronisław Komorowski**. W rozmowie z wPolityce.pl nakreślił ją precyzyjnie: „Gdzieś na skrzyżowaniu między Kosiniakiem-Kamyszem, Hołownią i Gowinem widzę szansę na powstanie formacji opozycyjnej o ideowym podłożu umiarkowanie konserwatywnym” – stwierdził były prezydent Polski. Nam się wydaje, że to mniej skrzyżowanie, a bardziej rondo.

🔊 Gaz do dechy wciska za to Tomasz Lis. „Majówka majówką, ale niektórzy pracują. Plan pokonania autorytarnej władzy właśnie został dopracowany w najdrobniejszych szczegółach” – napisał dziennikarz koncernu z niemieckim kapitałem, dodając zdjęcie z Adamem Michnikiem. Ciekawe czy panowie rozumieją, że publikując takie wpisy powinni jednocześnie zwrócić czytelnikom pieniądze za te dziesiątki okładek na których ogłosili „koniec PiS-u”? Chociaż, może i mają rację, dość nisko oceniając inteligencję swoich odbiorców?

🔊 W międzyczasie Michnik, wraz z drugim publicystą, zgłosił do Watykanu prośbę o wywiad z papieżem Franciszkiem. Biuro prasowe Stolicy Apostolskiej odmówiło rozmowy. Na pocieszenie: każdego z nas, Michnika też, przepyta kiedyś św. Piotr i jeszcze wyższe instancje. ➤

Sprostowanie

W związku z opublikowaniem w tygodniku „Sieci” (wydanie 26/2019) rubryki „Sygnalista nadaje”, wskazuję, że nieprawdziwa jest informacja: „w Sopocie nie uświadczysz polskiej flagi. Są wszystkie: miejskie, wojewódzkie, unijne, ale biało-czerwonej nie zobaczysz”. Flaga biało-czerwoną jest stale eksponowana m.in. przed budynkiem Urzędu Miasta przy ul. Kościuszki 25/27

Prezydent Miasta Sopotu Jacek Karnowski
Adres: ul. Kościuszki 25/27, 81-704 Sopot

Cezar i Brutusowie



KRZYSZTOF FEUSETTE

– *Halo? Pan przewodniczący?*
 – Co jest?
 – *Przepraszam, że dzwonię w środku nocy, ale chciałem zastosować się do wskazówek pana przewodniczącego, iż nie powinniśmy się teraz afiszować z naszą znajomością. Przygotowałem, oczywiście tradycyjne alibi, więc jakby co, to teraz śpię. Albo mdleję.*
 – Aha. To może proszę zadzwonić rano. Najlepiej do psychiatry.
 – *Chwileczkę! Podaję hasło!*
 – No, słucham.
 – *Koń.*
 – Co?
 – *Pa-ta-taj, pa-ta-taj! Ja, koń, ja, koń, jak mnie słyszysz?!*
 – A nie osioł?
 – *Odzew był, że „by się uśmieł!”. Już pan przewodniczący nie pamięta?*
 – Człowieku, ja nie pamiętam, co w zeszłym roku o Angeli mówiłem, to mam każdą łajpę pamiętać?
 – *Ale jak to? Syna pańskiego brońnię przed komisją sejmową, Bąka Józefa...*
 – Bez nazwisk. Już kojarzę. Ale zastanawiam się, chłopie, czemu ty o tej porze nie śpisz? Namierzyli cię?
 – *A skąd! Pegaza Pegazus nie wylapie. Dzwonię, bo mam pomysł. I tak jak było mówione, walę z nim prosto do pana przewodniczącego, z pominięciem „tych idiotów, którzy mogą pana przewodniczącego w d... pocałować”.*
 – Dobra, dwie minuty.
 – *Więc kojarzy zapewne pan przewodniczący głośną akcję, którą rozpocząłem na Twitterze, a parę pożytecznych osób podchwyciło? Że Putin dogadał się z Orbánem i Kaczyńskim na rozbiór Ukrainy?*
 – Sam to wymyśliłeś czy z Moskwy dostałeś?
 – *Nie mogę powiedzieć. Ale redaktor Lis uwierzył. Albo różnie głupa...*
 – U niego trudno odróżnić. Zwłaszcza, że już nic nie może. Kiedyś tort urodzinowy wręczał mi w TVP na żywo, a dziś sam jest jak ta świeczka. Ktoś jeszcze?
 – *Sikorski.*
 – No, tak. Ten wszystko lyknie, i szefowanie NATO, i prawy-bory w Platformie. A co u niego, poza tym, co widać?
 – *No, siedzi w Brukseli i czeka na zgodę.*
 – Na co?
 – *Na wyjazd.*
 – Do Chobielina?
 – *Do Kijowa! Teraz nie wiadomo, czy Bruksela nie chce, żeby im wstąpił już w samolocie narobił, jakby stewardessa była zjawiskowa, czy może to Ukraińcy nie chcą, żeby mu któryś z Kliczków facjatę jeszcze bardziej popsuł.*
 – Czyli jest was trzech? Jak w tej bajce o Koniu, Sikorce i Lisie?

– *A jak to leci?*
 – Koń, Sikorka i Lis chciały popłynąć na Wyspę Węży, ale skończyły, jak krążownik Moskwa...
 – *Ojej...*
 – Prawda?
 – *Tym bardziej trzeba to podrasować. Teraz powie się, że wszystko było dogadane, dlatego po wybuchu wojny PiS nic nie zrobił.*
 – Za mało czasu minęło, ludzie pamiętają...
 – *Jedni pamiętają, inni nie chcą. Zresztą, cóż to dzisiaj znaczy: „coś zrobić”? Takie na przykład Niemcy, to, zdaniem pana przewodniczącego, robią dużo czy mało?*
 – A czemu akurat mnie pytasz?
 – *Przykład taki...*
 – G..., nie przykład! Masz trzy sekundy, żeby mi wytłumaczyć, dlaczego właśnie Niemcy ci się nasunęły!
 – *No, bo...*
 – Co?!

– *Pan przewodniczący był blisko...*
 – Czego?! Tego bagna, w które oni, podkreślam – oni, nie my – nas wszystkich wpakowali?! Ty nie wiesz, jakim ja teraz jestem krytykiem niemieckiej polityki zagranicznej i jej wpływu na sytuację międzynarodową od co najmniej 15 lat? I ty mi, chamie, z Niemcami wyjeżdżasz? To są mendy najgorsze!
 – *Już nie przesadzajmy. W końcu sporo im zarządzamy...*
 – Słucham? Co tam bredzisz pod nosem?
 – *Że dużo...*
 – Posłuchaj, człowieku, że tak powiem bez ogródek: albo zaczniesz mądrzej myśleć, albo trafisz do innej stajni. A teraz kończę, bo muszę na rano przemówienie do Poznania napisać.
 – *To chyba nie do poznania będzie pan przewodniczący...*
 – Kto ma rozpoznać, ten rozpozna. Zresztą, trudno, żebym powiedział coś nowego...
 – *Ostatnio pan próbował.*
 – Hola, hola. Powiedziałem tylko, żebyśmy się nie pozabijali, bo jak się pozabijamy, to będziemy zabici. Rozumiesz?
 – *Ale czy wyborcy to docenią? Wielu ciagle pamięta, jak pan przewodniczący sugerował sznur i galąz dla prezydenta.*
 – Nie ja, tylko poeta! Kto nie skacze, ten za PiS-em, już nie pamiętasz? Wiadomo, że jak wygramy, to się weźmie żelazną miotłę...
 – *I odleci?*
 – Żebyś wiedział.
 – *Dobra, Donek, ty na serio myślałeś, że to Koń dzwoni? Chyba na kuligu, he, he... Grzesiek Schetyna z tej strony. Przechodziłem z tragarzami, to myślę: zadzwonię, żeby ci trochę humor poprawić, zanim, no, wiesz...*
 – Co?
 – *A, nic takiego. Obaj wiemy, że to nie jest rozmowa na telefon. Obaj z Rafałem. Kończę, bo program piszemy. Ciao.*

Wcale nie chodzi o to, że Polacy lubią być głośkami po głowie. Cieszy jednak, gdy okazuje się, że ktoś potrafi zauważyć polskiego ducha i zobaczyć prawdę o nas.

„Polska powinna otrzymać Pokojową Nagrodę Nobla za pomoc ukraińskim uchodźcom” – powiedziała była ambasador USA w Polsce Georgette Mosbacher w odpowiedzi na pytanie polonijnego Radia Rampa o to, jak odbiera polskie zaangażowanie w pomoc Ukraincom uciekającym przed wojną. Mosbacher powiedziała także, że ukraińscy uchodźcy nie trafiają do ośrodków dla uchodźców, ale do polskich domów. „To mówi wszystko o polskim charakterze” – dodała Mosbacher. I trudno się z nią nie zgodzić. Pomysł z przyznaniem Polsce Pokojowej Nagrody Nobla pojawił się już w marcu na łamach „Daily Telegraph”. „Polacy, udzielając niezwyklej pomocy uchodźcom wojennym z Ukrainy, pokazując, że ludzkość ma też zdolność czynienia dobra i nie ma lepszego sposobu na uhonorowanie tego niż przyznanie Polsce Pokojowej Nagrody Nobla” – pisał wówczas korespondent dziennika „Daily Telegraph” Matthew Day.

Wróćmy jednak do ambasador Mosbacher, która w ostatnich miesiącach zdecydowanie lepiej ocenia Polskę, niż gdy tu pracowała. „Polska jest dzisiaj najważniejszym państwem regionu, które koordynuje politykę humanitarną oraz transport broni na Ukrainę. Jesteście w pełnym tego słowa znaczeniu wschodnią flanką NATO, kluczowym elementem architektury bezpieczeństwa kontynentu. Warszawa jest modelowym przykładem stopniowego zwiększania wydatków na obronność oraz modernizacji armii. Niestety, niektórzy nie chcą uznać tego faktu. Unia zajmuje się w tej chwili praworządnością w Polsce i debatuje nad sankcjami. Pora powiedzieć to głośno – jeśli chodzi o problemy z praworządnością, spora część z tego, co docierało na Zachód, była efektem rosyjskiej dezinformacji. Zarówno Unia, jak i Ameryka przyjmowały ją bezkrytycznie” – mówiła była ambasador w marcowym wywiadzie dla portalu Interia,

Ambasador Polski

„Polska powinna otrzymać Pokojową Nagrodę Nobla za pomoc ukraińskim uchodźcom” – powiedziała Georgette Mosbacher

co samo w sobie było niebywałym skandalem. W przegłosowanym dokumencie eurodeputowani wyrazili zadowolenie, że francuska prezydencja w Radzie UE wznowiła przeprowadzanie wysłuchań na mocy art. 7 ust. 1 traktatu. Wezwali też

Radę do zademonstrowania prawdziwego zaangażowania i poczynienia znaczących postępów w celu ochrony wartości europejskich. Podkreślili, że „niewdrożenie przez Węgry i Polskę licznych wyroków Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości i Europejskiego Trybunału Praw Człowieka jest niedopuszczalne”. Europosłowie z PO i PSL laskawie wstrzymali się od głosu, jednak za rezolucją zagłosowali: Marek Belka, Robert Biedroń, Łukasz Kohut, Leszek Miller, Róża Tuhn, Sylwia Spurek i Danuta Hubner. Wyborcy z pewnością dobrze zapamiętają te nazwiska.

Wracając do tematu pokojowego Nobla, to raczej nie zasłużył na takie wyróżnienie papież Franciszek, który udzielił wywiadu włoskiemu dziennikowi „Corriere della Sera”. W rozmowie poruszono temat wojny na Ukrainie. Rozważając powody, dla których zbrodniarz Putin zdecydował się napaść na Ukrainę, papież stwierdził, że jednym z nich mogło być „szczekanie pod drzwiami Rosji przez NATO”. „To złość. Nie wiem, czy została sprowokowana, ale może tak ułatwiona” – dodał.

Te słowa wywołały gorące oburzenie wśród ludzi wierzących i niewierzących. Niestety, usprawiedliwianie rzeźnika i próba tłumaczenia jego zachowania domniemaną winą ofiary napaści woła o pomstę do nieba. Na pocieszenie pozostaje nam to, że dogmat nieomyślności papieża dotyczy wyłącznie kwestii wiary. Niestety, słabe to pocieszenie.

Dorota Łosiewicz



I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Wojna kulturowa na podwórku kabaretowym

Z satysfakcją melduję, że przeskoczyłem poważną barierę egzystencji, mianowicie 85 lat pobytu na tym padole śmiechu i leż. TVP pokazała koncert jubileuszowy, Polskie Radio nagrało koncert muzyczny z udziałem wspaniałych kolegów. No, pięknie. Bardzo dziękuję Prezesom obu instytucji za dostrzeżenie starszaka w branży opanowanej przez młodzież.

W zasadzie szolbiznes jest domeną młodości, i tak ma być. Ciągłe nowa energia, oryginalne mody, świeże pomysły tworzą atrakcyjność tej branży. Co nie znaczy, że starsze roczniki mają być odsuwane złośliwie na boczny tor. W czasach stabilnych, w społeczeństwach psychicznie unormowanych takie mechanizmy same się regulują. My tu mamy jednak nieco spaczoną sytuację, ponieważ sfera kultury jest domeną dzięki walki politycznej.

Wojna kulturowa prowadzona przez środowiska lewackie bywa drastyczna i bezwzględna. Marksizm stracił proletariacką bazę społeczną i szuka nowego rewolucyjnego żywiołu, by demolować tożsamość narodów, dziedzictwo historii, podważać fundamenty społecznych wspólnot, w tym religię. Stąd liczne spektakle te-



**Jan
Pietrzak**

atralne profanujące chrześcijaństwo – stąd w branży rozrywkowej popierane są wątki nihilizacji młodzieży.

W tym kontekście ja ze swoim „kabaretem moralnego spokoju” mam kłopoty lokalowe nie z powodów artystycznych, lecz politycznych. Wojna kulturowa jest strictly polityczna. Liberalne magistraty nie wpuszczają na swój teren moich kpin. Postępowe domy kultury nigdy nie dysponują salą dla moich refrenów. Agenturalni żurnaliści rzucają się na mnie, ujadając jak wataha kundli na skwerku im. Róży Luksemburg. Mają zadanie obszczekać mnie, obsikać i zdemaskować. Za co?

Od lat nie popełniłem żadnych wykroczeń. Za czasy przebyte w PRL złustrowano mnie parokrotnie – mam status pokrzywdzonego. Ale rozjuszone trolle nie wytrzymują nerwowo, że śmiem obchodzić jubileusz. Kiedy śpiewam o szkopach i kacapach, oni wychwalają błogosławione rządy obwiesi i przybijają „żółwki”. A jak słyszą „Żeby Polska była Polską”, wyją, że to nacjonalizm. Wśród trolli rozpoznają po stylu byłych współpracowników. Ale przecież brak talentu nie przesądza, że koniecznie trzeba być świnią.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Wyrok na Elona Muska

W pewnej gazecie, której tytuł porządnym ludziom nie przechodzi przez usta, przeczytałem tekst zapowiadający, co się stanie, jeśli Elon Musk zostanie zgodę na kupno Twittera. Ekscentryczny biznesmen zapowiedział bowiem zniesienie cenzury na tym portalu społecznościowym. Efektem będzie, jak twierdzi autorka tekstu, to, że prawica do przestrzeni publicznej wprowadzi „zdyskredytowane teorie rasowe, teorie o niższości intelektualnej kobiet, deliberacje o wyższości białej rasy, antysemityzm, transfobię, homofobię, dezinformację”.

Tłumacząc na język zdrowego rozsądku: obecnie swoje obsesje i fobie może lansować skrajna lewica, może promować dewiacje, wykluczenie ludzi o innych poglądach, ale kiedy Elon Musk wprowadzi równe szanse w dostępie do Twittera, to będzie koniec świata.

Oczywiście – żeby była jasność – jestem przeciwnikiem antysemityzmu i dezinformacji, ale zakaz debaty na temat możliwości intelektualnych czy fizycznych takich czy innych grup narodowych, rasowych czy płciowych uważam za aberrację. Gdyby Afroamerykanie (proszę o wybaczenie za użycie nowomowy) nie mieli lepszych (bardziej sztywnych) ścięgien, to nie skakałoby wyżej od białych i nie zdominowałyby tak amerykańskiej koszykówki. To nie pogląd, ale raport z badań szwajcarskich

naukowców, który opisała nawet wyżej wspomniana gazeta.

Ale gdyby ktoś napisał, że biali mają przewagę, na przykład intelektualną, nad Murzynami i dlatego dominują na uczelniach w USA, to awantura byłaby wielka i żadnej debaty by nie było. Głosiciel takiego poglądu zostałby pozbawiony szansy na obronę swojej opinii, nikt by mu nie pozwolił przedstawić dowodów, choćby były najbardziej wiarygodne i naukowe.

Problem we współczesnym świecie polega na tym, że jest coraz więcej tematów tabu. Już dyskusja na temat tego, czy sportsmenki trans (byli mężczyźni, którzy stają się kobietami i, co oczywiste, z racji fizycznej przewagi wygrywają) powinny mieć możliwość startu z innymi paniami, nie jest mile widziana, choć jeszcze niektóre prawdziwe kobiety protestują. Już postawienie problemu, czy związek homoseksualistów jest dla narodu, dla społeczeństwa, dla moralności publicznej równie wartościowy jak zwyczajna, przyzwoita rodzina, budzi wątpliwości.

Ale niech Musk spróbuje bronić wolności – choć nie wierzę, że mu się uda. Zbojkotują go, wykluczą, z kancelują, dokonają medialnego linczu.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



**Dominik
Zdort**

BRONISŁAW WILDSTEIN

Pytanie o Europę

Bundestag miażdżącą przewagą głosów zatwierdził wniosek zatytułowany „Obrona pokoju i wolności w Europie – kompleksowe wsparcie dla Ukrainy”. Wezwano w nim do przyspieszenia dostaw ciężkiej broni dla naszych sąsiadów. Minister obrony RFN Christine Lambrecht zapowiedziała dostarczenie Ukrainie 30 ciężkich samobieżnych systemów przeciwlotniczych Gepard. Czyżby Berlin zmienił wreszcie postawę wobec Moskwy, a więc istotny element swojej międzynarodowej polityki? Wniosek taki byłby przedwczesny. Owszem, Niemcy ulegają presji wewnętrznej – czyli własnej opinii publicznej – i sojuszników, głównie USA, ale do zasadniczej zmiany swojej zagranicznej strategii, a tym byłaby ponowna integracja „Zachodu” wobec rosyjskiego imperializmu, do takiej decyzji są one jeszcze daleko. Wymagałaby ona transformacji ich podejścia do projektu Europa i przededefiniowania interesu berlińskiej republiki. Na razie nikt znaczący w Niemczech tego nie proponuje, a więc nie przedstawia alternatywy dla prowadzonej konsekwentnie od co najmniej 30 lat polityki tego państwa.

Utopia zwykle kreuje stan odwrotny od planowanego i intensyfikuje problemy, które miała wyeliminować. Komunizm wzmógł eksploatację klasy robotniczej i przyniósł zniewolenie zamiast emancypacji. Wspólnota europejska, przybierając kształt Unii, odeszła od metody, którą propagowali jej ojcowie założyciele, stała się narzędziem dominacji silniejszych, wzmaga międzynarodowe napięcia i umożliwia niemiecką hegemonię. Generuje więc zjawiska, przeciw którym była powołana.

Kreatorzy utopijnych projektów wyobrażają sobie, że ich społeczna inżynieria doprowadzi wreszcie do realizacji doskonale racjonalnych porządków. Dążąc do tego, niszczą wypracowane przez pokolenia cywilizacyjne mechanizmy ujmujące w karby destrukcyjne namiętności i postawy ludzkie, które ignorują postępowcy.

Demokracja wymaga poczucia wspólnoty, która tonować będzie egoizmy indywidualne i grupowe. Dlatego możliwa jest na skalę narodu. Ponadnarodowy jej wariant zamienia się w karykaturę, bo dominować w nim zaczynają narody silniejsze, które swój partykularny interes narzucają wszystkim jako dobro ogółu. W UE zjawisko to obserwować możemy w stanie klinicznym. Europejscy konstruktywiści nie marzyli o hegemonii niemieckiej, wierzyli, że potrafią odgórnie stworzyć europejską wspólnotę, która przezwycięży narodowe tożsamości. Ich klasyk Altiero Spinelli porzucił komunizm na rzecz europeizmu, a dzisiejsi rzecznicy federa-

lizmu naszego kontynentu to dawni wyznawcy lewicowych utopii. W sumie jednak europeizm w ich wydaniu niewiele się różni od ich dawnych wiar: w obu przypadkach światłe elity mają emancypować, a więc wyzwalać masy z ich tradycyjnej kultury.

Okazało się jednak, że działania te służą najsilniejszemu, który potrafi je przekształcić na rzecz swojego interesu. Tym najsilniejszym był Berlin, którego wyjątkową potencję w skali kontynentu pierwotny projekt wspólnoty miał zneutralizować. W efekcie mamy do czynienia z syntezą ideologicznego projektu z realpolitik, w której zwycięża mocniejszy. Europeizm wprzęgnięty został w imperialną tendencję najsilniejszego narodu naszego kontynentu. Jako junior partner towarzyszą mu Francuzi, którzy ciągle śnią o potędze i swoją podrzędną rolę wobec Niemiec traktują jako przejściową, chociaż wszystko wskazuje, że ten stan rzeczy może się jedynie pogłębiać. Inna sprawa, że swoje nierealizowalne kompleksy mocy próbują odegrać na środkowo-wschodniej części kontynentu. Podobnie zachowują się zdominowane przez lewicową ideologię kraje takie jak Holandia. Dodatkowo wizja uwolnionej od kurateli USA Europy syci ich buzujący zarówno na lewicy, jak i prawicy antyamerykanizm. Europa w tym układzie ma być jednym z ośrodków wielobiegunowego świata równie daleka (i bliska) rosyjsko-chińskiemu blokowi co Stanom.

„Niemiecki projekt integracji europejskiej nie posiada strategicznego sensu przy zachowaniu ideologicznej, wojskowej i geopolitycznej kontroli anglosaksońskiej nad starym światem”. To cytat z artykułu kremlowskiego propagandysty Piotra Akopowa, zatytułowanego „Natarcie [Nadejście] Rosji i nowego świata”, zamieszczonego w internetowym wydaniu rządowej agencji RIA Nowosti. Były ambasador i znawca Rosji Włodzimierz Marciniak w tekście zamieszczonym w miesięczniku „Wszystko co najważniejsze” uznaje, że publikacja tego materiału 26 lutego było fałstartem i efektem wiary Moskwy w szybkie zakończenie wojny. Został on błyskawicznie zdjęty. Jest jednak jednym z rzadkich przykładów nazwania rzeczy po imieniu w niemiecko-rosyjskich relacjach i wskazania charakteru dominacji Berlina w Europie. 





Walizka Krzysztofa Skowrońskiego

radiowca, założyciela Radia Wnet

Walizkę dostałem w prezencie od przyjaciół. Wiedzieli, że dużo podróżuję, bo słuchają Radia Wnet, a moje radio jest ciągle w drodze. Przez 13 lat jego istnienia odwiedziliśmy każdy zakątek Polski, a tam gdzie nie możemy dojechać, tworzymy radiowe studia. Mamy studia w Dublinie, Kijowie, Lwowie, Londynie, Wilnie, Bejrucie, Medellín czy Tajpej. W Medellín i Tajpej jeszcze nie byłem. Praca w radiu jest ciężka, ale ponieważ bardzo ją lubię, czuję się często, jakbym był na wakacjach. Teraz jednak szczególnie czekam na prawdziwe wakacje po rozmaitych lockdownach. Potrzebuję rodziny, słońca i wody.

SPŁNIENIE MARZEŃ RADIOWCA

Mikrofon połączony z telefonem komórkowym i aplikacją tworzą mobilne studio Radia Wnet.

Dzięki niemu, tam gdzie jest internet, z dowolnego miejsca na świecie mogę tworzyć program, dyskusję, wywiad. Np. chodzę po ulicach Budapesztu i łączę się z Bejrutem, gdzie jest nasz

korespondent Kazimierz Gajowy i rozmawiamy. Dźwięk jest w jakości radiowej, do tego na żywo w audycji.

DYKTAFON

Używając go, stale towarzyszy mi natrętna myśl, że w najważniejszym momencie nie starczy baterii, co każdemu z radiowców przynajmniej raz podczas kariery się zdarzyło.

NOTES

Nie notuję w komputerze ani w komórce, ponieważ w tej kwestii jestem tradycjonalistą. Papierowy notes to dla mnie podstawa.

AKCESORIA WAKACYJNE

Kapelusz, okulary przeciwsłoneczne, cygaro i książka. To cztery elementy niezbędne, żeby wypocząć.

Po kąpeli w morzu, na słonecznej plaży czasami palę cygaro podczas dobrej lektury.





SZACHY I KARTY

To także wakacyjne akcesoria. Miło jest z drugą osobą oddać się rozrywce wymagającej pewnego wysiłku umysłowego, jaką są szachy. Karty to pasjans, no chyba że znajdzie trzech chętnych – to wtedy brydż.



MUZYKA

Jurij Jegorow to mój ulubiony pianista. W latach 80., mając 22 lata, został laureatem Konkursu Czajkowskiego w Moskwie. Wyjechał na Zachód na koncerty i został w Amsterdamie.

KGB starało się go ściągnąć do ZSRR, wysyłając do niego błagalne listy o powrót z podrobionym pismem matki, ale Jegorow wiedział, że to by się łączyło tylko z jednym – połamaniem palców.

MASZYNA DO GOLENIA

Po pierwsze jest wygodna, po drugie jest wygodna.



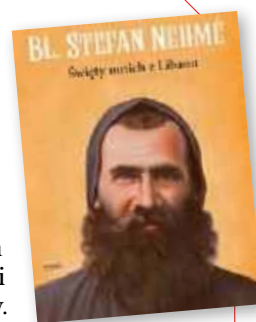
KAMIEŃ

Nie gromadzę specjalnie przedmiotów, ale były dwa takie miejsca, z których postanowiłem sobie przywieźć kamień. Jedno to był Byblos w Libanie, drugie to grecka wyspa Tasos. Leżą w moim ogrodzie i w momentach zadumy lubię na nie popatrzeć, myślami przenosząc się do miejsc, z których pochodzą.



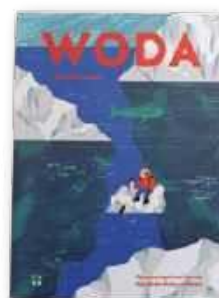
BŁOGOSŁAWIONY STEFAN NEHMÉ

„Zaprzyjaźniłem” się ze Stefanem Nehmé, libańskim maronitą, błogosławionym Kościoła rzymskokatolickiego. Za życia był spokojnym, pokornym mnichem, który po śmierci zaczął dokonywać cudów.



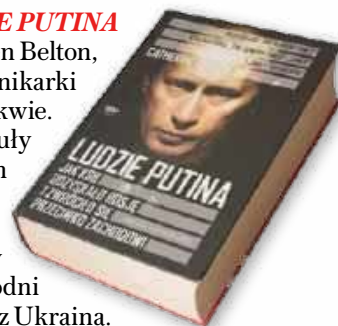
KSIĄŻKA DLA DZIECI

Ponieważ zawsze jeżdżę z dziećmi na wakacje. Siadasz z pociechami na plaży i jakiś towar dla nich trzeba mieć. „Woda” może być takim towarem. Pięknie zilustrowana, przez przypadek napisana przez Annę Skowrońską.



LUDZIE PUTINA

Autorstwa Kathleen Belton, wieloletniej dziennikarki „Financial Times” w Moskwie. Doświadczenia, artykuły i precyzyjny opis tego, czym jest Rosja Putina. Opisuje, w jaki sposób i kiedy KGB przejęło władzę. I to wtedy zaczął się kurs antyzachodni i kurs na wojnę z Ukrainą.



INTERNAT

Serhij Żadan, ukraiński pisarz przebywający teraz w Charkowie, opisał wojnę w Donbasie. Bohaterem jest mężczyzna, który przedziera się przez miasto opanowane przez Rosjan, żeby zabrać z internatu swojego siostrzeńca. Bardzo polecam.



GAZETA

Czytam tygodnik „Sieci”, ale gdy wyjeżdżam na dłużej, to muszę mieć miesięcznik. „Kurier Wnet” to duża, ładna gazeta.



Wysłuchał i zapisał **Michał Korsun**

OGNIEM NA WPROST

„Soldatuszki brawo rebiatuszki”



Rosyjska propaganda przechodzi już samą siebie. Tym razem agencja informacyjna RIA Novosti podała, że w zdobytej kwaterze ukraińskiego wojska w miejscowości Trochizbienka w obwodzie ługańskim znaleziono znaki czarnej magii. Podejrzania wzbudził malunek na ścianie, który propagandyści uznali za satanistyczną pieczęć. Potwierdziła to cytowana w komunikacie agencji jakaś kremłowska „kulturolog”, która uznała znak za magiczną pieczęć ciemnych sił, łączącą w sobie symbolikę anarchistyczną i faszystowską. Zdaniem tzw. ekspertów cytowanych przez RIA, Ukraińcy mogli tam „odprawiać rytuały uświęcające broń lub prosić o przymnożenie broni”. W tej kwestii powinien wypowiedzieć się patriarcha Cyryl, który z mocy religijnego autorytetu wmawia w tępe głowy „orków”, że jest to wojna dobra ze złem, czyli Boga z szatanem. Powstaje tylko pytanie – czy kremłowski bóg to nie przypadkiem ziemskie wcielenie Lucyfera...

Ale z odpowiedzią na to pytanie ma problemy sama głowa Kościoła katolickiego papież Franciszek. Jego zdaniem „szczekanie pod drzwiami Rosji przez NATO” spowodowało złość Rosji i Putina. „Nie wiem, czy została sprowokowana, ale może tak ułatwiona” – dodał papież. Wyznał również, że nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, czy słuszne jest dostarczanie broni Ukraińcom. Jednym słowem namiestnik Chrystusa na ziemskim padole niewiele wie, co się wokół niego i na świecie dzieje. Codo „szczekania NATO” to sądzę, że w miarę adekwatne w tym miejscu będzie stwierdzenie, że zachowanie Jezusa z Nazaretu spowodowało reakcję Sanhedrynu. Nie wiem czy sprowokowało, ale może ułatwiło.

WBalakliji w obwodzie charkowskim dwaj rosyjscy wojskowi weszli na prywatną posesję i ukradli alkohol. Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. „Orki” swój wyczyn nagrali kamerą. Ale nie byłoby powodu do tego, żeby „soldatuszki brawo rebiatuszki” (żołnierzyki dzielne chłopaki – jak głosiła piosenka jeszcze z czasów carskich) trafiły tylko z tego powodu na łamy tej rubryki. Ale było jeszcze coś oprócz ukradzionej wody. Otóż „soldatuszki” buchnęły z plądrowanego mieszkania dodatkowo dziecięcy plecak i garnek. Nie trzeba dodawać, że pozostawili po sobie wręcz niewiarygodny chlew. Ukraińskie media natychmiast spuentowały wydarzenie nazywając akcję „napadem stulecia”.

Mongoł lub Kałmuk – sądząc ze zdjęcia – niejaki starszyna (sierżant) Petr Zacharow zgubił swoją komórkę na polu bitwy w Buczy. Należał do plutonu zwiadu 64. Brygady Strzelców Zmotoryzowanych, której żołnierze masakrowali pod Kijowem ukraińskich cywilów. Telefon sierżanta zawiera 13 GB zdjęć, filmów i różnych dokumentów, w tym adres i numer telefonu dowódcy brygady (w nagrodę awansowanej po masakrze w Buczy do gwardii) płk. Azbeka Omurbeka i jego żony Jekateriny, która także służy w armii. Jak ktoś chce zadzwonić z „gratulacjami”, podaję numer: +79143948515, ale wątpię żeby odebrał. Przy okazji filmiki nagrywane przez niego wiele mówią o mentalności rosyjskiego żołdaka. Widać na nich, jak bił z pięści podległych mu żołnierzy, którzy meldowali o róż-

nych problemach. Sierżant lubił też popić z teściową. Później wesoło śpiewali i tańczyli w kuchni. W telefonie miał też serię filmów dokumentujących seks z żoną. „Obrzydliwych i wywołujących mdłości” – relacjonują wywiadowcy z SBU i dziennikarze zajmujący się demaskowaniem zbrodniarzy wojennych z portalu InformNapalm. „Soldatuszki brawo rebiatuszki, gdzie waszy żony?” – pada pytanie w piosence: „Nasze żony francom zarażony, wotgdie naszzy żeny” (franca – choroba weneryczna, syfilis).

Wobwodzie kaliningradzkim panika. Odcięty praktycznie od świata i mateczki Rosji rejon przeżywa kryzys. Bilety lotnicze zdrożały o 30–60 proc. ze względu na przymus latania trasami okrężnymi, gdyż sąsiadujące państwa zamknęły przestrzeń powietrzną dla Rosjan. Plajtują firmy, a jedna z największych – Avto-tor, czyli montownia auta marek BMW, Kia i Hyundai, ogłosiła niedawno, że wysła pracowników na urlop do 23 maja. Koreańczycy nie przysyłają już części samochodowych. Jeszcze gorzej wygląda sytuacja z BMW. Wśród ludności szerzą się plotki, że po ulicach chodzą już polskie patrole z bronią maszynową, bo NATO wkracza, żeby zająć obwód. „Polacy z karabinami maszynowymi nie chodzą tu po ulicach – uspokaja gubernator Anton Alichanow, odwracając kota ogonem. – Czytam prasówki z polskich mediów i po prostu myślę: co to za pranie mózgu! Biedni są ci Polacy, którzy w to wierzą” – powiedział, po czym udał się sprawdzić, czy zgodnie z rozporządzeniem ludność na działkach sadzi sałatę, bo i z zarciem może być krucho. Nie jest źle. Oni też się boją.

Andrzej Rafał Potocki

Prawo do bycia zapomnianym



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Rozwój technologii i gwałtowne przyspieszenie przepływu informacji spowodowały, że dane zamieszczone w internecie niejednokrotnie są rozpowszechniane wbrew woli osoby, której dotyczą. Wirtualnej rzeczywistości coraz większego znaczenia nabiera problem zapewnienia ochrony prywatności użytkowników sieci w równowadze z wolnością wypowiedzi. Od 2018 r. w polskim porządku prawnym obowiązuje rozporządzenie 2016/679 w sprawie ochrony osób fizycznych w związku z przetwarzaniem danych osobowych i w sprawie swobodnego przepływu takich danych, nazywane RODO.

Zgodnie z przepisem art. 17 RODO osoby, których dane są przetwarzane, mają prawo do zgłoszenia administratorom tych danych żądania ich bezzwłocznego usunięcia. Warto pamiętać, że opisane prawo do bycia zapomnianym może mieć zastosowanie jedynie w odniesieniu do firm działających na terenie państw członkowskich UE. Administrator jest zobowiązany usunąć dane, jeśli zostanie spełniony jeden ze wskazanych w rozporządzeniu warunków, m.in.: dane osobowe nie są już niezbędne do celów, w których zostały zebrane lub w inny sposób przetwarzane; osoba, której dane dotyczą, cofnęła zgodę, na której opiera się przetwarzanie; osoba, której dane dotyczą, wnosi sprzeciw na mocy art. 21 ust. 1 wobec przetwarzania i nie występują nadrzędne prawnie uzasadnione podstawy przetwarzania lub osoba, której dane dotyczą, wnosi sprzeciw na mocy art. 21 ust. 2 wobec przetwarzania.

Obowiązek usunięcia dotyczy także wszystkich kopii oraz wszelkich odnośników do tych danych, o ile nie będzie się to wiązało z koniecznością użycia nadmiernych środków technicznych oraz z dużymi kosztami.

Geneza aktualnej unijnej regulacji dotyczącej ochrony danych osobowych ma swój początek w orzeczeniu Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości w sprawie obywatela Hiszpanii, który żądał od hiszpańskiego urzędu oraz hiszpańskiego oddziału operatora najbardziej znanej wyszukiwarki internetowej usunięcia linku do stron, na których umieszczone były nieaktualne informacje dotyczące licytacji jego nieruchomości z powodu zadłużenia, które zostało już spłacone. Trybunał uznał, że wszyscy operatorzy wyszukiwarek internetowych (działający na terenie UE) są administratorami danych osobowych i wobec tego nakazał usunięcie wszelkich linków odnoszących się do danych osobowych związanych ze skarżącym i jego dawnym zadłużeniem.

W 2021 r. zapadło orzeczenie ETS, w którym Trybunał nakazał usunięcie z internetowego archiwum gazety tekstu dotyczącego sprawcy, który odbył karę za przestępstwo i uległo ono zatarciu z mocy prawa.

Najnowsze orzecznictwo polskiego wymiaru sprawiedliwości potwierdza, że przepisy RODO mogą mieć zastosowanie także do artykułów prasowych dostępnych w internecie. Pewien obywatel złożył skargę do prezesa Urzędu Ochrony Danych Osobowych, zarzucając niezgodne z prawem przetwarzanie

jego danych w artykułach na stronie internetowej czasopisma oraz nieuzasadnioną odmowę ich usunięcia przez redaktora naczelnego. Wskazany organ umorzył postępowanie, twierdząc, że w odniesieniu do działalności dziennikarskiej nie mają zastosowania przepisy o ochronie danych osobowych. Zgodnie z art. 2 ust. 1 ustawy o ochronie danych osobowych do działalności wskazanej w prawie prasowym nie stosuje się pewnych regulacji RODO, ale katalog ten nie obejmuje normy ustanawiającej prawo do bycia zapomnianym (prawo do żądania usunięcia danych).

Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie orzekł, że osoba fizyczna powinna mieć prawo do tego, by jej dane zostały usunięte i przestały być przetwarzane, jeżeli nie zachodzą wskazane w przepisach ustawy przesłanki. W związku z powyższym zdaniem WSA prezes UODO nie powinien uznawać skargi za bezprzedmiotową, tylko merytorycznie ją rozpatrzyć. Sprawa będzie miała zatem swój ciąg dalszy i być może przyczyni się do ugruntowania w praktyce takiej wykładni przepisów, która skuteczniej zagwarantuje prawo do prywatności w internecie, a w szczególności prawo do bycia zapomnianym na łamach wirtualnych periodyków.

Z głębokim żalem przyjąłem wiadomość o śmierci

Śp. Józefa Leśniaka Wicewojewody Małopolskiego

Żegnamy Człowieka nie tylko obdarzonego mnóstwem talentów, ale również Człowieka, który czynił wszystko, aby te talenty pomnożyć i oddać w służbie innym ludziom.

Na wszystkich polach swojej działalności i pracy wykazywał się ogromnym zaangażowaniem.

Nigdy nie zapomnimy o Jego gorliwej działalności samorządowej i państwowej. Radny powiatu, poseł na Sejm RP VIII kadencji, członek Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy, wicewojewoda – to tylko kilka funkcji, które Śp. Józef Leśniak piastował z godnym podziwu oddaniem.

Dziękuję Panu Józefowi za Jego wieloletnie starania na rzecz budowy lepszej Polski – silnej i suwerennej.

**Rodzinie i bliskim Zmarłego
przekazuję wyrazy współczucia.**

Mateusz Morawiecki

Pełzający zamach na Unię Europejską

Ten rok pozbawia nas złudzeń. Wartości europejskie są wtedy, gdy budujemy z Rosją gazociąg wbrew interesom naszych unijnych sąsiadów, finansujemy rosyjskie wojny i sprzedajemy Kremlowi broń, jednocześnie urządzając Polsce regularnie seanse nienawiści czy blokując środki unijne dla niej i dla ukraińskich uchodźców. Czy ktoś jeszcze pamięta, jak w grudniu 2020 r. Rada Europejska przyjmowała budżet unijny w towarzystwie haseł o potrzebie solidarnej i realnej pomocy wobec pandemicznych wyzwań? Minęło półtora roku i jakby kryzys covidowy przestał być argumentem.

Unia Europejska zbudowana na wartościach, które zapewniają Europejczykom wolność i bezpieczeństwo, w ciągu ostatnich lat jest regularnie z tych wartości okradana. Nie da się dziś ze szczerym przekonaniem mówić o solidarności unijnej jako realnej wartości dla naszej wspólnoty, skoro wiodący kraj UE, czyli Niemcy – którzy swoją potęgę opierają na kradzieżach, morderstwach, zniszczeniach i gwałtach okresu II wojny światowej, czemu nie zadośćuczynili do dziś – znów



Samuel Pereira

postawił na siłę kosztem sąsiadów i na antyeuropejski gazowy deal z Rosją. Co więcej, to porozumienie w swoim założeniu wymierzone w Polskę i kraje bałtyckie miało patronat brukselski jako „projekt unijny”. Teraz z kolei podważane są prawa obywateli naszego kraju, w tym jedno z podstawowych, czyli prawo do wolnego wyboru władz i przeprowadzania reform. I nie chodzi tu o to, czy one są dobre, czy złe, bo o tym decydować powinni Polacy, a nie inne kraje UE.

Te wszystkie szykany, procedury, sankcje i groźby wysuwane wobec naszego kraju, w czasie gdy prowadzone były najbrudniejsze interesy z Moskwą, to jest prawdziwa twarz współczesnej UE, która wymaga gruntownej reformy. Ci sami, którzy powtarzają hasła o „wartościach europejskich”, działają przeciwko nim. Prym wiodą tutaj Niemcy, którzy w prawie wszystkim co robią, są ich zaprzeczeniem. Co może się stać, gdy zrobią następny krok i zamienią unię suwerennych, równych sobie państw w federację pod niemieckim zarządem? Na pewno nic dobrego. **✓**

Autor jest szefem portalu tvp.info

Zimna sprawa na upalny maj

Katarzyna Bonda, pisarka

Mistrzyni kryminalów idzie tej wiosny niczym mroźna burza. Miesiąc po premierze książki „O włos” – inicjującej nową serię i bohatera Jakuba Sobieskiego – tak zapowiedziała na FB kolejny kryminal z Hubertem Meyerem:

Ci, którzy przeczytali „Bałwierz”, wiedzą, że profiler jest w kompletnej rozsypce i ostrych tarapatach. Ale zło czai się wszędzie. Tym razem zabieram Was do Poznania, a dokładniej na piękny, elegancki Solacz, gdzie przed laty zniknęła cała rodzina (tytułowy cold case).

Tuż przed majowym weekendem zdążyła spotkać się z czytelnikami m.in. w rodzinnym Białymstoku. Napisała na Instagramie:

Podlaska kraina zawsze będzie bliska memu sercu. Tak miło było Was zobaczyć!!! (oraz pożreć babkę ziemniaczaną).

Przyznana jej statuetkę Fundacji Rak'n'Roll skomentowała:

Mam cichą nadzieję, że moje kryminały przegonią raka, dadzą relaks i potrzebny oddech wszystkim, którzy mieliby ochotę zanurzyć się w fikcyjny świat i znaleźć w nim siłę do walki.

Wydarzenia realnego świata przywołała, cytując fragment wywiadu:

Pojawił się we mnie lęk, gdy rozpoczęła się pandemia. Potem nastał marazm. Gdy wybuchła wojna, byłam przerażona. Nadal jestem. [...] praca jest jedynym sposobem, żeby zachować resztkę siebie.

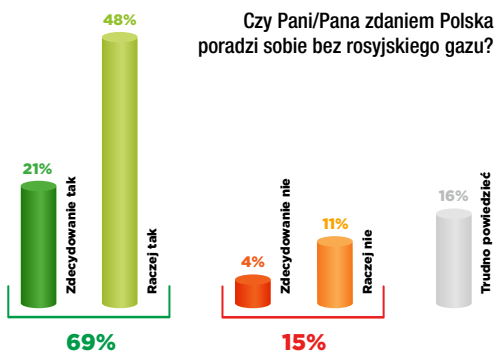
Przed Wielkanocą życzyła czytelnikom:

Cieszymy się tym, co mamy: dachem nad głową, własnym łóżkiem, pracą, którą Kochamy. Swoim miejscem na ziemi, w którym panuje cisza i możemy słuchać rano śpiewu ptaków.

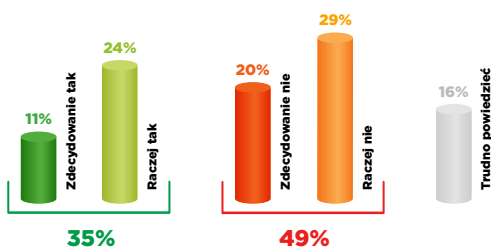
Oprac. JGZ



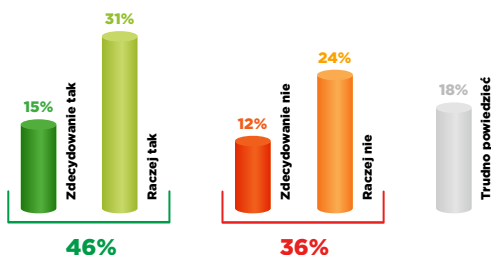
pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**



Czy popiera Pani/Pan poszerzenie prawa do posiadania broni przez Polaków?



Czy zgadza się Pani/Pan z opinią, że wojna na Ukrainie „to nasza wojna”?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1074.

Zakres czasowy badania 29 kwietnia–3 maja 2022 r.

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYŚŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWINSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARŃOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA,
MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA ŁABĘCKA@FRATRIA.PL
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PREENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECIOPRAWDY.PL

WPLAT ZA PREENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁĘKI ORAZ RODZAJ PREENUMERATY

PREENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PREENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PREENUMERATA.RUCH.COM.PL.

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI,
MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI,
JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ
POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA
RYBIŃSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIEŚLIK,
BRONISŁAW WILDESTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT,
ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOŹNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DĄBROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAŻ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JEZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMÓWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI, ALEKSEJ NIKOLSKIJ/
SPUTNIK, RUSSIAEAST NEWS, SHUTTERSTOCK/SUGABOMB, ROMOLO TAJANI, GETTY, PHOTOCD
MICHAŁ BEDNAREK

KONTROLOWANA ATOMOWA ESKALACJA

Pytanie: czy, kiedy i w jakich okolicznościach Rosja użyje broni nuklearnej dla zyskania w końcu decydującej przewagi w wojnie z Ukrainą, stawiane jest na całym świecie



JAN ROKITA

Każda wojna z Rosją zawsze będzie mieć charakter niejawnie nuklearny”. Jako coś w rodzaju politycznej i militarnej oczywistości to stwierdzenie pada w opracowanym dwa lata temu raporcie instytutu CNA (Center for Naval Analyses), sporządzonym dla amerykańskiej armii. CNA to silny finansowo i intelektualnie think tank, istniejący przy dowództwie US Navy i utrzymywany z budżetu federalnego. Zaś ów raport powstał w czerwcu 2020 r., krótko po tym, jak w Moskwie ogłoszone zostały nowe „Zasady polityki państwowej Federacji Rosyjskiej w sferze odstraszenia nuklearnego”.

Dwójka głównych autorów raportu – Michael Kofman i Anya Fink – postawiła sobie za cel objaśnienie głębokiej różnicy pomiędzy podejściem do użycia taktycznej broni nuklearnej, jaka wyłania się z owego rosyjskiego dokumentu, a utrwaloną doktryną nuklearną obowiązującą w USA.

Ujmując rzecz najkrócej: istotą owej różnicy jest to, że o ile w Waszyngtonie uznaje się broń jądrową za zwiastun armagedonu, którego należy uniknąć, to w Moskwie użycie taktycznej broni

nuklearnej traktowane jest jako zwykły środek zarządzania konfliktem zbrojnym. Mówiąc precyzyjnie: „zarządzania eskalacją konfliktu zbrojnego w celu jego deeskalacji”, jak ujmuje to rosyjska doktryna nuklearna.

STAN GOTOWOŚCI

Czytanie po dwóch latach tamtego rosyjskiego dokumentu, zatwierdzonego wówczas i podpisanego przez Putina zapewne z myślą o planach wojny z Ukrainą, jest w dzisiejszych okolicznościach rzeczą niesłychanie ciekawą. Po przeszło dwóch miesiącach od wybuchu wojny wschodniej coraz jaśniejszym się bowiem staje, że wojna ta zapowiada się na dłużej, a determinacja i nieustępliwość jej trojga głównych aktorów wzrosła i raczej nadal będzie rosnąć.

Ukraina zyskuje coraz mocniejszą nadzieję na to, że nie tylko obroni niepodległość, ale nawet odbije siłą zdobyte przez okupanta terytoria. Rosja, po początkowych zaskoczeniach i porażkach, dość precyzyjnie zarządza eskalacją, każdego dnia pokazując, iż nie tylko dysponuje środkami do zrujnowania całej infrastruktury państwa ukraińskiego, ale również zamierza używać ich z coraz większym nasileniem. Z kolei Ameryka przełamała pierwszy strach przed groźbą totalnego rosyjskiego odwetu i przystąpiła do faktycznej militarnej integracji Ukrainy z NATO, próbując pokonać Rosję na polu bitwy, za pomocą symbiozy ukraińskich żołnierzy i natowskiej technologii wojennej.

W takich okolicznościach ów „niejawnie nuklearny” (przynajmniej jak dotąd) charakter wojny wschodniej staje się oczywistością. A pytanie: czy, kiedy i w jakich okolicznościach Rosja użyje broni nuklearnej dla zyskania w końcu decydującej przewagi, stawiane jest na całym świecie. Przede wszystkim sam Putin, bez wielkich niedomówień, już kilkakrotnie zapowiadał, iż jeśli za sprawą zachodnich dostaw broni opór Ukraińców będzie się rozogniać zamiast gasnąć, to użyje wszystkich środków, którymi „żaden kraj z góry się nie chwali”. Na Kremlu zresztą został przeprowadzony piarowski spektakl, podczas którego władca nakazał swemu ministrowi postawienie „sił strategicznego odstraszenia” w stan gotowości.

W zachodniej Europie o możliwości użycia broni jądrowej przez Rosję dyskutuje się co prawda cały czas, ale (przysiąc trzeba) jest to dyskusja dość jałowa, jako że argument ów używany jest jako straszak ze strony tych, którzy woleliby widzieć szybką i miękką kapitulację Kijowa. Tak jak np. ostatnio liczni niemieccy pisarze i intelektualiści, grożący własnemu kanclerzowi, iż to on poniesie moralną winę za wojnę jądrową, jeśli zamiast skłonić Zelen-skiego do ka-

pitulacji, będzie dostarczać mu niemiecką broń. Użycie broni atomowej przeciw Ukrainie uznał ostatnio za „rzecz w obszarze możliwości” sekretarz generalny ONZ António Guterres, zazwyczaj powściągliwy w stawianiu radykalnych hipotez. Podobnie jak prezydent Zelenski, który nie kryje, iż taki wariant zdarzeń bierze bardzo serio pod uwagę.

Ostatnio, przy okazji obchodów w Szwajcarii Światowego Dnia Wolności Prasy, pokojowy noblista i szef zamkniętej właśnie w Rosji „Nowej Gazety” Dmitrij Muratow opowiedział o nowej i wyraźnej zmianie tonu rosyjskiej propagandy, gdy idzie o atom. „Od dwóch tygodni słyszymy z ekranów naszych telewizorów, że należy otworzyć silosy nuklearne” – mówił Muratow. „I słyszymy, że ta okropna broń powinna zostać użyta, jeśli dostawy broni na Ukrainę będą kontynuowane”. Telewizja Rossija 1 pokazała nawet swoim widzom symulację podwodnego ataku nuklearnego na Morzu Północnym, w efekcie którego potężne tsunami zmiata z ziemi Wyspy Brytyjskie, na co szczególnie oburzyła się Irlandia.

Jeszcze w kwietniu o dużym zaniepokojeniu rządu USA scenariuszem atomowym na Ukrainie mówił szef CIA William Burns. Co szczególnie ciekawe, wzrost ryzyka nuklearnego na Ukrainie Burns był skłonny przypisywać potencjalnej desperacji Putina. To dość typowy ostatnio pogląd, popularny także





Pociski balistyczne Iskander mogą zostać użyte jako nośniki ładunków jądrowych

w mediach, iż jeśli broń atomowa została użyta na Ukrainie, to tylko dlatego, że władca Rosji miał ponoć już wpaść w stan frustracji, wściekłości czy nawet czarnej rozpacz, a to z tego powodu, iż nie jest w stanie łatwo i lekko osiągnąć swoich celów na Ukrainie. Więc jako tonący może się nawet brzytwy chwycić.

ROSYJSKA „DRABINA ODSTRASZANIA”

Być może rosyjski prezydent istotnie jest rozeźlony tym, iż Zelenski nie uciekł na wieść o inwazji, Kijów nie poddał się rosyjskim zagonom pancernym, a rosyjska dywersja i agentura na Ukrainie okazała się w sumie tak mało warta. Jeśli jednak czytać uważnie rosyjską doktrynę atomową z 2020 r., to trudno uznać łączenie owych domorskich diagnoz stanu ducha władcy Rosji z hipotezą uderzenia nuklearnego za coś więcej, niżli niezły antyputinowski

czarny PR, łatwo sprzedający się na medialnym rynku. Nie przypadkiem autorzy wspomnianego raportu CNA – analizując ów krótki, zaledwie sześciostronicowy rosyjski dokument, ale także wcześniejszą profesjonalną debatę na jego temat toczącą się w zamkniętym kręgu rosyjskich ekspertów od bezpieczeństwa – dochodzą do takiej oto konkluzji: „Odkryliśmy, że rosyjski establishment wojskowy rozwinął dojrzałą doktrynę odstraszenia i spójną strategię zarządzania eskalacją, integrującą broń konwencjonalną i jądrową”.

Wedle owej doktryny każda wojna, którą będzie prowadzić Rosja musi zakładać regułę samoograniczenia. Zasadniczym rdzeniem idei strategicznego odstraszenia jest bowiem umiejętność stopniowego zwiększania nacisku militarnego w toku trwającej wojny. Ekspert CNA idą nawet tak daleko, że rosyjski koncept zarządzania eskalacją traktują w ogóle jako znak

szczególny rosyjskiej doktryny nuklearnej, co ich zdaniem zasadniczo różni ją od doktryny amerykańskiej, skoncentrowanej na efektywnym planowaniu samych działań wojennych. W ten sposób pojawia się „drabina odstraszenia”, która od początku wojny zakłada jednocześnie, coraz ostrzejszą grę zarówno za pomocą środków konwencjonalnych, jak i nuklearnych.

Faktyczne użycie atomu zaczyna się już na etapie zastraszenia wroga (устрашение). Celem tej fazy wojny jest wyraźne zakomunikowanie wrogowi, iż Rosja nie tylko posiada środki, ale ma też determinację, aby dokonać destrukcji elektrowni jądrowych i wodnych, zakładów przemysłu chemicznego czy naftowego, tak by zrujnować życie ludności kraju i wywołać wielkie straty ekonomiczne. Jeśli ma się tego świadomość, to zupełnie inaczej patrzy się choćby na ostentacyjne prowokacje wojskowe wokół elektrowni w Czarno-

byli i Zaporozu, które ku zdumieniu i grozie świata z premedytacją przeprowadzała dopiero co armia rosyjska. Przestają one jawić się jako jakieś rosyjskie szaleństwo, a stają się częścią racjonalnego i opisanego wcześniej planu устрашения.

Drugi, właściwy etap odstraszania z użyciem atomu polega już na kontrolowanym i ograniczonym użyciu siły (силовое сдерживание, o którym tak często lubi mówić Putin). Ten etap może przybrać charakter wyłącznie konwencjonalny, ale wtedy – inaczej niż w fazie zastraszania – niszczone mają być kluczowe obiekty dla gospodarki i armii, jednak cele mają być wybierane tak, aby minimalizować zarówno skalę ofiar cywilnych, jak i ryzyko niezamierzonej eskalacji. Tylko w ciągu jednego dnia – 3 maja 2022 r. Kijów potwierdził fakt rosyjskich ataków powietrznych na 50 [sic!] obiektów, takich jak stacje kolejowe, elektrownie, magazyny paliw czy punkty przeładunkowe broni dostarczanej z zagranicy na Ukrainę. Zaognianie wojny jest procesem kontrolowanym. Więc o groźbie dla tam rzecznych, elektrowni jądrowych czy fabryk chemicznych nie ma tu już mowy; takie rzeczy były dobre wtedy, gdy szło tylko o wywołanie efektu zastraszania.

A nie, gdy wróg ma już teraz realnie doświadczyć kontrolowanej, ale rosnącej z dnia na dzień fali zniszczenia jego podstawowej infrastruktury.

I tu właśnie zgodnie z rosyjską doktryną atom wchodzi do gry nie jako groźba, ale jako realny użytek. Doktryna „силового сдерживания” nakazuje użyć taktycznych pocisków jądrowych wspólnie z, a nie zamiast broni tradycyjnej, ale – co kluczowe w tej kwestii – „dla celów demonstracyjnych”. Taktyczna broń jądrowa jest tu zatem traktowana nadal jako część bardzo szeroko rozumianego przez rosyjskich strategów „odstraszania”. Jej użycie nie ma na celu zniszczyć wroga, ale skłonić go do politycznej uległości. Jeśli więc uzbrojona w mały ładunek atomowy rakiet Iskander albo Kalibr spadnie pewnego dnia na Ukrainę, to może to będzie gdzieś na stepie, gdzie nie ma

miast, a rośnie pszenica i odbywają się tylko przemarsze wojsk. No i po to, aby Żelenski i jego ekipa w końcu na serio się przestraszyli, a za przyczyną owego przestraszenia okazali uległość wobec politycznych żądań, które wcale nie muszą być aż tak drastyczne, jak środki użyte dla ich osiągnięcia. Być może na przykład byłby to „tylko” Donbas oraz korytarz na Krym i do Naddniestrza? I amnestia dla kolaborujących z Moskwą ukraińskich polityków?

Taktyczna broń jądrowa jest traktowana jako część szeroko rozumianego przez rosyjskich strategów „odstraszania”.

Jej użycie nie ma na celu zniszczyć wroga, ale skłonić go do politycznej uległości. I dlatego posłużenie się nią przez Rosję zdaje mi się wielce prawdopodobne

NUKLEARNY SCENARIUSZ PRAWDOPODOBNY

Rosja posiada ok. 2 tys. taktycznych pocisków jądrowych, czyli takich, które można uznać za względnie mało szkodliwe. Przenoszone są głównie przez rakiety typu Kalibr, instalowane na okrętach i łodziach podwodnych i wtedy mogą razić na odległość 2,5 tys. km, albo przez znane dobrze z polskiego pogranicza Iskandery, lokowane na samochodach, ale o zasięgu tylko ok. 500 km. Wiadomo, że jedne i drugie stoją albo pływają wokół Ukrainy, po to by teraz każdego dnia niszczyć kilkadziesiąt obiektów ukraińskiej infrastruktury. Traktowane są oczywiście jako część konwencjonalnej, a nie nuklearnej siły wojskowej.

Z informacji dostępnych w domenie publicznej wynika, że żadna z nich

nie jest ponoć do dziś dnia uzbrojona w głowicę atomową, gdyż te, choć Putin zrobił spektakl ze „stanem gotowości” sił jądrowych, nadal spokojnie spoczywają zamknięte w silosach. Podobno wywiad amerykański ma pełną zdolność monitorowania wszystkiego, co się dzieje wokół tych silosów. Na razie tylko telewizja Rossija 1 domaga się ich natychmiastowego otwarcia i zapewne nie czyni tego wyłącznie na własną rękę.

Czy świat może zrobić cokolwiek, aby zmniejszyć ryzyko zastosowania przez Rosję nuklearnego scenariusza „силового сдерживания”, tak jak przewidyuje to rosyjska doktryna ogłoszona dwa lata temu? Przykro to przyznać, ale tu swoją rację mają niestety tchórzliwi intelektualści niemieccy, piszący petycje do kanclerza Scholza. Wszystko, co Zachód mógłby zdziałać w tej mierze, to nie dać Żelenskiemu żadnej broni i próbować skłonić go do uległości, nim jeszcze Rosja dla celów demonstracyjnych nie postanowi wypłynąć na jego postawę jednym albo kilkoma taktycznymi pociskami nuklearnymi. Cała sprawa jest na tyle moralnie i politycznie drastyczna, że na wszelki wypadek wolalbym uniknąć tutaj jakiegokolwiek dwuznaczności albo tym bardziej – posądzenia o ironię.

Jest dla mnie całkiem jasne, że komukolwiek w świecie taki koncept stanąłby w ogóle w głowie, już byłby moralnie zgubiony, a politycznie skompromitowany. Ale właśnie z tej przyczyny, w rysującej się długiej wojnie, o rosnącej determinacji i nieustępliwości jej wszystkich trojga aktorów, posłużenie się taktyczną bronią jądrową przez Rosję zdaje mi się wielce prawdopodobne. I to nie dlatego, że władca Kremla jest sfrustrowanym szaleńcem, który może się brzytwy chwycić. Ale dlatego, że tak zakłada racjonalna, przedyskutowana w Moskwie i publicznie ogłoszona rosyjska doktryna nuklearna. Doktryna, która konstruuje koncept „kontrolowanej eskalacji dla deeskalacji”, nie przewiduje wcale zniszczenia świata, ale po prostu rosyjskie wojenne zwycięstwo.



Dlaczego giną rosy

Historycy wojskowości już policzyli, że rosyjskie straty na Ukrainie, jeśli chodzi o wyższych rangą oficerów, da się porównać jedynie z doświadczeniami Armii Czerwonej z czasów II wojny światowej. I to z pierwszego, najbardziej tragicznego jej okresu, kiedy musiała się ona w panice wycofywać

Gen. Andriej Simonow, łącznościowiec, w przeszłości zastępcą dowódcy wojsk walki radioelektronicznej Federacji Rosyjskiej, ostatnio dowodzący tą formacją w Zachodnim Okręgu Wojskowym, został zabity przez siły ukraińskie pod Iziumem. W zależności od szacunków jest dziewiątym lub nawet dwunastym rosyjskim generałem, który zginął w czasie ostatnich dwóch miesięcy. David Petraeus, były dowódca wojsk koalicyjnych w Iraku i szef CIA, powiedział w rozmowie z CNN, że tak duża liczba wyeliminowanych w walce generałów, to „bardzo, bardzo, ale to bardzo niecodzienne” zjawisko.

To, że Rosjanie stracili na Ukrainie w krótkim czasie tylu generałów szokuje Amerykanów również i z tego powodu, że oni w czasie 10-letniej krwawej wojny w Wietnamie stracili ich 12, w większości w katastrofach lotniczych. W Iraku i Afganistanie tylko jednego, zabitego zresztą przez afgańskiego żołnierza. Historycy wojskowości już policzyli, że rosyjskie straty, jeśli chodzi o wyż-



MAREK BUDZISZ

szych rangą oficerów, da się porównać jedynie z doświadczeniami Armii Czerwonej z czasów II wojny światowej. I to z pierwszego najbardziej tragicznego jej okresu, kiedy musiała się ona w panice wycofywać.

SZEF SZTABU GENERALNEGO NA CELOWNIKU

Gen. Simonow zginął po tym, jak ukraińska artyleria ostrzelała sztab rosyjskiego zgromadzenia uderzeniowego pod Iziumem. Ołeksij Arestowicz, doradca prezydenta Zełenskiego, powiedział, że w ataku tym zniszczony został punkt dowodzenia, miało też zginąć stu żołnierzy i oficerów rosyjskich.

Media przez pewien czas informowały, że Ukraińcom udało się zaatakować wtedy, kiedy na frontową naradę miał przybyć gen. Walerij Gierasimow, szef Sztabu Generalnego rosyjskich sił zbrojnych, osoba nr 2 w hierarchii wojskowej. Spekulowano, że Gierasimow cudem uszedł z życiem, został lekko ranny, zginęli zaś jego ochroniarze. To, że celem ataku strony ukraińskiej mógł być właśnie Gierasimow potwierdziły informacje Pentagonu, którego rzecznik potwierdził, iż z danych amerykańskiego wywiadu wynika, że mógł on w czasie ataku przebywać pod Iziumem. To też wyjaśnia – jeśli Ukraińcom rzeczywiście udało się zaatakować w czasie narady sztabowej – dlaczego zginął gen. Simonow, specjalista w zakresie walki radioelektronicznej, oficer tuż przed emeryturą, „z brzuszkiem”, niewalczący zazwyczaj na pierwszej linii.

WIELKIE POLOWANIE

Dziennik „The Wall Street Journal” informował, powołując się na anoni-



jscy generałowie?

ową osobę z otoczenia Zelenskiego, że w ukraińskich siłach specjalnych, szkolonych zresztą w ostatnich latach przez NATO-wskich fachowców, utworzono nawet specjalny zespół zajmujący się tropieniem i likwidowaniem wyższych rangą rosyjskich dowódców. „Wyszukują wysoko postawionych dowódców, generałów, pilotów, dowódców artylerii” – powiedział dziennikarzom anonimowy informator. „Mają wszystkie niezbędne dane, nazwiska, numery armii”. I dodał, że namierzeni oficerowie byli następnie atakowani ogniem snajperskim lub artyleryjskim.

Inny z rozmówców, upraszczając nieco sprawę, powiedział, że na ukraińskim celowniku są wszystkie siwe głowy, które udaje się wyśledzić. To oczywiste, że każda walcząca armia stara się zniszczyć systemy dowodzenia przeciwnika, wychodząc z założenia, że pozbawienie go „mózgu” jest najszybszą i najmniej kosztowną drogą do odniesienia zwycięstwa. Odwoływanie się strony ukraińskiej do tego rodzaju taktyki nie daje wszakże odpowiedzi na pytanie, dlaczego im się to udaje i dlaczego tylu rosyjskich oficerów z generalskimi szlifami wróciło już z tej wojny w postaci „Gruzu 200” (określenie stosowane w ZSRR, a następnie w krajach poradzieckich w stosunku do transportu ciała zabitego żołnierza)?

SKĄD TA SKUTECZNOŚĆ

Jest co najmniej kilka teorii wyjaśniających, dlaczego Rosjanie stracili do tej pory na Ukrainie tak dużą liczbę generałów i innych oficerów w randze pułkownika i majora. Straty tych ostatnich są nawet z punktu widzenia potencjału bojowego rosyjskiej armii ważniejsze, bo znalezienie doświadczonych oficerów liniowych jest rzeczą trudniejszą niż zastąpienie zabitych generałów, których zresztą w rosyjskich siłach zbrojnych, nie licząc Gwardii Narodowej, jest obecnie ponad 1300.

PO PIERWSZE: ŁĄCZNOŚĆ

Gen. Ben Hodges zauważył ze zdziwieniem w rozmowie z dziennikarzami, że Rosjanie nie zniszczyli do tej pory ukraińskich systemów telefonii komórkowej. Nie dlatego, iż nie potrafią, ale zapewne z zupełnie innego prozaicznego powodu. Otóż sami z nich korzystają. To zaś oznacza, że ich zaszyfrowana sieć łączności albo szwankuje, albo zupełnie nie działa. Podsluchanie i namierzenie osoby korzystającej z otwartych źródeł komunikacji jest, jak zauważył Hodges, dziecinnie łatwe, co znacznie ułatwia robotę zarówno artylerii, jak i snajperom. Od strzału ukraińskiego snajpera zginął zresztą pierwszy w tej wojnie rosyjski generał Andriej Suchowiecki,

zastępca dowódcy 41. Armii, atakujący podkijowskie lotnisko Hostomel.

Jednym z powodów, dla których Rosjanie korzystają na Ukrainie z otwartych źródeł łączności, ułatwiając tym samym namierzenie ich pozycji, może być, w opinii zachodnich ekspertów, albo korupcja, albo dramatyczne zaniedbanie w rosyjskich siłach zbrojnych tego mało spektakularnego obszaru. Zwrócono uwagę, że nawet oficerowie doborowych oddziałów Ramzana Kadyrowa posługiwali się, co zresztą widać w wielu umieszczonych przez nich w sieci filmach, tanimi i powszechnie dostępnymi cywilnymi krótkofalówkami produkowanymi przez Motorolę. Rosjanie przez lata wydawali fortunę na nowe czołgi i systemy rakietowe, które można pokazać na defiladach i manewrach, zaniedbując niepozorne, a znacznie na współczesnej wojnie ważniejsze systemy zwiadu, rozpoznania, łączności i dowodzenia. Jest to zresztą do pewnego stopnia pochodną stanu zapóźnienia technologicznego ich sektora zbrojeniowego.

Eksperci wojskowi brytyjskiego think tanku strategicznego RUSI pojechali na Ukrainę już w czasie obecnej wojny po to, aby poddać inspekcji rosyjską broń, poczynając od najnowocześniejszych rakiet manewrujących typu Kindżał, po czołgi i transportery opancerzone. Jak napisali później w specjalnym

raporcie główne, kluczowe dla ich funkcjonowania podzespoły, takie jak komputery pokładowe w rakietach czy systemy optyczne w czołgach, zbudowane były przy zastosowaniu importowanych podzespołów. Tylko, że nie wszystko da się sprowadzić, zwłaszcza jeśli chodzi o najnowocześniejsze systemy szyfrowanej łączności wojskowej.

PO DRUGIE: WYWIAD

Inny powód, dlaczego giną rosyjscy generałowie, opisał dziennik „The New York Times”. Otóż Amerykanie od pierwszych dni wojny dostarczają stronie ukraińskiej precyzyjne dane geolokacyjne i informacje wywiadowcze. Jak ujawniła niedawno w Kongresie Avril Haines, kierująca Agencją Wywiadu Narodowego, już od pierwszych dni wojny strona ukraińska dostaje informacje w czasie rzeczywistym obejmujące nie tylko tereny, na które wtargnęli Rosjanie, ale również tzw. republiki ludowe Donbasu. Nie chodzi tu tylko o informacje na temat położenia i ruchów rosyjskich wojsk, ale również skąd Rosjanie wystrzeliwiają swe rakiety, gdzie one mogą trafić, jakie są możliwe kierunki ich natarcia i gdzie znajdują się punkty dowodzenia. Skoro ukraińska armia ma te informacje, może to oznaczać, że wie niemal wszystko o planach i położeniu Rosjan. Tym bardziej że Amerykanie mają używać, modelując rozwój wypadków, systemów sztucznej inteligencji dzięki czemu ich zdolność do przewidywania ruchów przeciwnika rośnie w postępie geometrycznym. Dostarczony przez Amerykanów sprzęt, w tym drony zwiadowcze, umożliwia identyfikowanie celów i precyzyjne naprowadzanie ognia artyleryjskiego, a nawet eliminowanie poszczególnych żołnierzy. To dzięki temu Ukraińcom udało się uderzyć, dwukrotnie zresztą, w rosyjski sztab pod Cherso-niem w miejscowości Czernobajewka, gdzie zginęło dwóch dwugwiazdkowych rosyjskich generałów – Andrey Mordwichew, dowodzący 8. Gwardyjską Armią Ogólnowojskową, i Jakow Rezantsew, dowódca 49. Armii. Notabene rosyjskie media lokalne ujawniły też zdjęcia nagrobka Władimira Frołowa, zastępcy



Kiedy ukraińska artyleria ostrzelała sztab rosyjskiego zgromadzenia uderzeniowego pod Iziumem, wiadomo było, że w tym rejonie przebywał gen. Walerij Gierasimow, szef Sztabu Generalnego rosyjskich sił zbrojnych, osoba nr 2 w hierarchii wojskowej. Spekulowano, że Gierasimow cudem uszedł z życiem, został lekko ranny, zginęli zaś jego ochroniarze

Mordwichewa, więc niewykluczone, że pod Czernobajewką stronie ukraińskiej udało się za jednym zamachem zlikwidować aż trzech rosyjskich generałów.

Ale nie trzeba mieć dostępu do amerykańskiego hi-tech wojskowego, aby wiedzieć, co robią Rosjanie. Broniącej się armii pomagają informacje pochodzące od ludzi, skutecznie działa wywiad, jak można przypuszczać struktury tzw. republik ludowych Donbasu są dobrze rozpoznane i zinfiltrowane przez ukraińskie służby specjalne. W jednej z podkijowskich miejscowości na rosyjskie cele ukraińską artylerię naprowadzała niepozorna staruszka przy użyciu zwykłego telefonu komórkowego. Dzięki niej, jak informują media, udało się zniszczyć ponad setkę rosyjskich pojazdów opancerzonych.

PO TRZECIE: BRAWURA DLA AWANSU

Amerykanie zastanawiają się też, dlaczego rosyjscy oficerowie tej rangi znajdują się często na pierwszej linii frontu

lub blisko niego, stając się łatwym celem dla strony ukraińskiej? Stanowi to dla nich zagadkę zwłaszcza, że generałowie amerykańscy, których jest zresztą dużo mniej (653) niż rosyjskich, dowodzą zazwyczaj większymi formacjami, korpusami i dywizjami, więc muszą koncentrować się na celach operacyjnych i strategicznych, dlatego najczęściej ich punkty dowodzenia, po to aby mieć szerszą perspektywę, znajdują się w pewnym oddaleniu od linii walk, często kilkanaście kilometrów poza zasięgiem artylerii przeciwnika.

Rosyjscy generałowie, tak jak Oleg Mitajew, który zginął w Mariupolu, często znajdują się na pierwszej linii. Pytanie dlaczego? Decydować może o tym co najmniej kilka czynników. Eliot Cohen z Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa wskazuje na socjologiczne podłoże, mówiąc, że „armie, ogólnie rzecz biorąc, odzwierciedlają cechy społeczeństw, z których się wywodzą”. Jeśli zatem mamy do czynienia z kulturą zarządzania opartą na scentralizowanym przywództwie, to większość decyzji podejmowanych jest nie przez oficerów liniowych, ale na szczycie. „Wojsko rosyjskie ma bardzo scentralizowany system podejmowania decyzji – powiedział mediom Robert Lee, analityk z jednego z amerykańskich think tanków – więc nie jest szokujące, że ci faceci są z przodu na liniach tarcia”.

W czasie rosyjskiej interwencji w Syrii Rosjanie wprowadzili jeszcze jedną zasadę, której zastosowanie mogło wpłynąć na to, co dzieje się w obecnej wojnie. O systemie awansów i nagród w wojsku decydować zaczęło to, jak oficer sprawował się w czasie, kiedy przebywał na syryjskim froncie. Premiowało to osobistą odwagę i zaangażowanie, często brawurę, ale w realiach wojny toczonej ze znacznie słabszym, gorzej zorganizowanym i uzbrojonym przeciwnikiem, w sytuacji zdominowania przez Rosjan przestrzeni powietrznej. Te czynniki na wojnie z Ukrainą nie występują, ale brawura pozostała, co spowodowało, że każdy z tych relatywnie młodych generałów, którzy niedawno awansowali, chciał się odznaczyć, popisać bohaterstwem. Jeśli towarzyszyły temu problemy w zakresie łączności,

dowodzenia i koordynacji, a tak było, to tym silniejsza stawała się pokusa, aby na pierwszej linii ratować sytuację.

PO CZWARTE: BRAK DOŚWIADCZENIA

„Ich poziom dowodzenia, jak sami przyznają, nie jest wielki, dlatego w armii rosyjskiej widzenie generałów znacznie bardziej wysuniętych do przodu” – powiedział dziennikowi „The Wall Street Journal” płk. John „Buss” Baranco z Korpusu Piechoty Morskiej, obecnie w Atlantic Council, waszyngtońskim think tanku. To kolejna obserwacja zachodnich ekspertów. Rosjanie mają problemy z prowadzeniem operacji na większą skalę, wymagających koordynowania działań na wielu kierunkach i w wielu domenach.

Do tej pory toczone przez nich wojny były albo znacznie mniejsze (Gruzja), albo mniej intensywne (Krym i Donbas w 2014 i 2015 r.), albo podzielone na

etapy, jak to było w Syrii. Ten brak doświadczenia, nieumiejętność planowania i dowodzenia większymi operacjami powodują, że odruchowo, intuicyjnie

To oczywiste, że każda walcząca armia stara się zniszczyć systemy dowodzenia przeciwnika, wychodząc z założenia, że pozbawienie go „mózgu” jest najszybszą i najmniej kosztowną drogą do odniesienia zwycięstwa

działają w mniejszych formacjach, zamiast koncentrować swe siły. Nawet w obecnej fazie wojny w Donbasie – jak zauważył Phillips O'Brien, profe-

sor nauk strategicznych na Uniwersytecie w St Andrews – rozpraszają swe siły na co najmniej sześciu kierunkach operacyjnych, na żadnym z nich nie będąc w stanie osiągnąć przewagi umożliwiającej przełamanie ukraińskich umocnień. Ta mikromania, której towarzyszy skłonność do ręcznego dowodzenia często na pierwszej linii po to, aby dowieść osobistego męstwa i zaangażowania, zyskując w ten sposób posłuch i autorytet wśród żołnierzy, powoduje wzrost ryzyka.

Ukraińcy dysponują jeszcze jedną przewagą, przynajmniej w porównaniu z NATO-wskimi dowódcami. Otóż wiedzą, jak walczyć Rosjanie, mają w tym względzie zarówno doświadczenie wynikające z ośmioletniej wojny w Donbasie, jak i umiejętności wynikające z podobnego systemu szkolenia i kształcenia kadr. A to oznacza, że w kwestii liczby zabitych rosyjskich generałów nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa.

REKLAMA

PLATINUM
ORLEN OIL

**UWOLNIJ
POTENCJAL SILNIKA**

Z OLEJEM **PLATINUM**
max expert

1 L 5W-30
4 L 5W-30



Relacja z Donbasu

Ty nie wiesz, co to znaczy mieć oczy dookoła głowy

Wojna toczy się tutaj od ośmiu lat, ale 24 lutego rozgorzała na nowo. Oprócz walk w Popasnej, Siewierodoniecku czy Lymanie obrońcy Ukrainy zmagają się z rosyjskimi dywersantami, donosicielami i patologicznymi separatystami. Drobnę przeoczenie może kosztować życie



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Pędzimy busem mercedes vito do Lisiczańska, a potem do Siewierodoniecka. W tym pierwszym zatrzymujemy się na łączenie na żywo z telewizją wPolsce.pl, gdzie Komandir opowiada lapidarnie, że cała ta rosyjska potęga to jest na papierze, a nie w polu. Naszym widzom pokazujemy zniszczone, opustoszałe miasto. To tylko 15 minut, dalszy spacer po Lisiczańsku pokazuje nam wymarłe blokowiska nazięcone pożarami i zniszczeniem.

Major ruchem głowy pokazuje na pędzący ukraiński wóz opancerzony Kozak i mruczy pod nosem jakieś przekleństwo. Faktycznie, kierowca jedzie bezmyślnie szybko, wymuszając pierwszeństwo, co na drogach z samymi wojskowymi jest dość ryzykowne i aż nadto zaczepne. Uspokoić nastrojów nie pomagają ciągle eksplozje w oddali, widoczne wokół ruiny i smutne twarze nielicznych cywilów.

Jedziemy dalej do Siewierodoniecka. Komandir każe mieć oczy dookoła głowy, bo miasto jest permanentnie ostrzeliwane od 70 dni. Mijamy „chłopców malowanych” z Gwardii Narodowej, którzy okopują się w zniszczonym od pożarów domu. Nie zatrzymujemy się u nich na dłużej niż chwilę, bo oni mają co innego do roboty niż udzielanie wywiadów.

Robimy zdjęcia drodze podziurawionej od bomb i rakiety kasetowej, która wbiła się w asfalt i rozrzucała ładunki zabijające ludzi. Jedziemy wzdłuż rozległych siewierodonieckich zakładów wyrobów termoizolacyjnych, opuszczonych, rozwalonych, bombardowanych. Oglądamy się za siebie, czy nic na nas nie leci. Ale jeśli myślicie, że ta czujność wystarczy do uniknięcia niebezpieczeństwa, to jeszcze nic nie wiecie o Donbasie.

KIM SĄ DYWERSANCI

W środku nocy obudziła nas seria z karabinu. Naszego kompana, pseudonim Talan, zastępcy Komandira, nie było na materacu, nie było kogo spytać, co robić. Leżeliśmy w śpiworach i słuchaliśmy, czy ktoś odpowie na te wystrzały. Cisza. Żnów



Nikita, donbaski rolnik
obsiewający pole pszenicy
pomiędzy minami



Komandir i jego zastępca zabrali nas w miejsce
walk. W tle bombardowana Popasna

strzela ta sama osoba. Talan mówi rano, że wypatrzył na nocnym niebie drona zwiadowczego Rosjan i próbował go strącić. – Mają tego pełno, latają nad nami, zbierają informacje, ustalają lokalizację, by przekazać dalej artylerii. A potem...

Czy udało się strącić drona? – jestem ciekawy. Tutaj nikt nie odpowie na takie pytanie.

Rakiety, samoloty, drony – śmierć przychodzi jednak nie tylko z powietrza. Chłopaki z pododdziału policji specjalnego przeznaczenia opowiadają nam o dywersantach. Są nimi dobrze przeszkoleni w Rosji funkcjonariusze różnych służb, czasem najemnicy parający się po prostu terroryzmem. Niektórzy ludzko przypominają nielegalnych imigrantów, których w weszłym roku podstawił pod granicę Łukaszenka, a o których mówił na konferencji prasowej minister Mariusz Kamiński. Gdy opowiadał ukraińskim mundurowym, że polska opozycja szydziła wówczas z niebezpieczeństwa, to mi nie dowierzają. Dywersja to mordercze komando napadające zniechcą na obiekty wojskowe.

– Jednej nocy zaszło nas ośmiu – opowiada mundurowy stojący na warcie. Podeszli pod posterunek, ostrzelali nas, próbowali nas rozwalić z dwóch stron. Przez termowizor widziałem, jak się skradają przez krzaki. Jeden z nich kierował dronem. On widział, jak ja na nich patrzę przez termowizor, a ja widziałem, jak on nas ogląda przez drona – śmieje się teraz wojskowy. Dywersanci i Ukraińcy ostrzelali się nawzajem, atakujący się wycofali i zniknęli w ciemności nocy. Tym razem nikt nie zginął. Ale tamci biorą się gdzieś znowu i przyjdą zabijać wrogów „wielkiej Rosji”.

O JEDNO SŁOWO ZA DALEKO

W Donbasie nie mówi się o miejscach, nie podaje adresów, nie wysyła lokalizacji, nie pokazuje zdjęć budynków, które są charakterystyczne dla jakiejś miejscowości.

Wszystkie nasze zdjęcia przejrzał Komandir, nie z braku zaufania, ale z jak najpoważniejszą ostrożnością. – To skasujcie. Widać słup. Łatwo rozpoznać miejsce – instruuje krótkimi zdaniem. Nie podajemy imion, nazwisk, nazw oddziałów, nie robimy zdjęć czołgom, wozom pancernym, artylerii – rosyjscy internauci oglądają nawet pojedyncze publikacje w mediach społecznościowych, a co dopiero gazety, telewizje i portale internetowe. Nie mówimy też o tym w rozmowach telefonicznych, wiadomościach, nie wspominamy przy kawie w barze. Tutaj nadal żyją ludzie, którzy wierzą Moskwie – nawet gdy rakiety rosyjskie niszczą domy ich sąsiadów, oni wierzą, że putinowski porządek przywróci spokój i normalne życie. Łatwo ich rozpoznać – ponure spojrzenia, milczenie, niektórzy na widok dziennikarzy po prostu uciekają.

W jednej wiosce pod Słowiańskiem zagaduję kobiety o drogę, a one reagują agresją. – Po co wam to, po co? Dajcie nam spokój, podżegacz wojenni! – krzyczą mieszkanki Donbasu. Rozbiegają się potem w dwie strony.

W jednym miasteczku rakiety zniszczyły budynek, w którym spali ukraińscy wojskowi. Nasz informator twierdzi, że któryś z żołnierzy zbyt frywolnie napomknął o tym w kolejce do sklepu. Znalazł się donosiciel, namierzono miejsce, wystrzelono rakiety, zginęło kilkunastu mężczyzn, a dwudziestu kilku zostało rannych.

NIKITA JEŹDZI POMIĘDZY MINAMI

Zatem donosy, dywersja, rakiety, drony i walki frontowe – Donbas jednak ma jeszcze więcej upiornych niespodzianek. Talan każe mi przyrzec się polu i młodemu kombajnście. W wojennym napięciu praca rolnika wydaje się najmniej ciekawym tematem świata. Talan naciska, pokazuje palcem na wzrastającą pszenicę i mówi: – Zobacz! Widzisz tę pałkę wbija w ziemię? Rosjanie rozru-

cili tu miny, ba, rozrzućli je po całym Donbasie. Ale ten chłopak chce pracować. Wbiliśmy mu pałki, by oznaczyć, gdzie leży mina i on tak jeździ kombajnem, by nie spowodować eksplozji.

Nikita nie ma nawet 30 lat. – Pewnie, że się boję – opowiada. Po rosyjsku brzmi to dobitniej. – Nu straszno – rzuca. Ale co ma robić? Ukraina żyje przemysłem i rolnictwem, kopalnie i zakłady zniszczono, ale ziemi nie niszczy! Pole się samo nie obsieje. Nikita wsiada na kombajn, chwyta kierownicę i z dokładnością zegarmistrza objeżdża obsianą pszenicą ziemię.

W Donbasie nie masz nawet zwykłego rolnika, bo praca w polu wymaga ostrożności i cholernej odwagi.

I ZNÓW DYWERSANCI

Dzień skończył się szczęśliwie. Bezpiecznie zrobiliśmy reportaż w Lisiczańsku i Siewierodonecku, Nikita obrobił 20 ha pola, Talan prawdopodobnie zestrzelił drona, dywersantów nie spotkaliśmy. Tak nam się przynajmniej wydawało.

Wieczorem Komandir wchodzi do bazy z telefonem w rękę i czyta nam przesłany do niego komunikat miejscowego kontrwywiadu. – Pamiętacie tego kierowcę Kozaka w Lisiczańsku? – pyta. Nie od razu kojarzymy sprawę, ale dalsza część informacji stawia nas na nogi. – Był rosyjskim dywersantem. Jechał na zadanie. Miał wysadzić w powietrze nasz posterunek w Siewierodonecku.

Przeglądaliśmy zdjęcia, by sprawdzić, czy nie wpadł nam w kadr, ale młodzi ukraińscy fotografowie pilnowali się, by nie robić zdjęć ukraińskiemu sprzętowi. – A coś mi w nim od początku nie pasowało – mruczy pod nosem major na temat dywersanta. Faktycznie, już wtedy zwrócił nam uwagę na pędzący pojazd. – Co się z nim stało? – pytamy. – Z kim? Z dywersantem? Właśnie go rozstrzelali.

W Donbasie nie ma miękkiej gry.



Trzeba skończyć z sobiepaństwem

W Prawie i Sprawiedliwości zwycięża przekonanie, że trzeba „odstrzelić” tych, którzy są nielojalni, którzy psują, szkodzą, podkładają nogi i rozpychają się

Jacek Karnowski rozmawia z **prof. Ryszardem Terleckim**, historykiem, wicemarszałkiem Sejmu, przewodniczącym klubu parlamentarnego Prawa i Sprawiedliwości

Patrząc z perspektywy historycznej, czym jest wojna na Ukrainie? Czy to ostatnia bitwa II wojny światowej, czy też pierwsza bitwa III wojny? A może coś osobnego?

Ryszard Terlecki: To jest przede wszystkim wciąż echo rozpadu Sowietów. To jest ważny motyw działania Putina: on budował swoją popularność na sile i atrakcyjności resentymen-tów związanych z ZSRR. I stąd ta wojna, w którą zresztą mało kto wierzył. Sami Ukraińcy nie wierzyli.

Albo udawali, że nie wierzą.

Chyba nie. Gdy tydzień przed rosyjskim atakiem odwiedziłem Kijów i ukraiński parlament, wszyscy mówili: „Nie, no skąd, to kolejny bluff”. Wróciłem przekonany, że rzeczywiście do ataku raczej nie dojdzie, choć nasza wizyta przypadła na dzień, który wywiad amerykański wskazywał jako datę inwazji.

Te precyzyjne daty też wielu czytało jako rodzaj gry ze strony Waszyngtonu.

Tak było. Amerykanie od dłuższego czasu mówili, że do wojny dojdzie, ale trwało to już tak długo, że w pewnym stopniu zaczęło przypominać jakiś rytuał. Ale w pewnym momencie Kreml wydał rozkaz do ataku. A może raczej do marszu naprzód, bo myślę, że Rosjanie sądzili, że nie będzie to klasyczna, krwawa wojna.

Wycieczka na Kijów, kilka czołgów przed pałacem prezydenckim, nowy marionetkowy rząd?

Coś takiego. Ale to nie wyszło i nie wychodzi. Za słabo wybrzmiewa fakt, że to jest gigantyczny blamaż Rosji i jej armii. Wciąż słyszymy, że oni jeszcze pokażą, co potrafią, ale mija trzeci miesiąc i niczego nie pokazują. Zapowiadana ofensywa w Donbasie też nie przyniosła przełamania. Być może to wciąż przygrywka, przygotowanie, a prawdziwe uderzenie nastąpi 9 maja, jak informuje wywiad ukraiński. Idzie im jak po grudzie.

Czy na Ukrainie rozstrzyga się coś ważnego? Czy może to być taki moment przełomu dziejowego jak rok 1989 czy 1991? Czy w tych walkach wykuwa się jakiś nowy porządek światowy?

Na to się nie zanosi. Najważniejsi gracze chcą, by sytuacja wróciła do tego, co było przed wojną, a nie zmieniła się w sposób gruntowny. Nie bardzo też wierzę w zapewnienia, że Putin i Rosja są skończeni na arenie międzynarodowej, bo nikt ze zbrodniarzami nie będzie rozmawiał. Oczywiście, że będą rozmawiać. Wielu już tylko czeka na okazję.

Z czego to się bierze? Czy Zachód uważa Ukrainę i cały nasz region za teren bez prawa do podmiotowości, z państwami w sumie wciąż sezonowymi?

Tak. Przyzwyczajono się do tego, tak jak w XVIII w. przyzwyczajono się, że nie ma Polski. Nikomu to specjalnie nie przeszkadzało, mimo powstań, walk, buntów. W przypadku obszaru posowieckiego dochodzi strach Zachodu, także Amerykanów, przed rozpadem Rosji. „Co to będzie, jak powstaną nowe państwa i będą ze sobą walczyły?” Tak wyglądało to myślenie.

Czy pana zdaniem Rosja mogłaby uderzyć na Polskę, jeśli odniosłaby sukces na Ukrainie?

W pewnym sensie nas zaatakowano, poprzez imigrantów na białoruskiej granicy. Gdyby ci ludzie przeszli, gdyby pojawiły się u nas jakieś koczowiska, mielibyśmy w Polsce inny stosunek do uchodźców, także tych z Ukrainy, dużo bardziej negatywny. Gdyby nie porażki na Ukrainie, każdy scenariusz był możliwy. Teraz, gdy Kreml przegrywa, tego nie robi, nie ma już na to

sily. Mówi się nawet, że na Mołdawię już nie uderzą, bo są zbyt słabi. Dziś w Polsce jest ponad 10 tys. amerykańskich żołnierzy, to jest znaczna siła.

To może nie warto wydawać tyle na zbrojenia?

Warto i trzeba, bo Rosja będzie dążyła do rewanzu, do zemsty. Będzie więc zagrożeniem, bo ta wojna skończy się zapewne jakąś nową, nieoficjalną linią rozgraniczającą Ukrainę i Rosję, być może bardziej na zachód niż dotąd, być może nawet z korytarzem lądowym do Krymu. Będzie to więc stały stan zapalny, tłący się, ale już z innymi Ukraińcami, z inną, o wiele silniejszą armią ukraińską. Nie jest wykluczone, że Ukraińcy,

po złapaniu jakiegoś oddechu, nie podejmą walki o utracone ziemie.

Czy zaskoczyła pana bliskość relacji Berlina i Moskwy? PiS mówiło o tym zagrożeniu od dawna, ale czy mieliście świadomość, jak ścisłe było to porozumienie?

To było widać gołym okiem. Niemiecka nadzieja na zdominowanie Europy opierała się na zapewnieniu sobie spokoju na Wschodzie. Rosja była partnerem Niemiec w tej grze, a przy okazji oba kraje robiły wielkie interesy. Do tego dochodzi korupcja na wielką skalę w Niemczech i szerzej na Zachodzie. Owszem, to inna korupcja niż ta z Rosji czy Ukrainy, realizowana w ukryciu, często elegancko, ale przez to jeszcze groźniejsza i często o większej skali. To są ogromne pieniądze.

Czy Niemcy trwale skorygują swoją politykę?

Oczywiście, że nie. W ogóle nie skorygują. Pod presją opinii publicznej ograniczą chwilowo interesy z Rosją, ale nic więcej. Plan niemiecki pozostaje aktualny. Chodzi o podporządkowanie Europy, w jakiejś mierze do spółki z Francją, o przyzwo-

lenie na różne eksperymenty światopoglądowe i o pilnowanie dochodów. Do tego potrzebna jest Rosja, bo każde zamieszanie na wschodzie Europy psuje ten plan.

To gdzie w tym wszystkim nadzieja dla Polski, skoro tory rosyjskie i niemieckie pozostały w istocie nienaruszone?

Zobaczymy, co się stanie. Piłsudski mówił, że nie wolno walczyć jednocześnie z Rosją i Niemcami. Dziś nasza sytuacja jest trudna, bo prowadzimy właściwie wojnę z Rosją, dostarczając broń Ukrainie, a z drugiej strony jesteśmy w konflikcie z Brukselą kontrolowaną przez Berlin. Musimy to wytrzymać.

Czy w obliczu wojny na Ukrainie Polska mogła zachować się inaczej? Wybrać kurs mniej konfrontacyjny? Mówi pan rzecz ważną: że faktycznie prowadzimy wojnę z Rosją.

Sądzę, że tak też to traktują Rosjanie. Szkoda, że Ukraińcy widzą to w sposób chyba zbyt mało wyraźny. Oczywiście przekaz publiczny, medialny, jest dla nas pozytywny. A czy mogliśmy się zachować inaczej? Nie mogliśmy.

Prezydent Andrzej Duda powiedział 3 maja o „zaręczeniu” obu narodów. Czy z tego może wyłonić się jakaś nowa formuła federacyjno-sojusznicza? Odbudowa wspólnoty w obszarze IRzeczypospolitej?

Wszystko jest możliwe. To ważny moment: nagle cała trudna przeszłość polsko-ukraińska przestała mieć znaczenie, może nawet zniknęła. Pytanie, jak na to patrzą Ukraińcy. My jesteśmy zachwyceni, ale oni mogą myśleć swoje. Będą jednym z silniejszych militarnie państw Europy. Będą mieli ogromne poczucie dumy, bo rzeczywiście pokonali smoka. Będą mieli silny rząd, odwołujący się do zwycięskiej wojny.

Bez Polski nie mieliby jednak szans. Niezależnie od tego, czy Węgrzy, Słowacy lub Rumunii chcą przepuszczać broń, czy też nie, to tam są Karpaty. Jedyne dogodny szlak wsparcia biegnie przez Polskę.

Daj Boże, by o tym pamiętali. Duże znaczenie będzie miała też diaspora ukraińska, która już przed wojną była liczna, a teraz zwiększyła się skokowo. Jak dotąd nie potwierdziły się też obawy, że relacje z uchodźcami będą szły w złą stronę. Okazaliśmy się narodem, który umie być solidarny, i który wciąż rozumie hasło „Za naszą i waszą wolność”.

Może błędem było forsowanie koncepcji Trójmorza, skoro istota sprawy rozgrywa się na obszarze Międzymorza, a więc między Morzem Bałtyckim a Morzem Czarnym?

To słuszny wniosek. Format prezydencki Trójmorza został ograniczony do państw należących do Unii Europejskiej. Ja uważam, że rzeczywiście lepiej mówić o Międzymorzu, do któ-

Plan niemiecki pozostaje aktualny. Chodzi o podporządkowanie Europy, w jakiejś mierze do spółki z Francją, o przyzwolenie na różne eksperymenty światopoglądowe i o pilnowanie dochodów. Do tego potrzebna jest Rosja

rego dołączają Gruzja, Mołdawia, kraje bałkańskie. Pomijając nazwę i szczegóły, jest to największy, najważniejszy projekt polityczny w całej Europie. W pewnym momencie zrozumieli to też Amerykanie.

Nowo właśnie, czy Amerykanie rzeczywiście stawiają na Polskę, porzucając Niemcy?

Amerykanie nie będą chcieli, by Rosja została trwale zepchnięta do roli przystawki chińskiej. Nie chcą też wysłać do Europy zbyt wiele wojska. Niemcy są dużo ważniejsze gospodarczo niż Polska. Więc tu też nie będzie jakiejś kolosalnej zmiany. Niemcy jednak bardzo się wygłupiły i Polska na tym sporo zyskała.

Dlaczego Amerykanie tak mocno wsparli Ukrainę i postawili się Rosji? I robi to administracja prezydenta Bidena, co do której PiS miał sporo wątpliwości.

W Stanach Zjednoczonych jest coś, co się nazywa deep state, głębokim państwem. Zmieniają się prezydenci, a fundament trwa. Generalowie mają swoje analizy, mają wpływ na Kongres i administrację. Tu leży klucz do sytuacji.

Rosyjska agresja zweryfikowała także diagnozy, które głosiły polskie środowiska polityczne. Czy ewidentna



Zdjęcie: Andrzej Wiktor



kompromitacja opozycji w sferze bezpieczeństwa Polski zostanie dostrzeżona przez Polaków?

Mam nadzieję, choć nie mam też złudzeń, że spory będą trwałe i nawet ludzie, którzy faktycznie zbankrutowali, nie zjedzą ze sceny, a ich elektorat nie zniknie, ani nie przejdzie na drugą stronę. Wojna o Polskę będzie trwała. Dziś dużo mówimy o jedności, ale nie możemy zapominać: postulat jedności dotyczy tylko tych, którzy są wierni Polsce.

Tusk, który najpierw budował sojusz z Putinem, a później opierał się na niemieckim sojuszniku Rosji, jest chyba wygodnym przeciwnikiem?

Tak się dziś wydaje. To wszystko, co prezentuje opozycja, jest strasznie miałkie. I nie zmienia tego żadne krzyki – ani Tuska, ani próbującego go imitować Kosiniaka-Kamysza.

Nie wiadomo, na ile wojna będzie miała znaczenie w dniu głosowania, bo wcześniejsze wybory są jednak mało realne.

Nie byłbym o tym przekonany. Klub Prawa i Sprawiedliwości jest bardzo zmęczony podjazdową wojną wewnętrzną. Chodzi tu zarówno o relacje z Solidarną Polską, jak i z drobnymi grupami postgowinowskimi. Coraz częściej słyszę opinie posłów: „Nie ma innego wyjścia, trzeba iść na wybory”. Mówią tak, bo to nie jest tylko problem większości sejmowej, ale i tego, co się dzieje na dole.

Już długo przed wojną mówiłem, że nie ma tematu premiera. Ci, którzy sobie wyobrażają, że możliwa jest jakaś zmiana, powinni to sobie wybić z głowy

Co się dzieje?

Są dziesiątki konfliktów, boje o różne posady, wpływy, zasoby. Nasi koalicjanci próbują się rozpychać ponad miarę. To jest coś, co nasi posłowie bardzo źle znoszą.

W PiS narasta atmosfera, że trzeba to przeciąć?

Tak. Plus opinia, że w żadnym wypadku tych ludzi nie można wziąć na swoje listy. Oczywiście o tym zdecyduje kierownictwo partii, ale opór

w terenie będzie znacznie większy, niż poprzednio.

Doprecyzujmy: chodzi o Solidarną Polskę czy o te drobne grupy?

O wszystkich razem. W PiS zwycięża przekonanie, że trzeba „odstrzelić” tych, którzy są nielojalni, którzy psują, szkodzą, podkładają nogi i rozpychają się.

Nowy klub ma być spójny i karny?

Tak.

Czy to jednak realne? Jeśli nie pójdziecie razem z Solidarną Polską, straciecie te 3–4 proc., które partia Zbigniewa Ziobry zdobędzie samodzielnie, i szanse na samodzielną większość będą iluzoryczne.

Nie przesadzałbym z tymi 3 proc., to będzie raczej 1,5 proc. Tak, to będzie ryzyko, trzeba je uwzględnić. A szansę na sa-

modzielną większość są, nawet bez ziobrystów, pod warunkiem, że nasza partia zacznie działać z większą energią. Dwa lata pandemii okazały się dla struktur katastrofalne. Bez kontaktów osobistych wszystko zaczęło się rozlać, posłowie nie wiedzieli, co robić, co mówić, jak działać. Trzeba podjąć pewne decyzje.

Ale Solidarna Polska powiedziała by pewnie tak: nie mamy gwarancji, że będziemy na listach, że dostaniemy dobre miejsca, umowa koalicyjna mówi o tym bardzo ogólnie. A skoro tak, to dla naszego bezpieczeństwa musimy budować swoją podmiotowość polityczną. Na wszelki wypadek.

Ja to rozumiem. Ale z drugiej strony ten kurs na samodzielność i ta rozbudowa struktur rozsadzają nasz obóz i niesłychanie utrudniają realizację naszych planów, misję naszego rządu. Problem narasta. I szala przechyla się w stronę samodzielnego marszu po zwycięstwo.

Może warto siąść przy stole i poważnie porozmawiać? Może czas na nową umowę koalicyjną?
Z kim?

Z ministrem Ziobro.

Cóż. To są młodzi ludzie i zapewne myślą tak: co z tego, że przegramy wybory? Przez cztery lata będziemy w opozycji, rozbudujemy partię, a później zastąpimy rękoma stary PiS i w końcu zwyciężymy. Oczywiście tak nie będzie, ale takie są ich wyobrażenia.

Solidarna Polska zgłasza też postulaty programowe, mówi, że w relacjach z Unią trzeba działać bardziej stanowczo, twardo.

Powiedzieć można wszystko, ale te pieniądze są nam potrzebne. Potrzebujemy ich gospodarka, samorządy, Polacy. Trzeba o tym pamiętać. Małe grupy mogą być niesłychanie radykalne, ale to my dźwigamy odpowiedzialność za całość spraw, za kraj. Musimy rozwijać Polskę i wygrać wybory, bo jeśli nie wygramy, to nasze państwo czeka katastrofa. Wciąż pytamy naszych koalicjantów: „Czy macie świadomość, co czeka Polskę, jeśli do władzy dojdzie totalna opozycja? Czy wiecie, jaka będzie cena tego sobiepaństwa?”

I co odpowiadają?

„Tak, tak, my też tak uważamy, ale to tym bardziej trzeba działać ostro”. Cóż, my uważamy, że czasem trzeba ostro, a czasem elastycznie. Wszystko zależy od kontekstu.

Czy ewentualny brak poparcia dla ustawy likwidującej Izbę Dyscyplinarną i powołującej nowy organ odpowiedzialności sędziów będzie momentem kluczowym?

Mam nadzieję, że nie. Trwają rozmowy. Solidarna Polska zgłasza pewne poprawki i być może część z nich okaże się do

przyjęcia przez pana prezydenta i jego środowisko, a część być może nie. Jest obawa, że znów będziemy w tym samym miejscu, z zawetowaną ustawą.

A rozmowy z PSL-em mogą przynieść inną większość – czy to w tej sprawie, czy też szerzej?

Nie. Kosiniak-Kamysz uparł się, by stać się małym Tuskiem i za wszelką cenę chce to osiągnąć.

A Konfederacja? Teraz albo w przyszłości?

Nie wiadomo, co z niej zostanie. Jest bardzo niejednorodna i jedyne co można, to dogadywać się z pojedynczymi posłami, to łatwiejsze.

A Lewica? Wydaje się, że bardzo przeżyła atak medialny, który na nią spadł po poparciu Krajowego Planu Odbudowy.

Tak. Ale są posłowie Lewicy, którzy jasno mówią, że bliżej im do nas niż do PO. Taki sojusz będzie jednak bardzo trudny, być może zbyt trudny.

Paweł Kukiz okazał się jednak lojalnym partnerem.

Szczęśliwie często głosuje z nami.

Z kolei Jarosław Gowin mógłby być jedną z trzech osób współdecydujących o losach Polski w momencie historycznym, ale wybrał swoją drogę.

Gowina politycznie już nie ma, może się co najwyżej do kogoś dołączyć. Robił wszystko, żeby nie być w centrum decyzyjnym kraju i szczęśliwie udało się go pozbyć.

Z tego wynika jedno: innej alternatywy niż kontynuowanie

rządów w ramach Zjednoczonej Prawicy nie ma. I wasi koalicjanci też to wiedzą.

Nie chcemy jedynie trwać, nie chcemy wyłącznie administrować państwem. Niezbędne są dalsze zmiany, choćby w edukacji, ale nie tylko. Jeśli niczego nie można zmienić, bo zawsze trzeba liczyć głosy, to przestaje mieć to sens. A ci, którzy liczą, że grając na siebie, coś ugrają, mylą się. Nic nie zwojują. Wygrywa idea, wygrywa sztyld polityczny.

Czy gdyby Solidarna Polska poszła do wyborów samodzielnie, być może razem z częścią Konfederacji, PiS byłoby gotowe zawrzeć z nią koalicję w nowym Sejmie?

Nie byłby to łatwy koalicjant, ale nie zawsze można mieć komfort samodzielnego rządzenia. Już teraz zresztą go nie mamy.

Ze szybkimi wyborami przemawia także kalendarz gospodarczy, prognozy są dość ponure.

To prawda, wielu ekspertów mówi, że idą ciężkie czasy. Ale nie wiemy, czy tak rzeczywiście będzie. Pandemia miała

Na spotkaniu z węgierskimi ambasadorami premier Orbán stwierdził, że „sojusz z Polską jest na śmierć i życie”. Mam nadzieję, że nadal tak uważa i będzie tak działał, by ów sojusz był możliwy do utrzymania

przynieść katastrofę, a nie przyniosła. Tak też może być z wojną i jej skutkami. Dużo zależy od tego, jak długo będzie trwała wojna, czy zakończy się rozejmem, czy też będzie się tliła przez lata.

Czy zmiana ordynacji jest możliwa?

Nie, ponieważ prezydent odmawia „dłubania” przy prawie wyborczym, więc pewnie pójdziemy do wyborów według dotychczasowych reguł. Myśleliśmy o tym, ale zabrakło siły.

Myśleliście o koncepcji 100 okręgów wyborczych?

Tak, to była jedna z koncepcji.

Ogólnie jednak relacje PiS z prezydentem Andrzejem Dudą poprawiły się po wybuchu wojny?

Tak, prezydent mocno się zaangażował w politykę zagraniczną, ale także we wspieranie solidarności z uchodźcami, wsparcia dla Ukrainy. Polska na tym korzysta.

Czy w pana ocenie można kontynuować bliską współpracę z Węgry premiera Orbána po tym, gdy Budapest zajął tak odmiennie od naszego stanowisko po rosyjskiej agresji na Ukrainę? Pan długo bronił tego sojuszu.

I w gruncie rzeczy nadal tak myślę. Różnica w podejściu do wojny jest poważna i politycznie dla nas kosztowna, ale pamiętajmy: premier Orbán prowadzi w gruncie rzeczy taką politykę jak Austria czy Niemcy. Dużo się u nas mówi, że Węgry nie przepuszczają broni, ale mało kto wie, że podobną decyzję podjęła Rumunia. Zachowajmy proporcje. Z tego co wiem, na spotkaniu z węgierskimi ambasadorami premier Orbán stwierdził, że „sojusz z Polską jest na śmierć i życie”. Mam nadzieję, że nadal tak uważa i będzie tak działał, by ów sojusz był możliwy do utrzymania.

A co sądzi pan o wypowiedziach papieża, który snuje opowieści o „NATO szczekającym pod drzwiami Rosji”?

Zalamuję ręce. Jest z Ameryki Południowej i być może to go trochę tłumaczy. O jednym pamiętajmy: Kościół to ostatnia linia obrony cywilizacji i trzeba go bronić, nawet jeśli popełnia błędy.

Na fali oburzenia na zbrodniczą Rosję usuwamy z polskiego krajobrazu pozostałe pomniki Armii Czerwonej. Poparcie społeczne jest w tej sprawie dość wysokie. Już jednak wyburzenie Pałacu Kultury i Nauki – w końcu „prezentu” od Stalina – popiera zaledwie co dziesiąty Polak. Pan poparłby wyburzenie?

Pewnie tak, choćby z szacunku do tych, którzy o to zabiegają od dziesięcioleci. Ale skoro jest taki opór, to może trzeba to przebudować? Coś zmienić warto. A sowieckie pomniki trzeba wyburzyć. Popieram pomysł nowelizacji

Prezydent odmawia „dłubania” przy prawie wyborczym, więc pewnie pójdziemy do wyborów według dotychczasowych reguł. Myśleliśmy o tym, ale zabrakło siły

ustawy, która pozwoli na likwidację także tych monumentów, które już zostały wpisane do rejestru zabytków. Trzeba je przenieść do muzeów.

Czy coś już się klaruje w sprawie tego, kto mógłby być kandydatem na urząd prezydenta?

Nic jeszcze nie wiadomo, poza tym, że prezes o tym myśli.

A jak pan ocenia pozycję premiera Mateusza Morawieckiego? Kilka miesięcy temu

w PiS toczyła się w tej sprawie poważna dyskusja. Po wojnie zgasła.

Już długo przed wojną mówiłem, że nie ma tematu premiera. Ci, którzy sobie wyobrażają, że możliwa jest jakaś zmiana, powinni to sobie wybić z głowy.

Czy wojna zmieni coś w Polsce w głębszym sensie?

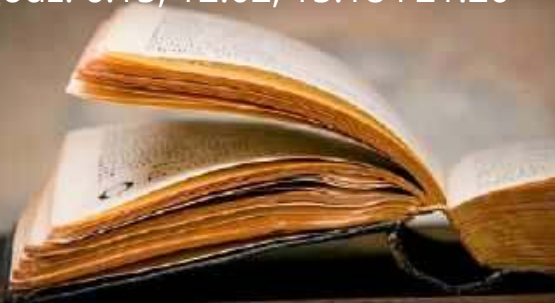
Sądzę, że wartości propaństwowe jednak będą zyskiwały na znaczeniu. Ale trzeba działać szybciej. Pilnie potrzebna jest ustawa o obronie cywilnej, potrzebna jest – do pewnego stopnia – militaryzacja społeczeństwa. Musimy mieć społeczeństwo przygotowane na każdy scenariusz.

REKLAMA



"Księga" - ks. Łukasz Turek
i Paweł Kęska
sobota, godz. 20.10,
niedziela, godz. 9.10

"Ewangeliarz" - codziennie,
godz. 6.15, 12.02, 15.18 i 21.20

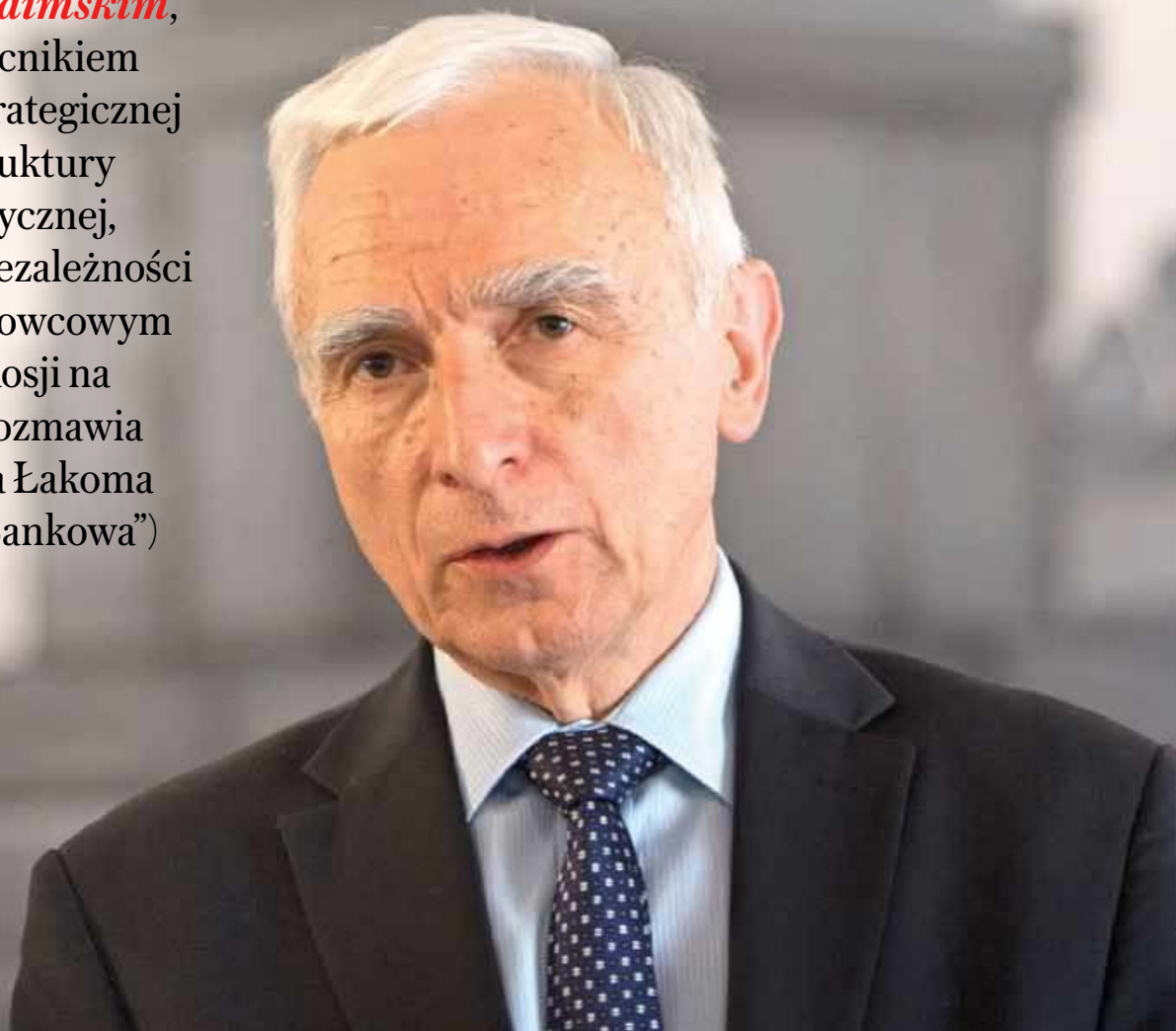


Radio Warszawa 106,2 FM i www.radiowarszawa.com.pl

570432/F

Ostateczna rozprawa z rosyjskim monopolistą

Z ministrem
Piotrem Naimskim,
pełnomocnikiem
rządu ds. strategicznej
infrastruktury
energetycznej,
o gazowej niezależności
Polski i surowcowym
ataku Rosji na
Europę rozmawia
Agnieszka Łakoma
(„Gazeta Bankowa”)



Rosja odcięła Polsce dostawy gazu, bo nie chcieliśmy płacić w rublach. Znaleźliśmy się w sytuacji, której przez lata wszyscy się obawiali. A teraz słyszymy, że to nie problem.

Piotr Naimski: Żądanie rozliczenia w rublach to był tylko pretekst. Gazprom wstrzymał dostawy, łamiąc obowiązujący jeszcze do końca roku kontrakt z Polskim Górnictwem Naftowym i Gazownictwem. To oczywiście jest trudna sytuacja, ale przygotowaliśmy się do niej od lat, wiedząc i widząc, jak w przeszłości Rosja używała surowców energetycznych jako broni politycznej do wywierania nacisku na kraje i rządy. Dlatego zapewniam, że damy sobie radę.

Jak dotąd Rosjanie zakręcili kurek z gazem tylko Polsce i Bułgarii. Czy to ma być sygnał ostrzegawczy dla innych?

To szersza kwestia. Rosja usiłuje stosować retorsje za sankcje nałożone przez państwa unijne po jej agresji na Ukrainę. Niestety, te sankcje nie są wystarczająco dotkliwe i gospodarczo, i wizerunkowo, skoro Rosja zdecydowała się na kontratak. Postawiła krajom unijnym ultimatum: albo płatność w rublach, albo gazu nie będzie. To jest kwestia nie tylko ekonomiczna, czyli próba wyparcia z rozliczeń gazowych euro i dolara. Rosjanie próbują tym sposobem osiągnąć cele polityczne, próbują narzucić Zachodowi swoje warunki, a jeśli nie, to przynajmniej nas podzielić.

Ultimatum w odniesieniu do surowców Rosja stosuje nie pierwszy raz. Odcięcie gazu to nie nowość, a mimo to Europa Zachodnia bazowała na Rosji jako na dostawcy surowców. Dlaczego?

Zarówno politycy, jak i firmy w Europie Zachodniej, zwykle gdy Gazprom zakręcał kurek, twierdzili, że to tylko chwilowe perturbacje, że Rosja jest wiarygodna i przecież zależy jej na sprzedaży surowców do Europy, zatem uzależnienie od tego importu to nie problem.

Czyli to Rosja wypracowała sobie pozycję rozgrywającego w Europie? Skoro Europa Zachodnia godziła się

na uzależnienie od importu z Rosji, a firmy tych krajów zarabiały na budowie gazociągów i projektach wydobywczych w Rosji. W tle zawsze były też wielkie pieniądze...

Nie chodzi tylko o wpływy do budżetu, o pieniądze, choć w wymiarze osobistym dla niektórych na pewno, skoro znane ze świata polityki osobistości w Niemczech, Włoszech, Austrii czy Francji otrzymywały olbrzymie, niespotykane w innych sektorach wynagrodzenie za pracę na rzecz rosyjskich firm. Problem jest dużo poważniejszy – Władimir Putin mówił o nowym europejskim ładzie w wymiarze ekonomicznym i politycznym. Mówił o tym w przemówieniu na Westerplatte 1 września 2009 r. Dążeniem Rosji było i nadal jest polityczne zdominowanie całej Europy, a narzędziem miało być m.in. uzależnienie od monopolu dostaw surowców energetycznych. Chodziło zwłaszcza o zacieśnienie współpracy poprzez budowę wielkich rurociągów tłoczących gaz do Europy z pominięciem niewygodnych krajów, takich jak Ukraina, oraz wspólne przedsięwzięcia w samej Rosji z wykorzystaniem zachodnich technologii eksploatacji złóż.

Obecna sytuacja obnażyła słabość pomysłu wielkiej wzajemnej współpracy Europy Zachodniej i Rosji. Czy można ją już uznać za przeszłość?

Widać w niektórych krajach zmianę podejścia do Rosji, ale otwarte pozostaje pytanie, na ile będzie trwała. Nawet w niemieckim rządzie słychać różne opinie, a gazociąg Nord Stream 1, którym płynie rosyjski gaz przez Bałtyk do Niemiec, pracuje bez przeszkód. I tak naprawdę nie wiemy, czy dokonają w rublach płatności za te dostawy. Jeśli tak – to będzie podważać solidarność Europy w kwestii stosunku do wojny na Ukrainie. A na tym właśnie najbardziej zależy Rosji – teraz wykorzystując surowce, chce rozbić europejską jedność.

Teoretycznie wojna powinna umacniać unijną solidarność, bo wszyscy na niej tracą.

Stan wojny zwykle zmienia punkt widzenia w wielu sprawach. Położenie

i uwarunkowania są różne dla różnych państw UE, dlatego tak trudno wypracować jednolite stanowisko w sprawie skali i zakresu sankcji wobec Rosji. Wydaje się jednak, że coraz więcej rządów zaczyna rozumieć zagrożenie i to, że po prostu jesteśmy wszyscy w niebezpieczeństwie. Rosja nie ukrywa swoich celów – od grudnia oficjalnie wiadomo, jak wyobraża sobie współpracę z NATO i USA, i czego żąda. Projekty traktatów między Federacją Rosyjską i NATO oraz USA zostały opublikowane, ale jeśli zostałyby podpisane, to cofnęlibyśmy się do rzeczywistości i granic z 1997 r., a może nawet z 1987 r. Po prostu Rosja chce odzyskać status mocarstwa światowego z czasów Związku Sowieckiego i być na równi ze Stanami Zjednoczonymi. Pytanie, czy Zachód się na to zgodzi.

Powiało grozą... Nie wyobrażam sobie powrotu do rzeczywistości geopolitycznej sprzed 25 czy 35 lat, a pan?

Życzymy sobie, by tak się nie stało. Nie chcę nikogo straszyć, sytuacja jest bardzo groźna i nie jestem jedynym, który tak sądzi.

Teraz musimy się zmierzyć z zakręconym przez Gazprom kurkiem. Mówił pan, że damy radę, ale gazociąg Baltic Pipe z Danii do Polski jeszcze nie jest gotowy, zaś na dalszą rozbudowę gazoportu w Świnoujściu trzeba poczekać.

W porównaniu do innych krajów europejskich jesteśmy bardzo dobrze przygotowani do tej sytuacji, może nawet najlepiej w Europie. I tak planowaliśmy z końcem grudnia zakończyć współpracę z Gazpromem i nie przedłużać kontraktu. Zaś rosyjski gaz zastąpić ma norweski i skroplony, czyli LNG. Z Baltic Pipe zdążymy na czas, mamy wypełnione w 80 proc. magazyny, do gazoportu co tydzień praktycznie zawija kolejny statek z LNG, bo na ten rok zaplanowaliśmy ponad 50 dostaw. Otworzyliśmy własnie gazociąg łączący nasz kraj z Litwą, a latem uruchomimy polsko-słowacki, którym tłoczyć można 5–6 mld m sześć. gazu rocznie. To efekt realizowanej strategii inwestycyjnej.

Wprawdzie gazoport rozpoczęty decyzjami w początkach 2006 r. nie został zbudowany przez rząd Tuska do 2012 r., a takie było założenie, ale udało się go dokończyć naszemu rządowi w 2016 r. Od 2016 r. konsekwentnie realizujemy plan zgodnie z przyjętym harmonogramem. Gdyby udało się zachować ciągłość działań jeszcze z lat 90., to już kilkanaście lat temu uniezależnilibyśmy się od Rosji. Wypracowane i gotowe umowy gazowe z Danią i Norwegią, które zawarliśmy w 2001 r., niestety zerwał rząd SLD.

Jak pan teraz po latach ocenia tę decyzję Leszka Millera?

On twierdził, że gaz z Rosji jest tani, pewny i blisko, a z kolei Donald Tusk, że niepotrzebne są nam dodatkowe wydatki na wielkie rurociągi. Ponadto pan Miller opowiada, że umowy ze Skandynawami wymagały jakichś dodatkowych rozmów czy też podpisów. Mija się z prawdą. Jedyne co musiał nowy – po wyborach jesienią 2001 r. – rząd Millera zrobić, to przesłać podpisane już i zatwierdzone za rządu premiera Jerzego Buzka, z udziałem wiceminister skarbu państwa pani Barbary Litak-Zarębskiej oraz Zarządu i Rady Nadzorczej PGNiG, dokumenty do Kopenhagi i Oslo. Miller tego nie zrobił. Uważam, że to były działania wbrew polskiemu interesowi narodowemu, wynikające z polityki uległości wobec Rosji. Najwyraźniej przyjęto założenie, że Polska nie będzie suwerennym krajem, skoro nie podjęto działań na rzecz suwerenności energetycznej. Dalszą ocenę pozostawiam czytelnikom. Brałem udział w przygotowywaniu tamtych umów i kontraktów. I tak jak wtedy nie ukrywałem żalu z powodu ich zerwania, tak dzisiaj mam pewną satysfakcję, że po 30 latach od kryzysu w 1992 r. i planów połączenia gazowego z Morzem Północnym mogę brać udział w ostatecznym rozprawieniu się z rosyjskim monopolistą.

Nawet jeśli gazu nam nie zabraknie po tym, jak Rosjanie zakręcili kurek, to będzie bardzo drogi. Co pan powie polskim odbiorcom?

Po pierwsze gaz od rosyjskiego monopolisty był zawsze drogi. Po drugie kryzys energetyczny mamy już od jesieni. Rosjanie zostawili niemal puste magazyny w Niemczech i Austrii oraz ograniczyli dostawy do Europy. To były skuteczne manewry przed wojną z Ukrainą niszczące rynek gazu w Europie i skutkujące skokowym wzrostem cen. Dotknęło to wszystkich, także PGNiG i uderzyło w odbiorców – również w naszym kraju. Osoby indywidualne i odbiorców wrażliwych, czyli takie podmioty jak szpitale, przedszkola czy szkoły, chronią taryfy, czyli ceny zatwierdzone przez prezesa Urzędu Regulacji Energetyki. Taki system pozwala bronić te grupy użytkowników gazu przed bezpośrednim wpływem nieoczeki-

Przedłużamy obowiązywanie systemu taryfowego, chroniącego m.in. odbiorców indywidualnych, do 2027 r. Nie ma wątpliwości, że sytuacja na europejskim rynku gazu nie uspokoi się z dnia na dzień, lecz może to potrwać nawet 2–3 lata

wanych podwyżek cen hurtowych. W związku z kryzysem przedłużamy obowiązywanie systemu taryfowego do 2027 r. Niestety nie ma wątpliwości, że sytuacja na europejskim rynku gazu nie uspokoi się z dnia na dzień, lecz może to potrwać nawet 2–3 lata. Po prostu Europa potrzebuje czasu na zastąpienie gazu rosyjskiego importem z innych kierunków. Wymaga to inwestycji w sieci przesyłowe i gazoporty LNG w Europie. Kolejne kraje



decydują się na nie, np. w Niemczech zapadły w ostatnich tygodniach decyzje o budowie trzech terminali LNG.

Jak w tej sytuacji – drastycznie wysokich cen gazu – przetrwają zakłady azotowe i czy budowa bloków gazowych w polskich elektrowniach w ogóle ma sens?

Musimy brać pod uwagę kwestię kosztów wytwarzania energii i dostosowywać inwestycje do naszych możliwości. Będziemy starali się jak najdłużej utrzymać produkcję energii w elektrowniach węglowych. Niemcy już to robią. Okazuje się bowiem, że w tym roku energia z tych elektrowni nie tylko w Polsce jest najtańsza. Przygotowujemy aktualizację strategii, czyli Polityki Energetycznej Polski do 2040 r. Wcześniej planowane bloki gazowe w elektrowniach zostaną ukończone, jednak nie dopuścimy do niekontrolowanego zbytniego uzależnienia polskiej energetyki od importowanego gazu. Zakładamy wzrost zużycia gazu w naszym kraju do maksymalnie 30–32 mld m sześc. w ciągu dziesięciu lat. Do tego będziemy technicznie przygotowani, a PGNiG zapewni odpowiednią ilość surowca.

Planowany wzrost zużycia gazu jest istotny. Teraz Polska wykorzystuje 20 mld m sześc. rocznie. Inwestycje, o których wcześniej pan mówił, nie wystarczą.

Zakładamy oprócz rozbudowy gazoportu w Świnoujściu uruchomienie pływającego terminalu LNG w Gdańsku. Decyzje o możliwoś-



ciach regazyfikacyjnych zapadną na dalszym etapie, ale będą nie niższe niż 6 mld m sześć. rocznie. To są inwestycje przewidziane do ukończenia do połowy lat 20.

Trwają teraz ostatnie ustalenia w sprawie nowego pakietu unijnych sankcji na Rosję, w planach jest embargo na dostawy ropy. Nieoficjalnie wiadomo, że nawet Niemcy gotowe są je poprzeć. Jeśli zostanie szybko wprowadzone, to – według ekspertów – wywoła gwałtowny wzrost notowań ropy. Czy te obawy mogą powstrzymać decyzję o embargu?

Na Ukrainie giną ludzie, bez ostrych sankcji nie uda się zatrzymać Rosji. Odsuwanie embarga w czasie to niebezpieczne pomieszczenie interesów biznesowych z racją stanu, która nakazuje użycie dostępnych środków dla powstrzymania rosyjskiej agresji. Niebezpieczne jest też wykluczanie przyjęcia na siebie kosztów wojny, która sprawia, że na Ukrainie giną jej obrońcy i cywile, a dla całej Europy Rosja stanowi realne zagrożenie.

Rząd zapewnia, że zakaz importu ropy rosyjskiej nie spowoduje problemów, bo PKN Orlen w rafinerii w Płocku i Gdańsku może przerabiać różne gatunki surowca, które sprowadzimy tankowcami do Nafportu w Gdańsku. Ale to wszystko będzie kosztować, tymczasem paliwo na polskich stacjach już jest o 30–40 proc. droższe niż rok temu. I odbija się na całej gospodarce.

Będziemy starali się jak najdłużej utrzymać produkcję energii w elektrowniach węglowych. Niemcy już to robią. Okazuje się bowiem, że w tym roku energia z tych elektrowni nie tylko w Polsce jest najtańsza

Zmiana kontraktów z rosyjskich na inne może być kosztowna. Inne kraje – producenci ropy w naturalny sposób będą chcieli zarobić. Można spodziewać się, że dojdzie do istotnych zmian na rynku naftowym, tak jak to miało miejsce w 1973 r., w czasie kryzysu naftowego, gdy Zachód uznał, że nie może być uzależniony od ropy arabskiej. Teraz ropy nie brakuje na świecie, czasem niestety jednak jest w miejscach – nazwijmy to politycznie trudnych – jak Iran. Obecny kryzys jest związany z działaniami Rosji, ale gdyby świat się porozumiał, to możliwe jest przeżycie światowej gospodarki bez rosyjskich węglowodorów.

Rosja już szuka odbiorców poza Europą. Głównymi kierunkami są Chiny i Indie, a całkowite zatrzymanie przez Unię importu ropy i gazu wydaje się

nierealne. Czego możemy się więc spodziewać?

W Unii Europejskiej łatwiej będzie osiągnąć porozumienie w sprawie embarga na rosyjską ropę niż gaz. I to jest o tyle istotne, że właśnie wpływy z eksportu ropy mają dla budżetu Rosji decydujące znaczenie, istotnie przewyższając przychody ze sprzedaży gazu. Gdyby okazało się, że kraje unijne porozumiały się i solidarnie zaprzestaną kupowania rosyjskiej ropy, to będzie duży sukces.

Obecna sytuacja na pewno wpłynie na tempo i zakres realizacji Zielonego Ładu w Europie, wiele mówi się o jak najszybszej rezygnacji z węglowodorów. Dla naszej energetyki i gospodarki to wielkie wyzwanie. Czego możemy się spodziewać?

Transformacja energetyczna w Polsce i w całej Europie musi być prowadzona z zachowaniem bezpieczeństwa dostaw energii w każdym momencie. Wymaga to m.in. utrzymania różnorodności technologii produkcji energii. Wiatr, panele słoneczne to dobre rozwiązania, jeśli równocześnie utrzymamy elektrownie dające nam prąd, kiedy wiatru nie ma i jest ciemno. Gaz pozostanie jeszcze długo paliwem przejściowym, a w Polsce musimy zbudować energetykę jądrową i utrzymać węglową, wprowadzić w coraz mniejszym zakresie, ale prawdopodobnie do połowy tego wieku.



Dogadane

Kompromis z Komisją Europejską wreszcie staje się faktem, a wielkie pieniądze popłyną z Brukseli do Polski. Warunek jest już tylko jeden: zgoda w Zjednoczonej Prawicy



MAREK PYZA **MARCIN WIKŁO**

Nad Europą i światem zawisło widmo wielkiego kryzysu. Według większości ekonomistów obecne turbulencje to tylko początek tego, co nas może czekać w ko-

lejnych miesiącach. To dlatego polskie władze robią wszystko, by przygotować nasz kraj na ciężkie czasy. Absolutnie kluczowym do tego krokiem jest zażegnanie konfliktu z Komisją Europejską i odblokowanie środków na Krajowy Plan Odbudowy, a zwłaszcza tych z długoletniej perspektywy budżetowej Unii Europejskiej. Można dywagować, czy i jak rząd poradziłby sobie bez tych pieniędzy. Jednak nikt nie ma wątpliwości, że własne rezerwy, zaciskanie pasa oraz poszukiwanie gotówki na rynkach nie zrównoważyłyby tego,

co powinno popłynąć do Warszawy z Brukseli.

Inflacja szaleje na całym kontynencie (nie tylko zresztą w Europie), wyjście z niej zajmie lata. W efekcie rosną stopy procentowe, a więc i raty kredytów. Jeśli w portfelach mamy mniej, to i mniej kupujemy. W strefie euro spada więc sprzedaż detaliczna (w Polsce wciąż delikatnie rośnie) – i to bardziej, niż oczekiwali rynki. Oznacza to kolejne kłopoty dla unijnej gospodarki. A za rogiem czekają skutki niewdrożonych jeszcze sankcji na Rosję obejmujących sektor surowców.

Ceny będą jeszcze wyższe, pod znakiem zapytania stoi płynność dostaw.

To kolejne negatywne skutki bestialskiej wojny wywołanej przez Rosję na Ukrainie. Jeśli nałożymy je na perturbacje wynikłe z pandemii (m.in. absurdalne ceny międzykontynentalnego transportu towarów), politykę handlową Chin i stojącą pod znakiem zapytania najbliższą przyszłość geopolityczną, otrzymamy obraz może nie katastroficzny, lecz na pewno każący zapalać czerwoną lampkę wszystkim sprawującym władzę.

GRA O WSZYSTKO

Wobec powyższego w ostatnich tygodniach polski rząd prowadził równoległe dwie najważniejsze sprawy. Z jednej strony pomoc dla walczącej Ukrainy oraz zwiększenie zaangażowania w nią Zachodu. Z drugiej – negocjacje z Komisją Europejską w sprawie pieniędzy z funduszu odbudowy i budżetu UE na lata 2021–2027. Jak się dowiadujemy, wszystko wskazuje na to, że porozumienie jest już osiągnięte i niebawem zostanie ogłoszone.

Będzie to oznaczało koniec trwającego ponad rok serialu. Krajowy Plan Odbudowy został bowiem przyjęty przez Sejm 4 maja 2021 r. Poparły go PiS, Lewica, PSL, Polska 2050 i dwóch posłów z kół Pawła Kukiza. Przeciw była Solidarna Polska i Konfederacja. Posłowie PO wstrzymali się od głosu. Ten opis pokazuje, jak nietypowe okazało się to arcyważne głosowanie.

Linie politycznych podziałów przebiegały inaczej, niż wskazuje codzienna sejmowa arytmetyka. Z różnych powodów. O ile posłowie partii Zbigniewa Ziobry brak akceptacji dla KPO tłumaczyli zagrożeniem suwerenności Polski (wskazywali na możliwość szantażowania naszego kraju tymi pieniędzmi, wymuszania przez Brukselę wydawania ich na projekty rujnujące polską energetykę czy niepotrzebnym zadłużaniem państwa kolejnymi pożyczkami zaciąganych przez całą Wspólnotę), o tyle PO miała jeden jasny cel – zaszkodzić wizerunkowi rządu i doprowadzić do realizacji planu nakreślonego ongiś przez wiceszefową Parlamentu Europejskiego Katarinę Barley, która chciała „zagłodzić finansowo Polskę i Węgry”.

Dlatego do dziś Donald Tusk trzyma kciuki, by porozumienia na linii War-

szawa–Bruksela nie było, zaś jego podkomendni z Parlamentu Europejskiego nawet w nasze narodowe święto 3 maja uczestniczą w spektaklach wymierzonych w Polskę.

A czasu jest coraz mniej. Bo do końca roku trzeba zaplanować, na co zostanie wydana duża część środków z KPO. Dodatkowo, jak relacjonują nasi rozmówcy z rządu, Komisja patrzy na pieniądze z obu źródeł jako na całość. Krótko mówiąc, jeśli nie da funduszy na KPO, nie będzie też środków z unijnego budżetu. W sumie chodzi o 770 mld zł. „To gra o wszystko albo nic. Ale dziś mogę powiedzieć, że na 99 proc. zakończy się ona sukcesem. Kompromis został osiągnięty. Teraz działamy dwutorowo: KE ma obowiązek zatwierdzić nasz plan odbudowy, a z drugiej strony my mamy przyjąć ustawę likwidującą Izbę Dyscyplinarną” – mówi jeden z ministrów.

W POPRZEK KOALICJI

Jak słyszymy, urzędnicy z Brukseli wcale nie szukali jakichś dodatkowych problemów, lecz dążyli do porozumienia z Warszawą. Jakich kroków oczekuje Komisja Europejska? „Właściwie tylko jednego: przyjęcia ustawy o Sądzie Najwyższym. Na agendzie rozmów nie było ani kwestii Trybunału Konstytucyjnego, ani Krajowej Rady Sądownictwa. Wszystko sprowadza się do dwóch wyroków TSUE z 14 i 15 lipca 2021 r. kwestionujących Izbę Dyscyplinarną” – opowiada jeden z najbliższych współpracowników Mateusza Morawieckiego. Inny dodaje, że najtrudniejsze w tym procesie było wytłumaczenie absurdów, jakie narosły w głowach komisarzy: „Wyrażnie odczuwalny był brak uczciwej rozmowy o tym, co polski rząd robił przez ostatnie pięć lat. Narracja antyrządowych stowaryszeń sędziowskich mocno przebiła się do świadomości urzędników unijnych. Długo musieliśmy to wyjaśniać”.

Co ciekawe, większości czasu w trakcie finansowych negocjacji z Brukselą wcale nie poświęcono temu, o czym pisało się w polskich gazetach. „Dłużej rozmawialiśmy o OZE: farmach wiatrowych, aukcjach energii ze źródeł odnawialnych, Funduszu Transformacji Energetyki” – wylicza jeden z ministrów zajmujących się gospodarką.

Ale kluczem do uwolnienia pieniędzy pozostaje kwestia Sądu Najwyższego. Z tego powodu w Prawie i Sprawiedliwości zarządzono na przyszły tydzień pełną mobilizację. Zwołano nawet dawno nieorganizowane wyjazdowe spotkanie klubu PiS przed posiedzeniem Sejmu, na którym posłowie najpewniej zagłosują nad nowelizacją przepisów o SN autorstwa głowy państwa. Najważniejsze pytanie brzmi: co zrobi Solidarna Polska?

DECYZJE NIEPOPULARNE

Pierwsze zgrzyty wokół prezydenckiego projektu pojawiły się od razu, gdy został on złożony w Sejmie. O krytyce za chwilę, najpierw o samym pomysle i jego genezie. Osoby z otoczenia Andrzeja Dudy mówią, że dwie jego „niepopularne” decyzje były podjęte po to, by wyjść z pewnego międzynarodowego impasu, w którym znalazła się Polska. Szczególnie w niepewnym czasie zbliżającego się niebezpieczeństwa ze Wschodu, naporu na granicę przez uchodźców nasyłanych przez białoruski reżim, szalejącego zimą koronawirusa i rosnących cen. Wtedy Duda, wetując nowelizację ustawy medialnej, tłumaczył to troską o to, by nie wzbudzać w Polakach większych niepokojów, ale kluczowym czynnikiem była chęć dotrzymania biznesowych umów polsko-amerykańskich. Padły wówczas pytania o naciski. Polski prezydent podjął decyzję absolutnie samodzielnie, ale w gęstniejącej atmosferze nieporozumień z Wielkim Bratem zza oceanu. Nikt tego nie wypowiedział, lecz „stała obecność” wojsk amerykańskich mogła zmienić się w „obecność rotacyjną” na przemian z Rumunią. Po wecie takich dywagacji już nie było, a amerykańska administracja bardzo doceniła polską odpowiedzialność. Dyplomacja ruszyła, chłód z początku kadencji Joeego Bidena odszedł w niepamięć.

Nowelizacja ustawy o Sądzie Najwyższym to także zabieg międzynarodowy, ale tym razem na polu europejskim. „Oczywiście, że założenia ustawy były konsultowane” – mówił nam wówczas, na początku lutego, jeden z bliskich współpracowników Andrzeja Dudy. To dlatego prezydent, przedstawiając projekt, nieco enigmatycznie mówił, że woła o znalezienie porozumienia jest również po stronie przedstawicieli Komisji Europejskiej.

Projekt prezydenta zakłada przede wszystkim likwidację Izby Dyscyplinarnej SN, to tego najgłośniej domagano się zarówno w kraju, jak i na forum europejskim. Sędziowie, którzy w niej orzekają, mieliby możliwość przejścia do innej izby lub w stan spoczynku. W zamian miałyby zostać utworzona Izba Odpowiedzialności Zawodowej, którą stworzy jedenastka sędziów wskazanych przez prezydenta na pięcioletnią kadencję. Prezydent miałby dokonać tego wyboru z grona 33 osób wylosowanych z ogółu arbitrów SN. To duża zmiana, ale – jak wskazują politycy opozycji – ułatwiająca tylko jeden z wielu problemów. Głównym ma być Krajowa Rada Sądownictwa, według przeciwników PiS upolityczniona, choć wybierana dokładnie na takich samych zasadach jak np. w Niemczech. Duda posłużył się tutaj pewnym fortelem, dyskusję o „legalności” bądź „nielegalności” sędziów uciął w projekcie, zgłaszając instytucję „testu bezstronności i niezawisłości sędziego”. Gdy arbiter test przejdzie, co w praktyce nie powinno być trudne, nie można będzie np. odmówić zasiadania z nim w jednym składzie, a tak do tej pory często robili sędziowie wybrani przez tzw. starą KRS. Według prezydenta da to każdemu obywatelowi „prawo do rozpatrzenia jego sprawy przez bezstronny i niezawisły sąd”. Koniec tematu? Wręcz przeciwnie. Okazuje się, że zmiana ta budzi zdecydowany sprzeciw Solidarnej Polski, czyli koalicjanta, który w Zjednoczonej Prawicy ma 19 posłów.

POD DYKTANDO ARYTMETYKI

Po przepracowaniu projektu prezydenta w komisji sprawiedliwości stał się on wiodącym dla PiS, ale wciąż nie dla partii Ziobry, która konsekwentnie ostrzega, że z Brukselą nie da się na nic umówić „na gębę”. Upór polityków Solidarnej Polski wynika przede wszystkim z nieufności wobec Komisji Europejskiej, a nie koalicjantów, ale ostre tarcia wewnętrzne są faktem. Powiedzieć, że nie było dobrej atmosfery do negocjacji pomiędzy ministerstwem sprawiedliwości a Pałacem Prezydenckim, to nic nie powiedzieć. Nie szczędzono sobie

złośliwości, nawet publicznie. Z obozu Dudy płynął jednostajny przekaz, że czas na negocjacje już minął i że ze strony prezydenta zostało powiedziane ostatnie słowo. Nawet gdy minister ds. UE Konrad Szymański ocenił w Sejmie, że projekt prezydenta to „krok w dobrym kierunku i wyraz odpowiedzialności za państwo”, w korespondencyjny dialog włączali się kolejni zioberyści. Wiceprezes Solidarnej Polski Michał Wójcik kontrował Szymańskiego: „Uważam, że Solidarna Polska nie powinna poprzeć

Kluczem do uwolnienia pieniędzy pozostaje kwestia Sądu Najwyższego. Z tego powodu w PiS zarządzono na przyszły tydzień pełną mobilizację przed posiedzeniem Sejmu, na którym posłowie najpewniej zagłosują nad nowelizacją przepisów o SN autorstwa głowy państwa. Najważniejsze pytanie brzmi: co robi Solidarna Polska?

i nie poprze w tej wersji takiego projektu”. Wiceminister sprawiedliwości Marcin Warchol stwierdził, że projekt Dudy niczego nie ułatwia, prowadzi za to do chaosu i anarchii. Im bardziej napięcie rosło, tym bardziej ulatywała finezja z wypowiedzi polityków. Gdy 1 maja w agencjach pojawiła się informacja o tym, że Zbigniew Ziobro nie wyklucza samodzielnego startu Solidarnej Polski, szef gabinetu prezydenta Paweł Szrot skomentował: „Prędzej chyba w kosmos”.

Ziobro często podkreślał, mniej lub bardzo dosadnie, że Duda (doktor prawa) zaplątał się w prawnych meandrach swojego projektu i zmierza w zasadzie donikąd. „Uprzedzaliśmy, że ta ustawa może

rodzić problemy, ale w imię kompromisu politycznego ją poparliśmy [...] Teraz bronimy obowiązujących przepisów, bo nowy projekt prezydenta jest gorszy niż obecna ustawa” – ocenił minister sprawiedliwości na konferencji prasowej w ub. tygodniu. Podczas tego samego wystąpienia z wiceministrem Sebastianem Kaletą padły jednak słowa o gotowości do rozmowy i kompromisu. „Mamy nadzieję, że ta gotowość będzie też po stronie pana prezydenta” – dodał Zbigniew Ziobro.

Politycy Solidarnej Polski chcieli publicznie wyznaczyć granice zapowiadanego kompromisu. Jest zgoda na likwidację Izby Dyscyplinarnej i zastąpienie jej Izbą Odpowiedzialności Zawodowej, ale nie ma możliwości poparcia dla wprowadzenia mechanizmu weryfikacji niezawisłości sędziów powołanych przez KRS po 2018 r., a tym samym kwestionowania wydanych przez nich orzeczeń. Kaleta uzasadniał, że mogłoby to wiązać się z celowym przeciąganiem postępowań oraz z możliwymi gigantycznymi odszkodowaniami za przewlekłość spraw.

„Jesteśmy jednak gotowi rozmawiać o tym projekcie, nie mówimy »nie, bo nie«. Uwzględniamy nadzwyczajną sytuację i presję na Polskę, niesłuszne sankcje, de facto okradanie Polski z należnych środków. Bierzymy też pod uwagę sytuację za wschodnią granicą” – podsumował Zbigniew Ziobro. I z tym przesłaniem Sebastian Kaleta pojechał do Pałacu Prezydenckiego na spotkanie z ministrem

Małgorzatą Paprocką, która pełni nadzór merytoryczny nad Biurem Prawa i Ustroju w KPRP. Tym razem dyskusja przebiegała już nieco inaczej, rozmowy określono jako bardzo merytoryczne, a ministrowie po raz kolejny omówili nowelę punkt po punkcie. Biorąc pod uwagę wcześniejsze emocje, to mowa o – jak słyszymy w pałacu – ostrożnym optymizmie wydaje się być krokiem w naprawdę dobrą stronę.

Bez tego może być trudno zrealizować ambitny plan modernizacji armii i obrony gospodarki w czasie głębokiego kryzysu. Wobec wojny u naszych granic po prostu nie możemy sobie na to pozwolić.

ZAMIEŃ PUNKTY NA POMOC



Za każde **1000 punktów** VITAY przekazane przez użytkowników Programu VITAY, Fundacja ORLEN przeznaczy **5 zł** na pomoc Ukrainie, a za każde **5000 punktów** – **25 zł**.
Wymiany punktów można dokonać na stronie vitay.pl w zakładce Fundacja ORLEN.
Punkty można przekazywać wielokrotnie.

*Opozycja ma
nieporównanie
większe kłopoty
z jedną listą niż
Zjednoczona
Prawica
z rozpadem*

Mit rozbitej prawicy



STANISŁAW JANECKI

Ogłaszanie ostatecznego rozbięcia Zjednoczonej Prawicy jest od ok. 2018 r. równie częste, jak wieszczanie końca PiS w latach 2012–2015 (wydany w 2012 r. wywiad rzeka Andrzeja Morozowskiego z Michałem Kamińskim miał znamienity tytuł „Koniec PiS-u”). I jest jedną z najbardziej jałowych politycznych debat w Polsce. W szczycie rozważań o ostatecznym rozbięciu Zjednoczona Prawica osiągnęła najlepszy wynik, jaki którekolwiek ugrupowanie zdobyło po 1989 r. (43,59 proc. głosów). Kolejny szczyt demontażu Zjednoczonej Prawicy przypadł na pierwszą połowę

2021 r. i skończył tym, że Porozumienie Jarosława Gowina zostało w sierpniu 2021 r. zastąpione Partią Republikańską Adama Bieleńskiego.

Wiosną 2022 r. mamy znowu opowieści o rozpadzie Zjednoczonej Prawicy. Towarzyszą im spekulacje, kiedy będą przyspieszone wybory. Najpierw miały być jesienią 2021 r., potem wiosną 2022 r., a następnie jesienią br. Obecnie lansowana jest wiosna 2023 r. Wszystko po to, żeby nie dopuścić do rozbięcia albo urządzić się po rozbięciu. Sympatyzujące z opozycją media prawie codziennie rozbijają Zjednoczoną Prawicę i organizują przedterminowe wybory. To one mają najbardziej poufne z poufnych informacje przekazywane przez anonimowych polityków Prawa i Sprawiedliwości albo przez tych, którzy się z partią bądź jej klubem pożegnali, jak senator Jan Maria Jackowski. Paradoksem – a może wręcz przeciwnie – jest to, że najmniej o rozbijaniu Zjednoczonej Prawicy mówi się w niej samej.

Podobnie jak nie jest to sprawa, która zajmowałaby lidera całego bloku – Jarosława Kaczyńskiego. Zajmowała, kiedy wychodziło z koalicji Porozumienie, ale nie był to żaden dramat, gdyż partia Jarosława Gowina była już wtedy tylko „resztówką”.

ŁATWA KOALICJA

Ci, którzy wieszczą rozpad Zjednoczonej Prawicy, przechodzą do porządku nad tym, że parlamentarna większość była krucha już od momentu ogłoszenia wyników ostatnich wyborów parlamentarnych. Mimo rekordowego wyniku procentowego zwycięstwo przekładało się na tyle samo mandatów, co poprzednio – 235 (przy wygranej w 2015 r. głosami 37,58 proc. biorących udział w wyborach). I od początku obecnej kadencji liderzy Zjednoczonej Prawicy zdawali sobie sprawę, że większość może być niestabilna. Tym bardziej że w drugiej połowie drugiej kadencji zwykle par-

tie mają kłopoty (nie tylko w Polsce) – i z większością, i ze spójnością. Tyle że to nie jest żaden dramatyczny problem, a Zjednoczona Prawica (formalnie Komitet Wyborczy Prawo i Sprawiedliwość) była jedynym ugrupowaniem po 1989 r., które w wyborach uzyskało samodzielną większość i to dwukrotnie. Ale była to jednak koalicja. Znacznie bardziej demokratyczna, a więc narażona na kłopoty niż koalicje PO-PSL (w 2007 r. mająca na starcie tylko 5 mandatów przewagi, zaś w 2011 r. – 32 mandaty przewagi). Polskie Stronnictwo Ludowe, mimo że startujące samodzielnie w wyborach w 2007 i 2011 r., było znacznie bardziej podporządkowane Platformie Obywatelskiej niż Solidarna Polska i Porozumienie kiedykolwiek Prawu i Sprawiedliwości (po wyborach w 2015 i 2019 r.). Powodem kłopotów była więc demokracja w większości sejmowej, a nie jej brak. Nikt nie jest w polskiej polityce bardziej kompetentny i obeznany z radzeniem sobie z trudnymi koalicjami od Jarosława Kaczyńskiego, który je współtworzył, poczynając od tej najtrudniejszej, będącej zaplecem rządu Jana Olszewskiego (działającej od 23 grudnia 1991 r., formalnie z zapleczem 114 mandatów). Dlatego to liderów partii obecnie opozycyjnych bardzo ekscytują kwestie większości, które dla Kaczyńskiego są jednymi z najłatwiejszych i najmniej problematycznych w jego politycznej karierze.

Głównym powodem rozbijania obecnie prawicy jest spór między PiS i prezydentem Andrzejem Dudą oraz Solidarną Polską w sprawie Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. To skądinąd spór znacznie mniej intensywny i groźny w mediach niż w rzeczywistości. I nagłaśnianie tego sporu jest głównie formą nacisku na strony, żeby ich wersja przeważała w procedowanej w Sejmie ustawie. Ale najbliższe otoczenie Jarosława Kaczyńskiego nie ma wątpliwości, że ostateczny projekt nie rozbije prawicy i będzie miał większość. Oczywiście nie jest tak, że w obozie rządzącym nie ma konfliktów. Tyle że ich poziom jest znacznie niższy od tego, co się najważniejszym podmiotom i politykom przypisuje. Priorytetem dla Kaczyńskiego było i jest realizowanie najważniejszych zamierzeń programo-

wych. A to zależy od trwałego posiadania władzy. Gdyby chodziło o to, żeby tylko utrzymać się u władzy, problemów z większością nie byłoby żadnych, gdyż nie dochodziłoby do sytuacji konfliktowych. One pojawiają się wyłącznie w związku z istotnymi reformami i zmianami. Administrowanie wywołuje tylko drobne problemy personalne, które są łatwe do rozwiązania. Z takiej perspektywy priorytetem jest przeprowadzenie wyborów w terminie. Jarosław Kaczyński uważa, że drugiej takiej operacji jak zastąpienie Porozumienia Partią Republikańską do wyborów w 2023 r. nie dałoby się przeprowadzić. I nie ma takiej potrzeby. A jeśli jakieś ugrupowanie Zjednoczonej Prawicy chciałoby resetu, najlepiej zrobić to w wyborach. Na własne ryzyko.

„PRZECIEKI” I FANTAZJE

Nikt poważny w Zjednoczonej Prawicy nie kwestionuje, że część „przecieków” czy zwyczajnych fantazji o rozłamowych tendencjach pochodzi od polityków rządzących. Tyle że nie mają one na celu faktycznego rozbicia koalicji, lecz są narzędziem nacisków: otoczenia premiera Mateusza Morawieckiego na Zbigniewa Ziobrę i Solidarną Polskę i odwrotnie. Jedna strona robi wrzutki o koniecznej wymianie koalicyjnego partnera, zaś druga wrzuca co jakiś czas spekulacje o wymianie premiera. Ale nie jest to nic nowego. Takie rzeczy działy się jeszcze w poprzedniej kadencji, z tym że wtedy był jeszcze trzeci gracz – Porozumienie Gowina.

W ramach kontrolowanych przecieków i dozowanych sensacji pojawiają się doniesienia o możliwości zastąpienia w koalicji rządzącej Solidarnej Polski przez Polskie Stronnictwo Ludowe. Tyle że prezes PiS nigdy tego wariantu nie rozpatrywał jako koniecznego, przede wszystkim ze względu na przeszłość PSL oraz kłopoty, jakie ta partia zawsze stwarzała swoim koalicjantom, szczególnie SLD w latach 2003–2005. Kaczyński nie ma złudzeń co do PSL. Tym bardziej że ma wiedzę o wieloletnich dziwnych uwikłaniach tej partii w interesy w Rosji, o całkiem silnych rosyjskich wpływach na różnych etapach funkcjonowania partii kierowanej

obecnie przez Władysława Kosiniaka-Kamysza. Czym innym jest prowadzenie roboczego dialogu z niektórymi politykami PSL, którzy wobec części propozycji programowych Zjednoczonej Prawicy zachowują się racjonalnie, a czym innym jest dialog z politykami zafiksowanymi na totalnej opozycyjności PO, szczególnie pod przywództwem Donalda Tuska. W każdym razie PSL nie jest obecnie alternatywą dla Solidarnej Polski, a większość oskarżeń adresowanych do Ziobry i jego partii jest celowo przesadzonych, dlatego że funkcja „czarnego luda” w koalicji bywa z wielu względów użyteczna, niezależnie od tego, czy to się podoba obsadzonemu w takiej roli, choć i dla niego czasem bywa to politycznie użyteczne.

Konflikty wewnątrz obozu władzy są znacznie sprawniej zarządzane przez najważniejszych polityków tego obozu niż się wydaje opozycji i mediom. Poza tym skupienie uwagi opozycji i jej mediów na tych konfliktach umożliwia załatwianie wielu innych spraw, gdzie też są problemy, ale nie ujawniają się i nie są przedmiotem medialnych debat oraz shitstormów. Jedynym realnym problemem Jarosława Kaczyńskiego jest ochocze korzystanie z mediów (często otwarcie wrogich Zjednoczonej Prawicy) przez uczestników sporów, choć najczęściej się tego wypierają. Zainteresowani politycy nie mogą zrozumieć, że to bardzo niebezpieczna taktyka, o czym najdotkliwiej przekonali się najpierw Kazimierz Marcinkiewicz, a potem Jarosław Gowin. Ogólnie spory wewnątrz Zjednoczonej Prawicy oraz potencjał rozłamowy są znacznie mniejsze niż w nieudolnie jednoczącej się opozycji pod przywództwem Donalda Tuska. A przesada w przedstawianiu konfliktów w obozie władzy ma często przykryć problemy ze wspólną listą opozycji, a nawet z dwiema listami. Jarosław Kaczyński nie przewiduje większych zmian w obozie rządzącym, w tym rozłamów i doprowadzenia do przedterminowych wyborów. A angażowanie się opozycji w rzekome konflikty wewnątrz obozu władzy wcale jej nie wzmacnia, tylko skupia na problemach, które najczęściej są już rozwiązane, choć dla opozycji nadal absorbujące. A ona nawet tego nie dostrzega.

Zburzyć czy zostawić?

Problem z Pałacem Kultury polega na tym, że jego położenie i rozmiary całkowicie zdefiniowały kształt warszawskiego Śródmieścia. Rozbiórka to nie wszystko. Gdyby chcieć zatrzeć po nim ślady, przywrócić temu miejscu ludzki wymiar, trzeba byłoby niemal wszystko dookoła zbudować od nowa. W przeciwnym razie nawet bez pałacu pozostanie w Warszawie jego duch



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Po agresji na Ukrainę Rosja, która z przyczyn historycznych i tak nigdy nie miała u nas wysokiej marki, osiąga rekordowo niskie notowania. Ich przejawem stały się, inicjowane czasem przez IPN, a niekiedy całkiem spontaniczne, akcje usuwania pomników ku czci komunizmu i Armii Czerwonej.

W tym właśnie kontekście po raz kolejny od upadku PRL powróciła – wydawałoby się wygaszona już – debata o przyszłości Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie (oryginalnie im. Józefa Stalina), który stanowi bodaj największy gabarytowo pomnik sowieckiego panowania nad Polską. Jednak podobnie jak poprzednie

dyskusje i ta również skończy się zapewne niczym. Położonego w ścisłym centrum miasta gigantycznego gmachu nie da się – ot tak po prostu – wyburzyć buldożerem. Gdyby było to takie proste, zapewne udałoby się to zrobić w ciągu ostatnich trzydziestu lat.

W SERCU MIASTA

Wokół Pałacu Kultury narosło wiele legend. Jedni twierdzą, że ideę budowy wysokiej wieży w Warszawie rzucił w 1951 r. Władysław Gomułka, komunistyczny zbrodniarz i wieloletni szef stalinowskiej dyplomacji. Inni, że Stalin – w ramach pomocy w odbudowie Warszawy – zaproponował sfinansowanie linii metra lub jakiejś dzielnicy mieszkaniowej, ale Bierut wołał coś bardziej spektakularnego.

Faktem jest, że Pałac Kultury jest rzeczywiście spektakularny. Wysoki na 42 piętra wieżowiec był wzorowany na amerykańskich drapaczach chmur z okresu międzywojennego. Rosjanie tak zachwycili się ich potęgą, że u siebie w Moskwie zbudowali siedem podobnych – znanych dziś jako Siedem Sióstr. Miały świadczyć o sile sowieckiego państwa, gdzie przecież wszystko miało



być zawsze największe i najbardziej przyciągające na świecie. Oczywiście nieco je zmieniono w stosunku do amerykańskich pierwowzorów: ich cechą charakterystyczną stały się wieżyczki z iglicami oraz boczne wieże nadające im kształt pałaców. Taki to właśnie pałac miał sobie wymarzyć w Warszawie Bierut, a Moskwa – jeśli wierzyć tej wersji historii – zgodziła się mu go zbudować.

Twórcą Pałacu został Lew Rudniew. Ekipa radzieckich architektów chciała nadać pałacowi lokalny, narodowy charakter, dlatego przed rozpoczęciem prac projektowych objechała najważniejsze polskie miasta, szukając inspiracji w polskiej architekturze. Trudno dziś ocenić, na ile powiódł się ten zamysł, bo pałac – jako całość – raczej niespecjalnie przychodzi na myśl polską tradycję czy kulturę. Udało się natomiast znakomicie wyeksponować socrealistyczne detale, takie jak posągi herosów socjalistycznej pracy: robotników czy kolchoźniczek zaczytujących się w świętych księgach Marksa, Lenina, Engelsa i Stalina (to ostatnie nazwisko dość szybko zaszachlowano na fali odwilży po 1956 r.).

Pierwotnie pałac miał stanąć na terenach Portu Praskiego w pobliżu ówczesnie budowanego Stadionu Dziesięciolecia (dziś w tym miejscu stoi Stadion Narodowy). Ostatecznie podjęto jednak decyzję zbrodniczą dla miasta i rozpoczęto budowę w najścisłym centrum Warszawy, w miejscu, gdzie przed wojną stały rzędy porządných XIX-wiecznych kamienic. Wiele z ich przetrwało wojnę, więc ich mieszkańcy przymusowo eksmitowano, a ich domy zburzono. Tym samym centrum Warszawy zamieniło się w bolesną, pustą dziurę, na której wyrósł gigantyczny gmach, nieodwracalnie dewastujący swoimi ogromnymi rozmiarami całe miasto.

Początkowo nie przesadzano z wysokością (większość moskiewskich pałaców jest niższa od warszawskiego) – celowano w jakieś 100–120 m, a więc w kilkanaście, może dwadzieścia pięter. Aby ocenić proporcje gmachu w stosunku do reszty miasta, nad zaplanowane miejsce budowy wysłano mały samolot ciągnący za sobą balon pomagający architektom ustalić wysokość przyszłego pałacu. Gdy

samolot znalazł się na 100 m, naczelny architekt Warszawy Józef Sigalin uznał, że to zbyt nisko i domagał się podwyższenia gmachu. Ostatecznie stanęło na 160 m (czyli 230 m wraz z iglicą). W chwili oddania pałacu do użytku w lipcu 1955 r. był on drugim pod względem wysokości budynkiem w Europie (po moskiewskim pałacu mieszczącym MGU – Moskiewski

Warszawa została potwornie okaleczona podczas II wojny światowej. Z tego powodu wiele osób uważa, że po takim doświadczeniu, nie powinno się już w stolicy niczego burzyć

Uniwersytet Państwowy) oraz ósmym na świecie. Od tej chwili Warszawa żyła i żyje do dziś w cieniu tej wielkiej budowli.

NIECHCIANY SYMBOL

Zarówno Pałac Kultury, jak i rozpościerający się przed nim od wschodniej strony plac Defilad, na którym Władysław Gomułka wygłosił swoje słynne przemówienie w 1956 r., nosiły pierwotnie imię Józefa Stalina. Nikt nie mógł mieć więc wątpliwości, komu zawdzięczamy i kogo wysławia radziecki dar dla Warszawy.

Z czasem jednak pałac został oswojony przez warszawiaków, zwłaszcza że wielu z nich osiedliło się tutaj wskutek powojennych migracji, nie znając w ogóle dawnej stolicy, tak więc nie miało do niej żadnego sentymentu. Pałac zaś, dominując nad całą Warszawą, siłą rzeczy stawał się jej niechcianym symbolem. Tym bardziej że szybko usunięto w cień ideologię. W budynku działały liczne kina, teatr oraz basen i pracownie hobbystyczne w popularnym Pałacu Młodzieży. W Sali Kongresowej obok restauracji z dancingami, odbywały się corocznie popularne i wartościowe Międzynarodowe Targi Książki oraz koncerty, w tym m.in. słynny występ The Rolling Stones w 1967 r. Wyżej mieściły się przez pewien czas niektóre

wydziały Uniwersytetu Warszawskiego oraz Polska Akademia Nauk. A z tarasu widokowego na 30. piętrze można było podziwiać panoramę stolicy. Pałac, choć może i raniał zmysł estetyki oraz proporcji wielu warszawiaków, stał się częścią codziennego życia miasta.

Nie zapomniano jednak nigdy do końca jego korzeni. Zbyt bardzo górował nad stolicą, zbyt ostentacyjnie, wręcz beczelnie, przypominał o sobie. W tym sensie nigdy nie wrósł w miasto, nie stopił się z nim.

O dawnej Warszawie przypominał też zaznaczony na płycie placu Defilad układ dawnych ulic: Wielkiej, Chmielnej, Żłotej. Pierwsza z tych ulic zupełnie zniknęła pod pałacem, pozostałe dwie zostały brutalnie rozerwane w połowie na dwie części i pomimo wielu starań nigdy już nie odzyskały dawnego splendoru. W tym pustym miejscu tętniło kiedyś życie stolicy, pomiędzy rzędami bogatych kamienic

kursowały tramwaje, przetaczały się tłumy przechodniów. Można było po wojnie starać się to odbudować, zrewitalizować, przywrócić centrum Warszawy ludzki wymiar, ale zamiast tego wznieziono gigantyczny pałac ku czci wodza komunizmu.

DEBATA BEZ KONKLUZJI

Po upadku PRL pojawiały się co jakiś czas koncepcje, aby zburzyć pałac. Przypominano losy Soboru św. Aleksandra Newskiego na placu Saskim w Warszawie (dzisiejszy plac Piłsudskiego), który również został zbudowany jako symbol rosyjskiej, prawosławnej dominacji nad miastem i z tego powodu został ostatecznie rozebrany w 1926 r. przez władze II Rzeczypospolitej, podobnie zresztą jak wiele innych pomniejszych obiektów i pomników rosyjskiej władzy. Jednak sobór, choć górujący sto lat temu nad Warszawą, nawet nie umywał się swoimi rozmiarami do Pałacu Kultury. Nikt nie miał pomysłu, jak rozebrać tak wielki budynek, skąd wziąć na to pieniądze i co w tym miejscu zbudować. Przedwojennej Warszawy już przecież dawno nie było, całkowicie zmienił się też urbanistyczny kształt miasta, w czym zresztą Pałac Kultury miał swój znaczący udział. Zamiast

Co myślą Polacy?

Zdecydowana większość Polaków popiera usuwanie pomników Armii Czerwonej, które postawiono na naszych ziemiach po II wojnie światowej.

Jak jednak wynika z badania pracowni Social Changes przeprowadzonego w dniach 22–25 kwietnia 2022 r. na zlecenie portalu wPolityce.pl, ponad 3/4 badanych,

aż 77 proc., opowiedziało się przeciwko wyburzeniu Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie.

Usunięcie sowieckiego pałacu z przestrzeni miejskiej **popiera zaledwie 10 proc.** respondentów. 13 proc. badanych nie ma zdania w tej sprawie.

Przeciwnicy wyburzenia PKiN dominują wśród wyborców trzech największych partii politycznych. Nawet wśród wyborców Zjednoczonej Prawicy za rozbiórka jest zaledwie 12 proc. badanych, a przeciwko aż 69 proc. Jednocześnie z badania wynika, że większość Polaków – równo 2/3 – ma świadomość, że PKiN to „podarunek” Stalina dla narodu polskiego

gęsto zabudowanego kamienicami Śródmieścia poprzecinanego siatką wąskich ulic, centrum Warszawy było po oczach szerokimi arteriami i gomulkowskimi blokami mieszkalnymi. Dlatego pałac stał sobie dalej, a znajdujący się przed nim pusty plac Defilad zagarnęli dla siebie handlarze, tworząc tu na początku lat 90. bodaj jeden z największych bazarów w naszej części Europy. Znów powrócili tu ludzie, ale przywodziło to raczej na myśl obrazki z jakiegoś prowincjonalnego targu: stalowe szczęki, pawilony z mydłem i powidłem, przepychający się w tłumie kupcy i handlarze oraz kręcący się wszędzie kieszonkowcy. A wszystko to w najściślejszym centrum Warszawy. Nie budowało to prestiżu miasta, więc podjęto próbę uporządkowania tego miejsca.

Wtedy znów pojawiły się pomysły ostatecznego rozwiązania problemu z pałacem, ale ówczesne władze Warszawy nie były skłonne do zbyt radykalnych rozwiązań. Przez lata ślamazarnie toczyły się konkursy wokół zagospodarowania terenu, zwłaszcza że handlarze nie chcieli wcale opuszczać swoich straganów, a miasto z jakichś powodów szło im bez przerwy na rękę.

Wśród pojawiających się wówczas koncepcji, pojawił się m.in. pomysł otoczenia pałacu parkiem. Z punktu widzenia deweloperów byłoby to jednak zbyt duże marnotrawstwo drogich gruntów, więc ustalono, że pałac powinien zostać zasłonięty zewsząd szklanymi wieżowcami.

W ten sposób chciano zadowolić zarówno przeciwników pałacu (bo nie będzie już go widać), jak i żądnych zysku deweloperów.

Większość zgłoszonych projektów była jednak beznadziejna, np. jeden z nich przewidywał, że wysokość budynków otaczających pałac będzie rosła wraz z ich zbliżaniem się do jego fasady. W ten sposób jednak zamiast pałacu mielibyśmy w Warszawie coś na kształt szklanej piramidy z pałacem umieszczonym w jej wnętrzu, co jeszcze bardziej niż dotąd podkreślałoby dominację daru Stalina. Szczęśliwie nic z tego nie wyszło.

Były też i inne pomysły, wśród nich na uwagę zasługiwała idea – zgłoszona m.in. przez Czesława Bieleckiego – aby pałac przekształcić w Muzeum Komunizmu. I choć może nie miało sensu zamieniać całego budynku w obiekt muzealny, to jednak była to przynajmniej ciekawa próba przywrócenia wiedzy o tym, skąd wziął się pałac i co on właściwie symbolizuje. W ten sposób ideologiczny charakter budynku zostałby w dużym stopniu zneutralizowany, nie byłby już bowiem symbolem komunizmu i Sowietów, lecz materialnym pomnikiem jego ofiar.

DUCH PAŁACU

Ostatecznie, jak łatwo się domyślić, skończyło się na niczym. Na północnej pierzei placu Defilad powstaje dziś gmach Muzeum Sztuki Nowoczesnej, na południowej ciągle razi okropna dziura przed

wejściem do stacji metra, a od zachodniej fasady pałacu przybywają kolejne wieżowce, wśród nich najwyższy w Unii Europejskiej gmach Varso Tower, którego łączna wysokość z iglicą wynosi 310 m, dzięki czemu mocno zdegradował pobliski Pałac Kultury. Żaden z tych nowych budynków nie ma jednak wyrazistego charakteru, co powoduje, że Pałac Kultury, choć coraz bardziej zasłonięty przez sąsiednie budowle, i tak mocno wyróżnia się na tle otoczenia.

Wszystko wskazuje więc na to, że pałac, który od 2007 r. jest wpisany na listęabytków, pozostanie na zawsze. Warszawa została potwornie okaleczona podczas II wojny światowej. Z tego powodu wiele osób uważa, że po takim doświadczeniu, nie powinno się już w stolicy niczego burzyć. Zwłaszcza, że trudno zaproponować coś w zamian. I nie chodzi wyłącznie o to, że rozbiórka pałacu byłaby zbyt kosztowna zarówno finansowo, jak i politycznie (zwolennicy wyburzenia są w zdecydowanej mniejszości), ale również o to, że wbrew wszelkim, czasem zresztą mocno wyidealizowanym tęsknotom za przedwojenną Warszawą, jej już nie ma i nigdy nie będzie. Stolicą jest dziś całkowicie innym miastem, z inną siatką ulic, z inną zabudową. Nie wklei się tutaj atrapy przedwojennego Śródmieścia. Osobiście też wolałbym, aby Pałacu Kultury nie było i zamiast niego chciałbym pospacerować po Wielkiej i Chmielnej, ale czasu nie cofnę.

Oczywiście ktoś może zapytać, po co przywracać stare, skoro można postawić w miejscu pałacu zupełnie nowy budynek? Pewnie można, ale właściwie po co? Czy kolejny szklany wieżowiec jakościowo zmieni miasto?

Problem z Pałacem Kultury polega na tym, że jego położenie i rozmiary całkowicie zdefiniowały kształt warszawskiego Śródmieścia. Rozbiórka to nie wszystko. Gdyby chcieć zatrzeć po nim ślady, przywrócić temu miejscu ludzki wymiar, nie psuć go, trzeba byłoby niemal wszystko dookoła zbudować od nowa. W przeciwnym razie nawet bez pałacu pozostanie w Warszawie jego duch. Po prostu trudno sobie dziś wyobrazić jakiegokolwiek sensowny pomysł rozbiórki gmachu bez jednoczesnej przebudowy ścisłego, ciągle zresztą powstającego, centrum stolicy. Jest już na to za późno.



Fot. Andrzej Wiktor

Powrót do lockdownu nam nie grozi

Z badań wynika, że pod koniec 2021 r. w Polsce 81,4 proc. obywateli miało przeciwciała, czyli miało kontakt z żywym wirusem SARS-Cov-2 lub się zaszczepiło

**Z dr. hab. nauk o zdrowiu
Grzegorzem Juszczykiem,
dyrektorem Narodowego
Instytutu Zdrowia Publicznego
PZH – Państwowego Instytutu
Badawczego, rozmawia
Dorota Łosiewicz**

Rząd zapowiedział zniesienie w polowie maja stanu epidemii. Czy możemy zapomnieć już o pandemii?

Grzegorz Juszczyk: Pandemia w skali globalnej wciąż jest wyzwaniem. W różnych regionach świata

dotychczasowy przebieg pandemii oraz poziom przyjęcia szczepionek przeciw COVID-19 bardzo się różnią. Mamy takie regiony jak Azja Południowa czy Afryka, gdzie odsetek jest bardzo niski. W Europie, USA, krajach bogatszych pandemia jest pod kontrolą. COVID-19 jako choroba zostanie z nami jeszcze długo. Jednak przez ostatnie dwa lata nauczyliśmy się wykorzystywać narzędzia niefarmakologiczne, np. obostrzenia ograniczające kontakty społeczne czy stosowanie zasad DDM: dezynfekcja, dystans, maseczki oraz wietrzenie pomieszczeń. Do tego w grudniu 2020 r.

dołączyły szczepienia ochronne, które będą kontynuowane. W tym miejscu zachęcam tych, którzy jeszcze się nie zdecydowali, że warto przyjąć dawkę podstawową lub przypominającą. W przypadku osób powyżej 80. roku życia zachęcam do przyjęcia drugiej dawki przypominającej. Trzecia grupa narzędzi to schemat leczenia, dostępne leki do stosowania w leczeniu ambulatoryjnym i udoskonalane procedury szpitalne.

Jak groźny jest teraz w Polsce wirus? Po wybuchu wojny temat niemal przestał istnieć.

Od początku pandemii prowadzimy w Polsce bardzo ścisły monitoring naszych wskaźników epidemiologicznych w zestawieniu z innymi krajami europejskimi, mamy obowiązek raportowania danych do Europejskiego Centrum Kontroli Chorób. Wspólnie wszyscy obserwowaliśmy ewolucję wirusa SARS-Cov-2 od wariantu dzikiego, przez wariant Alfa, Delta, Omikron, który także zmienia swoją strukturę genetyczną. W tej chwili dominuje podwariant BA.2, który jest bardziej zakaźny niż wariant podstawowy, ale infekcje są w większości łagodne, a zachorowania nie przekładają się na wzrost zapotrzebowania na miejsca w szpitalach czy na liczbę zgonów, które dziś już nie są takim obciążeniem, jak w 2020 r. czy w pierwszej połowie 2021.

Stało się więc tak, jak przewidywała część ekspertów: SARS-CoV-2 stał się jednym z koronawirusów odpowiedzialnych za infekcję górnych dróg oddechowych, porównywalnym do grypy?

Ewidencje ewolucja wirusa zmierza w kierunku wyższej zakaźności, czyli łatwiejszego przenoszenia się z jednego gospodarza na kolejnego. Wirusowi, mówiąc obrazowo i personifikując go, nie zależy na pozbawianiu życia gospodarza, tylko na możliwości namnażania się w organizmie człowieka i dalszego zakażenia następnych osób. Jest bardziej zakaźny, ale jednocześnie łagodniejszy i mamy nadzieję, że tak zostanie. Wirus będzie obecny w społeczeństwie, a COVID-19 zostanie jako nowa choroba zakaźna.

A czy możemy spodziewać się wzmożonego uderzenia wirusa na jesieni? Czy powtórzy się scenariusz z lat ubiegłych?

Monitorujemy różne warianty przebiegu pandemii. Jesteśmy w ciekawym momencie, ponieważ zarówno WHO, jak i ECDC kontaktują się ze wszystkimi zespołami, które dotychczas monitorowały przebieg pandemii, zadając pytania testowe i symulując pojawienie się nowych wariantów, być może nawet zupełnie innej choroby, która będzie przebiegała podobnie jak COVID-19. Budowane są na

tej podstawie różne scenariusze. Nie jesteśmy w stanie przewidzieć, który z wariantów koronawirusa będzie dominował jesienią. Jednak przyjmujemy, że podobnie jak w latach 2020 i 2021 jesień, czyli zmiana pogody plus zwiększenie aktywności społecznej, powrót ze świeżego powietrza i słońca do większych grup i pomieszczeń zamkniętych będą naturalnymi czynnikami wzrostu częstotliwości wszystkich infekcji dróg oddechowych. Tak jak monitorujemy zakażenia i podejrzenie zakażeń wirusem grypy, tak cały czas monitorujemy i będziemy monitorowali zakażenia SARS-Cov-2.

Czeka nas na jesieni powrót do obostrzeń?

Z informacji, którymi na dziś dysponujemy wynika, że powrót do obostrzeń raczej nie będzie potrzebny. Mamy do dyspozycji farmakologiczne środki ochrony: szczepienia, leki, które można zastosować we wczesnym etapie choroby. Komisja Europejska zaleca, by przyglądać się sprawie w szerszej perspektywie, np. oceniać poziom społecznej akceptacji dla obostrzeń. Pandemia jest zjawiskiem nie tylko medycznym, ale ogólnospołecznym i ekonomicznym. Z obostrzeń musi więc wynikać przezwaga korzyści nad kosztami.

W Polsce poziom akceptacji dla obostrzeń jest raczej niski.

On się zmieniał. Spadał z upływem czasu. W 2020 r. wszyscy byli niezwykle zdyscyplinowani, najbardziej wtedy, gdy niewiele wiedzieliśmy o wirusie i stanowił on realne zagrożenie. Widzieliśmy wiele przypadków z ciężkim przebiegiem, wiele zgonów. Wtedy akceptacja dla obostrzeń była wysoka. Zaczęła spadać w 2021 r., a w drugiej połowie ub.r. była już niska, bowiem COVID-19 stał się naszym doświadczeniem zbiorowym. Każdy miał w swoim otoczeniu kogoś, kto chorował, kto się zaszczepił, sami chorowaliśmy, obserwowaliśmy, jak to wygląda. Wskaźniki epidemiologiczne stały się bardziej czytelne, stały się drogowskazem dla naukowców, dla osób podejmujących decyzje w zakresie nadzoru na epidemią. Ale dla każdego z obywateli najważniejsze okazały się indywidualne

doświadczenia. Gdy widzieliśmy, że my lub znajomi chorują łagodniej, że choroba, nawet po zaszczepieniu jest łagodniejsza, to akceptacja obostrzeń znacząco spadła. Teraz trzeba będzie poszukiwać takich rozwiązań, które nie będą dotkliwe społecznie. Jeśli jednak pojawi się wariant, który zwiększy ryzyko hospitalizacji i zgonów, to rząd ma wciąż pełen wachlarz narzędzi do dyspozycji.

Do tego wszystkiego trzeba dorzucić fakt, że 80–90 proc Polaków miało kontakt z wirusem, część chorowała, część się zaszczepiła. Mamy już tę mityczną odporność populacyjną?

To jest dobra informacja. Dzięki temu, o czym pani mówi, widzimy, że fala zakażeń wariantem BA.2 przebiega w Polsce łagodniej niż u naszych zachodnich sąsiadów. Nowe warianty będą poszukiwały ścieżki dotarcia z pominięciem odporności powstałej w wyniku przechorowania czy zaszczepienia. Pamiętajmy, że antygen w dostępnych szczepionkach to składnik aktywny pochodzący z pierwotnego, dzikiego wirusa. Przywołane przez panią analizy prowadzone są także w naszym Instytucie. To duże badanie OBSER-CO, z którego wynika, że pod koniec 2021 r. w Polsce 81,4 proc. obywateli miało przeciwciała, czyli miało kontakt z żywym wirusem lub się zaszczepiło. Przed majówką zakończył się kolejny etap badania i wkrótce będziemy wiedzieli, jak wygląda sytuacja po gigantycznej fali zakażeń wywołanej Omikronem w pierwszym kwartale. To badanie pokazuje nam faktyczny przebieg pandemii. Nie wszystkich chorych jesteśmy w stanie zidentyfikować testem, nie wszyscy zgłaszają się do lekarza czy informują otoczenie o zakażeniu. Nieco innym zjawiskiem jest odporność populacyjna, którą daje przechorowanie bądź szczepienie. Zmienność genetyczna wirusa sprawia, że po pewnym czasie, od trzech do pięciu miesięcy, w zależności od sprawności układu odpornościowego, zdolność do pokonania infekcji spada. A z drugiej strony ponowne zachorowanie jest w zdecydowanej większości przypadków znacznie łagodniejsze. Nadal wyzwaniem jest ochrona osób

z wieloma chorobami przewlekłymi, o obniżonej odporności czy ochrona seniorów. W tej grupie jest jednak duże zainteresowanie szczepieniem podstawowym i przypominającym.

Jak interpretować aktualną sytuację w Chinach, gdzie rośnie liczba zakażeń? Chiny przyjęły strategię zero wirusa i nie wygląda na to, by epidemię miały za sobą.

Musimy ostrożnie komentować dane, które napływają z Chin. Tego nauczyły nas ostatnie dwa lata. To gigantyczny kraj, w którym do niedawna zarejestrowano raptem sto kilkadziesiąt przypadków COVID-19, który stał się na świecie chorobą powszechną. Zasady twardego lockdownu i polityka zero covid są bardzo kosztowne społecznie i w znacznym stopniu ograniczają swobody obywatelskie. Dotychczasowe działania Chin spowodowały, że wcześniejsze fale zakażeń na świecie ominęły ten kraj, ale obecnie dominujące warianty są dużo bardziej zakaźne i spodziewamy się epidemii wyrównawczej, czyli dużej liczby zakażeń. Te działania, które podejmowane są w Chinach, widzimy też jako ryzyko gospodarcze także w sektorze ochrony zdrowia czy jeśli chodzi o ciągłość dostaw, np. substancji aktywnych do leków, sprzętu medycznego, półprzewodników. Pod tym względem ostre działania rządu Chin są ryzykowne, ponieważ ograniczają możliwości pozyskiwania zasobów i produktów z tego kraju. Na razie obserwujemy, jesteśmy ostrożni, to są bardzo rygorystyczne metody kontroli, ale to oczywiście autonomiczne decyzje władz Chin.

Szczepienia przeciw COVID-19 będą sezonowe jak w przypadku grypy?

Tak to będzie najprawdopodobniej wyglądało. Bardzo szybko w przypadku COVID-19 udało się wypracować strategię nadzoru genetycznego, która była dość długo wypracowywana dla wirusów grypy. Widzimy, jak skuteczny jest system monitorowania zmienności genetycznej, czyli wyłapywania nowych wariantów, a te informacje będą wykorzystywane przez

producentów szczepionek. Na rynek będą dostarczane szczepionki coraz bardziej udoskonalone, chroniące przed jednym lub kilkoma wariantami, a na pewno przed tymi najbardziej kluczowymi fragmentami kodu genetycznego wirusa. Te szczepionki wywołają odpowiednią odpowiedź układu odpornościowego. To będzie bardzo skuteczna strategia kontroli bez obciążających społecznie tzw. niefarmakologicznych środków kontroli epidemii. Zawsze skuteczne będą zasady DDM, zwłaszcza jesienią, gdy po prostu wzrasta częstotliwość infekcji górnych dróg oddechowych. I to dotyczy wszystkich chorób infekcyjnych, nie tylko COVID-19.

Na rynek będą dostarczane szczepionki coraz bardziej udoskonalone, chroniące przed jednym lub kilkoma wariantami COVID-19, a na pewno przed tymi najbardziej kluczowymi fragmentami kodu genetycznego wirusa

Jakie systemowe wnioski warto wyciągnąć z pandemii? Zwłaszcza w związku z wysoką liczbą tzw. zgonów nadmiarowych.

Wątek nadmiarowej umieralności jest dla nas bardzo ważny, analizujemy go teraz szeroko i będziemy się tym długo zajmować. Musimy bowiem ocenić wszystkie przyczyny, które do tego doprowadziły. W przeważającej większości te zgony występowały w grupie powyżej 70. roku życia. Ochrona seniorów stanowi więc największe wyzwanie na przyszłość. Na pewno na nadmiarową liczbę zgonów wpływ miała liczba zakażeń, więc trzeba ograniczać liczbę osób zakażonych. Poza tym ważny jest poziom finansowania ochrony zdrowia czy stosowanie się do zaleceń profilaktycznych,

ogólne wskaźniki dotyczące chorobowości i występowania w Polsce chorób przewlekłych, które zwiększają ryzyko ciężkiego przebiegu i zgonu. To wyzwanie dla zdrowia publicznego, by poprawić je na kolejną pandemię.

A jakie pozytywne zostawi w systemie pandemia?

Jest ich kilka, choć oczywiście nielato mówić o pozytywach po ciężkich dwóch latach i ogromie tragedii, których doświadczyliśmy. Powszechna stała się świadomość, że choroby zakaźne nie zniknęły i wciąż stanowią poważne wyzwanie, a to pomoże w promowaniu zachowań prozdrowotnych. Druga sprawa to szczepienia ochronne.

Nawet jeśli mamy niższy wskaźnik wyszczepienia populacji niż w krajach, które od lat szczepią duże grupy osób dorosłych przeciw grypie, to jednak osiągnęliśmy poziom 60 proc. dorosłej populacji zaszczepionej przeciw COVID-19, gdy przeciw grypie szczepiło się raptem 4–5 proc. To jest sukces. Oczywiście żałujemy, że nie zaszczepiło się 80 proc., ale gdy patrzymy na sytuację wyjściową, to jednak większość osób dorosłych zrozumiała, że szczepienia są potrzebne, są bezpieczne i skuteczne, a odczyny poszczepienne są marginalne. Zobaczyliśmy, że maseczka, mycie rąk czy ich dezynfekcja pozwalają nam ograniczyć liczbę zachorowań i to z nami zostanie. I wreszcie mamy namacalny dowód, że warto inwestować w prewencję, zasoby, utrzymywanie pewnych rezerw, myślę np. o zasobach Inspekcji Sanitarnej, by mogła szybko i odpowiednio reagować na zakażenia w dużej skali. Bogatsi jesteśmy też o dane, analizy, które długofalowo będą wykorzystywane w planowaniu strategii. Rada ds. COVID-19, której jestem członkiem, pracuje w składzie interdyscyplinarnym nad rozwiązaniami dla całego systemu ochrony zdrowia oraz nad zmianami w obszarze społeczno-ekonomicznym, które pomogą nam odbudować się po pandemii i przygotować na realne zagrożenia w przyszłości. Cykle epidemiczne pokazują, że mamy kilka lub kilkanaście lat spokoju, ale musimy być czujni i przygotowani. 

Absolutysta wolności

Już przez sam zakup Twittera Elon Musk wiele zrobił dla wolności słowa. Pokazał, w jak głębokim jest ona kryzysie. Odślonił także, jak bardzo lewica się tej wolności boi



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Jestem przerażony tym, jak zakup Twittera przez Elona Muska wpłynie na społeczeństwo i politykę. On najwyraźniej uważa, że w mediach społecznościowych wszystko jest dozwolone. Jeśli demokracja ma przeżyć, potrzebujemy więcej moderacji treści, a nie mniej” – tak publicysta „The Washington Post” Max Boot zareagował na wiadomość, że współzałożyciel SpaceX i Tesli nabył Twittera za niebagatelną sumę 44 mld dol.

Już miesiąc wcześniej, gdy Musk zasugerował, że chce przejąć ten serwis społecznościowy i nabył 9,2 proc. udziałów w spółce kierowanej od listopada ub.r. przez Paraga Agrawala, lewicowo-liberalne media zaczęły się obawiać o przyszłość ludzkości. „Dzisiejszy dzień na Twitterze przypomina ostatni wieczór w berlińskim klubie nocnym pod koniec Republiki Weimarskiej” – zaznaczył prof. Jeff Jarvis, medioznawca z New York University, znany ze swoich lewicowych poglądów oraz tego, że od lat bezskutecznie walczy o zdjęcie z Twittera konta, które go uporczywie parodiuje. Za Bootem i Jarvisem ustawiła się cała kolejka równie zaniepokojonych nadmiarem wolności słowa w sieci. George Monbiot, brytyjski publicysta i działacz ekologiczny, stwierdził, że Elon Musk i jego przywiązanie do wolności słowa „stanowią poważne zagrożenie dla świata”. „Kłamstwa niszczą demokrację” – napisał na Twitterze. A kto kła-



mie, o tym powinien decydować oczywiście Monbiot i jemu podobni. Jeffery Shaun King, czarnoskóry amerykański działacz na rzecz praw obywatelskich, uznał nawet, że Musk kupił Twittera, by „promować białą władzę i przywilej”. Prezes organizacji pozarządowej Media Matters for America Angelo Carusone ostrzegł, że miliarder zapewne pozwoli na szerzenie kłamstw i nienawiści na liczącej 217 mln użyt-

kowników platformie społecznościowej oraz „użyje Twittera jako broni, by zmusić inne serwisy do poluzowania zasad”. Cenzury oczywiście.

Dyrektor Amnesty International USA ds. technologii i praw człowieka Michael Kleinman dodał: „Niepokoją nas wszelkie kroki, które Twitter mógłby podjąć w celu osłabienia egzekwowania zasad i mechanizmów mających na celu ochronę użytkowników. Ostat-

nią rzeczą, jakiej potrzebujemy, jest Twitter, który świadomie przymyka oko na przemoc i obraźliwe wypowiedzi wobec użytkowników, zwłaszcza tych, których problem ten dotyka w nieproporcjonalnie dużym stopniu, w tym kobiet, osób niebinarnych i innych”. Nawet senator demokratów Elizabeth Warren dołączyła do korowodu, mówiąc o zagrożeniu dla demokracji i konieczności regulacji Big Tech.



KIEDYŚ BYŁO LEPIEJ

Histeryczna reakcja lewicy i liberalów na luźno rzuconą przez Muska uwagę, że uważa się za „absolutystę w kwestii swobody opinii”, pokazuje, jak wielu ludzi na wpływowym stanowiskach postrzega dziś wolność słowa jako toksyczną rzecz, która może wyrządzić tylko zło. Gdzie my dojdziemy, jeśli dozwolone będzie używanie niewłaściwych gen-

derowych zaimków i kwestionowanie zmian klimatycznych? Kto ma władzę nad słowami, ma władzę nad rzeczami, nad ludźmi, ich sumieniami. Józef Stalin został Wielkim Językoznawcą, ponieważ odkrył, że język nie należy ani do (w marksistowskim sensie) bazy, ani do nadbudowy, natomiast może oba te byty dowolnie kształtować. Wystarczy zmienić słownik, usuwając niektóre słowa albo nadając im nowe znaczenie. Jest to najprostszy i także najtańszy ekonomicznie sposób zmieniania świata. Łatwiej jest bowiem zmienić opis świata niż świat realny. Kapłani dzisiejszej poprawności politycznej, kasta manipulatorów językiem to dobrzy uczniowie Stalina. Kobiety stały się „ciałami z waginami”, by zagospodarować osoby transpłciowe. Język szczególnie w dziedzinie płciowości to dziś prawdziwe pole minowe. A to pole znajduje się m.in. na Twitterze. Wiele radykalnych feministek, jak brytyjska działaczka Meghan Murphy, zostało zablokowanych na platformie, bo upierało się, że kobietą trzeba się urodzić, by nią być.

Tydzień przed zakupem Twittera przez Muska serwis zakazał reklam negujących „naukowy konsensus dotyczący zmian klimatycznych”. Dla miliardera i filantropa z RPA Twitter to „przede wszystkim forum dla debaty”. Po zakupie serwisu wyraził on nadzieję, że nawet jego najbardziej zagorzali krytycy pozostaną na platformie, „bo na tym polega właśnie wolność słowa”. Najbogatszy człowiek świata (według magazynu Forbes), który ma ponad 90 mln followersów na Twitterze, od dawna ma pretensje o to, jak platforma moderuje wypowiedzi użytkowników. W marcu miliarder zapytał na swoim profilu, czy serwis przestrzega zasady wolności słowa. Na ponad 2 mln oddanych głosów przeszło 70 proc. odpowiedzi było na „nie”. W jakim kierunku on sam zmieni te zasady i czy w ogóle – nikt jednak obecnie nie wie. Sama sugestia, że może się tak stać, wystarczyła, by lewicowo-liberalny konglomerat polityczno-medialny wpadł w popłoch.

Obawy zachodnich postępowców podsumował działacz organizacji Fight for the Future Evan Greer: „Jeśli chcemy chronić wolność słowa w internecie, nie możemy żyć w świecie, w któ-

rym najbogatsza osoba na Ziemi może po prostu kupić sobie platformę, na której polegają miliony ludzi, a następnie zmienić reguły gry według własnych upodobań”. W sieci, dodał Greer, jest za dużo głupoty, nienawiści i teorii spiskowych. Inni zaczęli nawet z nostalgią przywoływać lata 80. XX w., kiedy nie było internetu i obywatele otrzymywali informacje starannie dla nich dobrane przez zespoły redakcyjne największych gazet. Wtedy, ich zdaniem, było lepiej. Rozgorzała dyskusja, czy internet – jak twierdzi Musk – to forum wolnej debaty, czy trucizna promująca najgłupsze i najbardziej radykalne, bo najbardziej klikane, opinie. Instrument powielania nienawiści i nonsensu. „Twitter był jednym z narzędzi służących do organizacji protestów Arabskiej Wiosny, przeciwko dyktaturom”, czytamy na łamach „New York Times”, a jednocześnie jest miejscem, gdzie nie lubiani przez lewicę „zwolennicy alt-right krytykują wszystko – od teorii gender po aborcję”.

KUSTOSZ ZASOBU PUBLICZNEGO

Musk sam przedstawia się jako filantropijny kustosz zasobu publicznego. Podczas konferencji TED2022 zaznaczył, że nie nabył Twittera, by na nim zarabiać pieniądze. „Według mnie posiadanie platformy publicznej, która jest maksymalnie zaufana i szeroko inkluzywna, jest niezwykle ważne dla przyszłości cywilizacji. W ogóle nie obchodzi mnie gospodarczy aspekt tego wszystkiego” – dodał. I zapowiedział, że zamierza wzbogacić serwis o nowe funkcje, udostępniając algorytmy jako otwarte źródło, pokonując boty spamujące i uwierzytelniając wszystkich użytkowników. Tweety mają się także wydłużyć i podlegać edycji po publikacji. „Twitter ma ogromny potencjał – nie mogę się doczekać współpracy z firmą i społecznością użytkowników, aby go uwolnić” – napisał na portalu, który stał się jego własnością.

Podczas gdy lewicę te słowa przerażyły, amerykańska prawica nie kryła zadowolenia i wyraziła nadzieję na większą swobodę wypowiedzi. Gubernator Teksasu Greg Abbott zaprosił Muska do tego, by przeniósł siedzibę Twittera

do jego stanu. A kongresmeni republikańscy Jody Hice z Georgii cieszyli się z powrotu pierwszej poprawki do konstytucji. Senator Ted Cruz zapytał swoich zwolenników na Twitterze, czy zakup serwisu przez Muska to dobra rzecz. Do wyboru były tylko dwie odpowiedzi: „tak” oraz „nie, bo nienawidzę wolności słowa”.

Miłośnik marihuany, promotor samochodów elektrycznych i podróży kosmicznych to dość dziwny wybór na bohatera prawicy. Tym bardziej że nie wiadomo do końca, jakie poglądy ma Musk. Pewne jest, że przeniósł się z Kalifornii do Teksasu, by płacić niższe podatki, ale zapytany o spór o aborcję w tym stanie odparł, że nie chce się wypowiadać, bo jest apolityczny. Gdy Kanada wprowadziła surowe restrykcje i obowiązek szczepień w dobie pandemii COVID-19, porównał premiera Justina Trudeau do Hitlera. Po wybuchu wojny na Ukrainie zapowiedział, że Starlink nie będzie cenzurował wiadomości z Rosji. Jednocześnie dostarczył zestawy kosmicznego internetu na Ukrainę i apelował do prezydenta Joeego Bidena o zwiększenie rodzimej produkcji ropy i gazu. Niechęć do blokowania rosyjskich treści tłumaczył przywiązaniem do wolności słowa. Zapytany przez fanów na Twitterze, co sądzi o jednej i drugiej stronie spolaryzowanej za oceanem debaty, odparł, że nie lubi ani skrajnej lewicy ani prawicy. „Twitter powinien być politycznie neutralny” – zaznaczył. Moderacja zawartości serwisu musi mieć jego zdaniem miejsce zgodnie z obowiązującym prawem. Ale nic ponadto.

Dla większości konserwatystów za oceanem poglądy osobiste Muska są jednak bez znaczenia. „Wreszcie ktoś stanął w obronie zasady, która ostatnio zmierzała w przeciwnym kierunku: mniej wolności słowa, mniej zdolności do wyrażania siebie – jeśli jesteś konserwatystą” – podsumował oczekiwania kongresmeni z Michigan Bill Huizenga. Nabycie Twittera przez miliardera to dla republikańców symboliczne uderzenie w liberalnych gigantów Big Tech. Według sondażu Morning Consult z kwietnia ponad połowa zwolenni-

ków republikańców ma wrażenie, że nie może swobodnie wyrażać swoich opinii na platformach społecznościowych. „Twitter to serwis, który według mnie i wielu innych był bardziej agresywny w blokowaniu republikańców i konserwatystów niż ludzi z lewicy” – podkreślił kongresmeni z Georgii Austin Scott. „Mam nadzieję i oczekuję, że to się zmieni” – dodał.

Jednym z postulatów republikańców jest powrót na Twittera Donalda Trumpa, który po szturmie na Kapitol w styczniu 2021 r. otrzymał dożywotni ban. Ale były prezydent nie jest tym

Niektóre z najbardziej znanych postaci liberalnych w USA połączyły siły, aby zachęcić największych reklamodawców (m.in. Disney, Coca Cola, Apple i HBO) do bojkotu Twittera, jeśli Musk wprowadzi obiecaną politykę nieskrępowanej „swobody opinii”

zainteresowany. W rozmowie z „Fox News” oświadczył, że zamierza pozostać na Truth Social, jego własnej platformie społecznościowej, uruchomionej w lutym br. Inne zablokowane na Twitterze konserwatywne konta, jak np. satyrycznego portalu „Babylon Bee”, mogą jednak zostać przywrócone. „Babylon Bee” zostało usunięte z Twittera, bo nazwało zastępczynię sekretarza zdrowia Rachel Levine, która jest transpłciowa, „mężczyzną roku”.

SOROS I SZAMBO DEZINFORMACJI

Ekspert ostrzega republikańców, by nie mieli zbyt wielkich oczekiwań wobec Muska, w końcu jest on tylko ko-

lejnym ekscentrycznym miliarderem z Silicon Valley, wysoce nieprzewidywalnym, który może ich rozczarować. Niektórzy konserwatyści także hamują entuzjazm. Ich zdaniem wolność słowa powinna być wspólnym kulturowym osiągnięciem, a nie łaską udzielaną przez tego czy innego miliardera, który akurat kieruje social mediami.

Jednak Musk już wiele zrobił dla wolności słowa. Przez zakup Twittera pokazał, jak głębokim jest ona kryzys. Odsłonił także, jak bardzo lewica się tej wolności boi. Ta zresztą nie zamierza oddać Muskowi Twittera bez walki.

Niektóre z bardziej znanych postaci liberalnych połączyły siły, aby zachęcić największych reklamodawców (m.in. Disney, Coca Cola, Kraft, Apple i HBO) do bojkotu Twittera, jeśli Musk wprowadzi obiecaną politykę nieskrępowanej „swobody opinii”. Dwadzieścia sześć organizacji pozarządowych i grup poparcia podpisało list wyrażający zaniepokojenie planami najbogatszego człowieka na świecie. Autorzy listu twierdzą, że Musk „będzie dalej zatruwać nasz ekosystem informacyjny i stanowić bezpośrednie zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego”. „Twitter stanie się szambem dezinformacji, wraz z waszą marką” – głosi list. A jego sygnatariusze to m.in. Black Lives Matter, Accountability Tech i Unia Zaniepokojonych Naukowców.

Musk odpowiedział na Twitterze pytaniem: „Kto finansuje organizacje, które chcą kontrolować wasz dostęp do informacji?”. „Światło to najlepszy dezynfektant” – dodał. Kto jest kim wśród sygnatariuszy i skąd otrzymuje finansowanie ujawnił brytyjski tabloid „Daily Mail”: są to organizacje założone i prowadzone przez byłych doradców Baracka Obamy czy Hillary Clinton oraz finansowane m.in. przez Open Society Foundation George’a Sorosa. Twitter próbował uspokoić reklamodawców. Firma zapewniła ich w oficjalnym komunikacie, że żadne zmiany dotyczące bezpieczeństwa marek nie są na razie planowane. Jednocześnie przyznała, że nie potrafi przewidzieć, co zrobi jej nowy właściciel.

Silna gospodarka, zjednoczeni obywatele oraz stabilny rynek kapitałowy niezbędne w obliczu wyzwań

„Najwyższym osiągnięciem jest pokonanie wroga bez walki” – to słowa, które wypowiedział Sun Tzu, jeden z największych starożytnych myślicieli Dalekiego Wschodu. W obliczu rosyjskiej napaści na Ukrainę musimy znaleźć sposób na to, jak bronić się oraz atakować bez wdawania się w bezpośrednią walkę z użyciem siły militarnej. Takim realnym orężem są przede wszystkim: silna gospodarka, stabilny system finansowy oraz własna waluta

Gdy spojrzysz dziś na notowania złotego oraz kursy warszawskich indeksów giełdowych sprzed wybuchu wojny, można dojść do wniosku, że polski rynek kapitałowy został, oczywiście pośrednio, zaatakowany. Rosyjskie pociski, które spadały zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od polskiej granicy, spowodowały wyprzedaż krajowych aktywów. Chwilowa panika nie rozwinęła się jednak w długofalowy trend. Co więcej, dziś z pewnością możemy stwierdzić, że z sukcesem obroniliśmy się przed głębokim osłabieniem złotego czy silnymi spadkami cen polskich obligacji i akcji krajowych spółek. W ten sposób umocniliśmy naszą wiarygodność i pozycję w świecie finansów.

Zacietrzewieni liberałowie przeceniają rolę rynku jako ostatecznego rozwiązania wszelkich problemów gospodarczych, a zideologizowani socjaliści przeceniają zdolność państwa do sterowania całą gospodarką. Tymczasem podstawą kapitalizmu musi być wolność gospodarcza, ale państwo musi aktywnie koordynować procesy gospodarcze oraz zapobiegać ułomnościom rynku.

Najlepszą odpowiedź na pytanie, czy Polska zachowuje właściwe proporcje, dają trudne momenty, takie jak obecna wojna za naszą wschodnią granicą. Gdy priorytetem jest bezpieczeństwo, niezależność i stabilność – a nie tylko zyski – to spółki Skarbu Państwa stają się bardzo cennym aktywem i ważnym sprzymierzeńcem. Co więcej, zwiększona aktywność państwowych firm w tym okresie nie przeszkadza im w notowaniu historycznie wysokich, a niejednokrotnie rekordowych zysków. Tylko największe spółki Skarbu Państwa, wchodzące w skład indeksu WIG20, zarobiły w 2021 r. na czysto 33 mld zł.

To przede wszystkim efekt zmian, które zaszły w polityce państwa w zakresie nadzoru właścicielskiego, szczególnie jeśli chodzi o korzystanie z zysków wypracowanych przez narodowych czempionów. Znaczna ich część jest obecnie przeznaczana na inwestycje, które przynoszą korzyści zarówno całej gospodarce,



jak też zwiększając potencjał samych przedsiębiorstw. Spółki Skarbu Państwa wypracowują ok. 15 proc. PKB Polski, zapewniają miejsca pracy oraz reinwestują przychody w krajową gospodarkę. Słuszność zmiany dokonanej przez resort aktywów państwowych została zweryfikowana przez obecną trudną rzeczywistość. Co ważne, zaangażowanie w cele publiczne i społeczne nie odbywa się kosztem mniejszościowych udziałowców.

Jest jeszcze jeden element, który w ostatnim czasie pozwala osiągać spółkom Skarbu Państwa znakomite efekty – to synergia. Minister Aktywów Państwowych zainicjował projekt, którego podstawowym celem jest zwiększenie zakresu współdziałania poszczególnych firm. Pozwala to na zoptymalizowanie wykorzystania ich zasobów i osiągnięcie lepszych rezultatów,

niż gdyby każda ze spółek podążała własną drogą. Przykładem jest realizowany przez GPW projekt Polskiego Cyfrowego Operatora Logistycznego. Umożliwi on spółkom Skarbu Państwa wygenerowanie realnych oszczędności w obszarach związanych z obsługą transportu i logistyki przy jednoczesnym zachowaniu marży polskich przewoźników. Jest to niespotykany dotąd w Polsce przykład patriotyzmu gospodarczego.

Tempo i jakość rozwoju gospodarczego są dzisiaj tym istotniejsze, bo funkcjonujemy w nowej rzeczywistości ekonomicznej i geopolitycznej. Oznacza to nie tylko wyższe ceny surowców, ale również konieczność natychmiastowego zwiększenia nakładów na obronność i inwestycje zapewniające niezależność energetyczną.

Polski rynek kapitałowy zdał test wiarygodności i stabilności, na jaki wystawiła go agresja Rosji na Ukrainę. Zdali go również sami Polacy. Silna gospodarka, zjednoczeni obywatele oraz stabilny rynek kapitałowy są niezbędnym elementem w obliczu poważnych wyzwań.

dr Marek Dietl

Prezes Zarządu Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie

Wzlot i upadek polityki resetu

Realizowana przez państwa zachodnie polityka resetu w stosunkach z Rosją miała i nadal ma wpływ na sytuację naszego kraju





JAN PARYS

Zwycięstwo Baracka Obamy w wyborach prezydenckich w 2008 r. oznaczało nowe priorytety administracji USA. Pragnął on przede wszystkim zerwać z polityką Busha i prowadzić politykę liberalną. Był zainteresowany reformami wewnętrznymi, które wymagały poważnych środków finansowych. W tym celu konieczne było ograniczenie wydatków na sferę bezpieczeństwa, np. poprzez ograniczenie interwencji w Afganistanie. Obama postanowił budować relacje z zagranicą w nowy sposób, tj. na zasadzie partnerstwa, nie zaś przywództwa. W stosunkach z Rosją celem były kontrola i ograniczenie zbrojeń oraz nierozprzestrzenianie broni nuklearnej. To zapewniało oszczędności. Rosja miała także pomagać w osiąganiu sukcesu podczas amerykańskiej operacji w Afganistanie. Była zatem traktowana jako ważny partner, a nie jako zagrożenie.

To nowe podejście do polityki zagranicznej bardzo odpowiadało wielu krajom Europy Zachodniej, zwłaszcza Francji i Niemcom. W państwach tych od lat prowadzono współpracę gospodarczą z Rosją z nadzieją, że za jej pomocą uda się zbudować oś politycznej kooperacji Paryża, Berlina i Moskwy. Miało to pozwolić politykom z Paryża i Berlina na uniezależnienie od wpływów USA. Postulowano budowę wspólnej polityki dla obszaru od Atlantyku po Ural.

W ramach strategii resetu budowy obszaru wspólnych wpływów Unia Europejska w 2009 r. uruchomiła politykę Partnerstwa Wschodniego. Komisja UE uważała, że nie jest to ekspansja świata zachodniego na Wschód, gdyż Rosja prawie jest lub wkrótce będzie częścią wspólnego świata. Wpływy USA w Europie nie były zdaniem poli-

tyków z Paryża i Berlina potrzebne, bo zagrożenia rosyjskiego nie było. Polscy politycy znaleźli się w trudnej sytuacji. Pamiętali o zagrożeniu naszej suwerenności ze strony Rosji, lecz główny nasz sojusznik, czyli USA, traktował Rosję jako partnera w rozwiązywaniu problemów międzynarodowych. Rosja tymczasem politykę resetu Obamy rozumiała po swojemu. Ze słów samego Putina z marca 2007 r. wynikało, że oczekiwał on zachodniej zgody na rosyjską strefę wpływów w Europie.

Polityka resetu Obamy odpowiadała wielu krajom Europy Zachodniej, zwłaszcza Francji i Niemcom. W państwach tych od lat prowadzono współpracę gospodarczą z Rosją z nadzieją, że za jej pomocą uda się zbudować oś politycznej kooperacji Paryża, Berlina, Moskwy i uniezależnić się od wpływów USA

* * *

Kalendarz wydarzeń politycznych z tamtego okresu pokazuje, że administracja Obamy akceptowała politykę rosyjską. Putin w marcu 2007 r. na konferencji w Monachium jawnie domagał się dla Rosji nowego traktowania, tj. uznania, że istnieją jej uprzywilejowane interesy w rosyjskiej strefie wpływów na świecie. Putin, stawiając w Monachium żądania wobec państw zachodnich, miał już podpisaną umowę z Niemcami (w sierpniu 2006 r.) na budowę rurociągu Nord Stream 1. Wiedział, że dla kanclerz Merkel korzyści gospodarcze wynikające z tej umowy są bardzo ważne. Liczył więc, że dzięki niej rozbije jedność państw zachodnich, bo

Niemcy będą bronić współpracy z Rosją, bez względu na to, jaka będzie polityka Kremla. Żądania Putina zgłoszone w Monachium zostały przez większość polityków w USA zlekceważone. We Francji i Niemczech przyjęto, że to były słuszne oczekiwania Rosji, tyle że niepotrzebnie się o nich mówi publicznie. W lipcu 2007 r. Putin ogłosił, że Rosja nie będzie przestrzegała traktatu o ograniczeniu sił konwencjonalnych w Europie, czyli wraca do wyścigu zbrojeń. Nie każdy polityk zrozumiał, co to oznacza.

George W. Bush wraz z Lechem Kaczyńskim postawili na sesji NATO w kwietniu 2008 r. sprawę tzw. MAP, czyli ścieżki dojścia do NATO dla Gruzji i Ukrainy. Francja i Niemcy zablokowały tę inicjatywę. Weto w tej sprawie tłumaczono tym, że naruszałoby to uzasadnione interesy Rosji. Putin odczytał weto jako uznanie, że Gruzja i Ukraina są w jego strefie wpływów i ma wolną rękę na ich terenie. Nic dziwnego, że w sierpniu 2008 r. nastąpiła rosyjska agresja na Gruzję. Dużym zaskoczeniem dla polityków w Europie była wówczas inicjatywa prezydenta Lecha Kaczyńskiego, który wraz z kilkoma przywódcami polecił do Tbilisi, by wesprzeć obronę Gruzji. Wcześniej polski prezydent przeforsował decyzję o wysłaniu broni przeciwlotniczej do Gruzji. Wypowiadając wtedy w Tbilisi słowa o możliwych kolejnych atakach rosyjskich na kraje bałtyckie i na Polskę, nie zdawał sobie sprawy, że za swoją postawę on sam może być postrakowany jako główna przeszkoda dla rosyjskiego imperializmu.

Dowodem na politykę resetu w USA za czasów Obamy może być deklaracja złożona 6 marca 2009 r. w Monachium przez ówczesnego wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych Joeego Bidena. Powiedział on wówczas, że USA kończą erę polityki zagranicznej Busha i wchodzi w nową politykę, która oznacza reset w relacjach z Rosją. To była dziwna odpowiedź nowej administracji na deklarację, jaką w marcu 2007 r. w tym samym miejscu złożył Putin. Nowa administracja liczyła, że Putin dopasuje swą politykę do wizji USA. Jak widać, zapowiedzi Putina z 2007 r. oraz rosyjska agresja na Gruzję

dla administracji Obamy nie miały znaczenia. W sposób milczący przyjęto, że Putin ma swoje podwórko i może tam robić, co chce. W tym samym czasie w Berlinie uznano, że dzięki dostawom rosyjskiego gazu Niemcy umocnią swoją pozycję polityczną w Unii Europejskiej jako hub dla surowców ze Wschodu. Dominująca rola w gospodarce europejskiej pozwalała politykom z Niemiec myśleć o politycznym zdominowaniu Unii i przekształceniu jej struktury w system państwa federalnego. Miało to zapewnić Niemcom trwale uzależnienie państw członkowskich od polityków w Berlinie.

* * *

Na Polskę polityka resetu Obamy zaczęła wpływać, kiedy doszło do rozwiązań dotyczących tarczy antyrakietowej. Problem instalacji tarczy w Polsce zaczął być u nas wstępnie dyskutowany w końcu 2004 r. Wówczas w grudniu rząd wydał zarządzenie nr 117 o utworzeniu zespołu ds. udziału RP w systemie tarczy antyrakietowej. Sprawa początkowo rozwijała się powoli. 23 stycznia 2007 r. USA oficjalnie zaproponowały, by omówić instalację systemu tarczy obrony powietrznej w Polsce. Instrukcje dla polskich negocjatorów w tej sprawie podpisał 9 maja 2007 r. premier Jarosław Kaczyński. W listopadzie 2007 r. w Polsce nastąpiła zmiana rządu i premierem został Donald Tusk. Negocjacje z USA zakończyły się w czerwcu 2008 r., a 4 lipca premier Tusk ogłosił, że nie jest zadowolony z osiągniętego projektu porozumienia ze Stanami Zjednoczonymi. Jego zdaniem projekt nie zabezpiecza Polski odpowiednio, kraj nie otrzymał tego, czego potrzebuje i w związku z tym ostatecznie zamyka negocjacje z USA w tej sprawie.

Mimo trudnej, z polskiego punktu widzenia, sytuacji międzynarodowej prezydent Lech Kaczyński zorganizował obchody rocznicy wybuchu II wojny światowej na Westerplatte 1 września 2009 r. Wygłosił wówczas do przywódców świata przemówienie, które jest najważniejszym przesłaniem w jego karierze. Mówił bowiem o potrzebie zatrzymania wszelkiego imperializmu, o tym, że podział świata na strefy wpływów zagraża pokojowi na świecie i stanowi

zarzewie wojny. 23 października 2009 r. Witold Waszczykowski (wówczas minister w Kancelarii Prezydenta RP) odpowiedział na relacje z zagranicą) udzielił wywiadu „Gazecie Polskiej”, w którym krytycznie ocenił decyzję premiera Tuska w kwestii zainstalowania tarczy antyrakietowej w Polsce. Decyzje te ograniczyły zasięg tarczy i opóźniły budowę jej instalacji, były dowodem na uległość wobec żądań Rosji i zgodne z polityką resetu.

Prezydent Lech Kaczyński wielokrotnie kwestionował sens kooperacji z Rosją

Na Polskę polityka resetu Obamy zaczęła wpływać, kiedy doszło do rozwiązań dotyczących tarczy antyrakietowej

na rosyjskich warunkach. Na posiedzeniach Rady Europejskiej przestrzegał przed uzależnieniem energetycznym Europy od Rosji. Wskazywał, że rurociąg Nord Stream 1 tworzy groźbę uzależnienia politycznego poszczególnych państw od Moskwy. Dał się więc poznać jako nieprzejednany przeciwnik głównego projektu strategicznego Rosji w Europie. Jego postawa stanowiła wyraźną przeszkodę dla rosyjskiej polityki zagranicznej. Przeszkadzał także w polityce energetycznej, jaką w ramach resetu prowadzili Niemcy.

Śmierć polskiego prezydenta 10 kwietnia 2010 r. była na rękę państwom zainteresowanym polityką resetu z Rosją. Parę miesięcy po śmierci brata, 8 września 2010 r., Jarosław Kaczyński jako lider Prawa i Sprawiedliwości ogłasza list do przywódców Zachodu, wzywając ich do wspólnego przeciwstawienia się zagrożeniom ze strony Rosji, do zatrzymania rosyjskiej ekspansji politycznej i gospodarczej.

Kolejne lata to dalszy rozwój polityki resetu, m.in. uruchomienie rurociągu Nord Stream 1 w 2011 r. Rok 2014 to pierwsza rosyjska agresja na Ukrainę, aneksja

Krymu oraz zabór regionów Doniecka i Ługańska. Tym razem USA na uzycie siły militarnej przez Rosję w Europie postanowiły zareagować. Na konferencji w Monachium w marcu 2015 r. wiceprezydent Biden w imieniu prezydenta Obamy ogłasza koniec polityki resetu, wzywa kraje zachodnie do asertywności wobec Rosji. Kolejne lata pokazały, że główne kraje Unii Europejskiej, czyli Francja i Niemcy, nie przyjęły tego wezwania do wiadomości. Jest niewątpliwą zasługą prezydenta Obamy, że pod koniec drugiej kadencji, pod wpływem agresji rosyjskiej na Ukrainę, zmieniła swoją politykę wobec Rosji.

W wyniku wielomiesięcznych negocjacji prowadzonych z USA przez szefa MSZ Witolda Waszczykowskiego na szczycie NATO w Warszawie w 2016 r. prezydent Obama decyduje, że w Polsce będzie stacjonować 5 tys. amerykańskich żołnierzy. To była historyczna decyzja, która oznacza powrót USA do polityki aktywnej w Europie, a także całkowicie nowy układ sił na naszym kontynencie. Flanka wschodnia NATO otrzymuje faktyczne gwarancje bezpieczeństwa. Polska staje się głównym krajem frontowym sojuszu i pełni funkcję, jaką spełniała RFN podczas zimnej wojny. Kiedy Rosja w grudniu 2021 r. stawia USA ultimatum i żąda wycofania infrastruktury NATO z Europy Środkowo-Wschodniej, nasz kraj jest już zabezpieczony. W Polsce istnieje prawna i militarna infrastruktura konieczna dla podwojenia obecności wojsk USA w ciągu paru dni.

* * *

Mam wrażenie, że autorzy komentarzy publikowanych w ostatnim czasie na temat śmierci polskiej delegacji lecącej w kwietniu 2010 r. na obchody do Katyniu w ogóle abstrahują od tego, w jakim kontekście geopolitycznym odbywała się ta podróż. Moim zdaniem, analizując ten lot, nie można zapominać o realizowanej wówczas polityce resetu z Rosją. Z przypomnianych powyżej zdarzeń wynika, że linia polityczna Lecha Kaczyńskiego bardzo nie pasowała do tego, co myślało wielu ówczesnych polityków. Prezydent ze swoim odrębnym zdaniem na temat imperializmu rosyjskiego był wyraźnie nie na czasie. Zarówno rząd Platformy

Obywatelskiej, jak i wielu polityków zachodnich kwestionowali poglądy prezydenta, uważając, że się myli w ocenie polityki rosyjskiej i przecenia zagrożenia ze strony Rosji. Wokół tego polityka kreowano więc klimat pogardy. Postrzegano osobę polskiego prezydenta jako przeszkodę w realizowanej wówczas polityce resetu. Był traktowany podobnie jak gen. Władysław Sikorski, kiedy w 1943 r. szykowano konferencję w Teheranie o podziale Europy.

Po 12 latach od chwili zdarzenia lotniczego nad Smoleńskiem w 2010 r. przewodniczący podkomisji przedstawił obszerny raport i liczące ponad 10 tys. stron opinie ekspertów o tym, co tam się stało. Opracowanie podkomisji jest pełne matematycznych obliczeń, symulacji komputerowych i opisu dokonanych eksperymentów. Na tej podstawie podkomisja stwierdza, że tezy prezentowane w ubiegłych latach przez rosyjski zespół Anodiny oraz polski zespół Millera są sprzeczne z prawami fizyki. Ich ustalenia są zatem fałszywe. Podkomisja zaprezentowała relacje świadków, którzy słyszeli wybuch i widzieli błysk eksplozji, słuchacze mogli usłyszeć nagranie świadczące o wybuchu. Podkomisja wskazała na ogromny rozrzut szczątków samolotu, niemożliwy podczas uderzenia o ziemię z małej wysokości. Również rozpad samolotu na tak liczne części nie jest możliwy przy zwykłym upadku. Raport cytuje opinie laboratoriów z różnych państw, które, badając szczątki samolotu, znalazły na nich ślady trotylu. Zatem niezależnie od wszelkich symulacji komputerowych są w raporcie przedstawione fakty, które trudno kwestionować, jeżeli ktoś myśli racjonalnie. Z nich wynika, że przyczyną zdarzenia lotniczego z 10 kwietnia 2010 r. była eksplozja materiału wybuchowego. Podkomisja nie jest organem śledczym. Miała ustalić przyczynę zdarzenia i to zadanie wykonała. Trwało to wiele lat, gdyż oddanie śledztwa przez rząd Tuska w ręce Rosji uniemożliwiło odzyskanie i badanie wraku, który jest głównym dowodem przy analizie każdej katastrofy lotniczej. Teraz ciąg dalszy pracy, czyli ustalenie winnych zamachu, zarówno wykonawców, jak i tych, którzy o nim zdecydowali, to już sprawa prokuratury.

Rosja jest państwem totalitarnym i scentralizowanym. Na ogół panuje tam dyscyplina, nikt nie podejmuje działania bez zgody odpowiednich władz. Skoro Putin dziś akceptuje zbrodnicze postępowanie swoich żołnierzy na Ukrainie, to był zdolny także do podjęcia decyzji o zamachu na polską delegację. W takich państwach jak Rosja liczny jest także dwór pochlebców, którzy swoją gorliwością pragną zaskarbić łaskę dyktatora. Do wyjaśnienia pozostają tajemnicze zgony najwyższych rangą funkcjonariuszy rosyjskich służb, które nastąpiły parę miesięcy po zamachu nad Smoleńskiem. Takie traktowanie szefów służb jest zawsze karą za wyjątkową niesubordynację. Cały czas nie wiemy, kto decydował o zainstalowaniu ładun-

Polityk wybitny, wyprzedzający swoimi tezami czas, w którym żyje, nie zawsze jest powszechnie akceptowany. Niekiedy płaci za to także wysoką cenę. Lech Kaczyński za głoszenie prawdy o imperializmie zapłacił cenę najwyższą

ków wybuchowych podczas remontu samolotu Tu-154M w Samarze (remont zakończono w grudniu 2009 r. w zakładzie Awiakor), ani kto umieścił przed odlotem z Warszawy detonatory uruchamiane za pomocą sygnału radiowego z ziemi z odległości 2 km.

Może dlatego raport podkomisji stał się w 2022 r. obiektem tak silnej nagonki i kpin. Trudno mi zrozumieć epitety, które słyszałem z ust opozycji w tej sprawie. Mam wrażenie, że w sposób rozpaczliwy opozycja usiłuje w ten sposób wytłumaczyć swoje błędne postępowanie z okresu po wypadku z samolotem prezydenckim, kiedy całkiem bezzasadnie oddano śledztwo stronie rosyjskiej. Tymczasem przedstawionym w raporcie faktom

trudno zaprzeczyć. To, że była eksplozja i był zamach, zostało wykazane.

* * *

Niektórzy publicyści próbowali ostatnio wyjaśniać czytelnikom, że rząd PiS jest w trudnej sytuacji i przypomina sprawę Smoleńska, by przykryć swoje kłopoty. Trudno o większe nieporozumienie. Akurat w ostatnim czasie rząd pokazał dużą sprawność, zarówno podczas kryzysu migracyjnego, jak i kiedy zaczęła się agresja rosyjska na Ukrainę. Skuteczne decyzje rządu spotkały się z uznaniem na świecie. Jacyś naiwni publicyści z kilku gazet próbowali również wmówić czytelnikom, że przez wskazywanie na smoleński zamach PiS usiłuje gloryfikować postać prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Najlepszym wyrazem jego politycznego stanowiska było przemówienie na Westerplatte. Kiedy nastąpił atak Rosji na Ukrainę, okazało się, że to Lech Kaczyński miał rację, ostrzegając przed rosyjskim imperializmem i kwestionując politykę resetu. A mylili się ci politycy, którzy jak kanclerz Angela Merkel przez wiele lat narzucali Europie błędną i naiwną politykę resetu z Rosją. Amerykanie pożegnali politykę resetu w 2015 r. Niemcy i Francja, nawet dziś po kolejnej rosyjskiej agresji na Ukrainę, mają problem, bo nie potrafią odejść od kooperacji z Rosją. I oto nagle się okazało, że to Lech Kaczyński, krytykowany i ośmieszany za życia, okazał się mężem stanu. A zwolennicy prorosyjskiej polityki, jak Merkel, Schröder czy Steinecker muszą się teraz tłumaczyć ze swej politycznej naiwności wobec Rosji w ramach polityki resetu.

Polityk wybitny, wyprzedzający swoimi tezami czas, w którym żyje, nie zawsze jest powszechnie akceptowany. Niekiedy płaci za to także wysoką cenę. Lech Kaczyński za głoszenie prawdy o imperializmie zapłacił cenę najwyższą. Jeżeli ktoś potrafi interesy swojego kraju definiować w kategoriach długookresowego interesu całej Europy, okazuje się mężem stanu. Prezydenta RP, który zginął pod Smoleńskiem, nikt bronić ani gloryfikować za pomocą tezy o zamachu nie musi. To bóg wojny, czyli historia, przyznała w 2022 r. rację polityce Lecha Kaczyńskiego. ▀



Kijów jak Jerozolima, Dniepr jak Jordan

Żaden światowy przywódca w czasach komunistycznych nie upominał się publicznie o prawa Ukraińców tak jak Jan Paweł II. Żaden też po upadku Związku Radzieckiego nie dowartościował tak mocno ukraińskiej historii, tradycji i kultury jak właśnie on



GRZEGORZ GÓRNY

22 października 1978 r. plac św. Piotra w Rzymie wyglądał wyjątkowo. Ustawieni w długim rzędzie kardynałowie z całego świata podchodzili do tronu, by złożyć homagium nowo wybranemu papieżowi. Purpuraci przyklekali i całowali pierścień Jana Pawła II. Tylko dwóm dostojnikom Karol Wojtyła nie pozwolił

paść na kolana, lecz sam poderwał się, by ich objąć. Część osób obserwujących tę scenę pytała, kim są owi hierarchowie, którym Ojciec Święty okazał taki szacunek. Obaj okazali się więźniami reżimów komunistycznych. Pierwszym z nich był prymas Polski Stefan Wyszyński, drugim kard. Józef Slipyj. Warto pokrótce przypomnieć historię tego ostatniego.

To właśnie on w listopadzie 1944 r. po śmierci metropolity lwowskiego abp. Andrzeja Szeptyckiego został zwierzchnikiem Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego. Pół roku później Sowietci aresztowali go i wywieźli na Syberię. W marcu 1946 r. na rozkaz Stalina we Lwowie zorganizowano pseudosobór, który nigdy nie został uznany przez Stolicę Apostolską. Grupa kolaborantów proklamowała wtedy samorozwiązanie Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego oraz wcielenie jego struktur do Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego.

Josyf Slipij spędził w łagrach 18 lat. Został zwolniony przez Nikitę Chruszczowa w lutym 1963 r. po osobistej interwencji Jana XXIII. Wyjechał do Rzymu, skąd do końca życia kierował działalnością swojego Kościoła na emigracji oraz w podziemiu na terenie ZSRS. Dla części watykanistów wymowny gest Jana Pawła II wobec 86-letniego dostojnika ukraińskiego był znakiem, że polityka wschodnia Stolicy Apostolskiej może ulec zmianie. Tak też się stało.

WYZWANIE RZUCONE MOSKWIE

Już trzy tygodnie po wyborze Karola Wojtyły na tron Piotrowy członkowie Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego mieli na swoich biurkach raport sporządzony przez Olega Bogomolova – dyrektora Instytutu Światowego Systemu Socjalistycznego. Moskiewski analityk ostrzegał, że nowy papież może dążyć do podważenia sowieckiej pozycji nie tylko w Europie Środkowej, gdzie kluczowym krajem była Polska, lecz także na obszarze ZSRS, gdzie analogiczną funkcję pełniła Ukraina. Włodarze na Kremlu szczególnie obawiali się odrodzenia ukraińskich dążeń niepodległościowych, dla których katakumbowy Kościół greckokatolicki mógł stanowić naturalną bazę.

Ich niepokój wzrósł jeszcze bardziej, gdy 19 marca 1979 r. Jan Paweł II napisał list do kard. Slipyja, zapowiadając wielkie uroczystości z okazji rocznicy tysiąclecia chrztu Rusi, która przypadała w roku 1988. Papież zapropinował 9-letni okres przygotowań do tego jubileuszu, wzorowany na Wielkiej Nowennie przed milenium chrztu Polski, rozciągniętej

wówczas na lata 1957–1966. To inspirujące doświadczenie polskiego Kościoła postanowił przenieść na grunt światowy, choć wiadomo było, że w oficjalnych obchodach wzięć będą mogli udział jedynie wierni przebywający na emigracji.

Przywódcy w Moskwie odebrali to jak siarczysty policzek wymierzony im przez papieża. I to z kilku powodów. Po pierwsze: uznali, że Jan Paweł II wtrąca się w wewnętrzne sprawy ich kraju. Ośmielił się bowiem dokonać zamachu na ich monopol dotyczący interpretacji dziejów państwa rosyjskiego. Po drugie: jako pierwszy narzucił przed rocznicą własną narrację historyczną, w myśl której Święta Ruś liczyła sobie niemal 1000 lat, a Związek Sowiecki nieco ponad 60. W tej perspektywie komunizm jawił się jako epizod towarzyszący długiemu trwaniu chrześcijaństwa. Po trzecie: wskazał na Kijów, a nie na Moskwę jako duchowe centrum ziem ruskich, co na Kremlu odebrane zostało jako uznanie wyższości Ukrainy nad Rosją. To stanowiło zaś groźbę rozbudzenia ukraińskich aspiracji niepodległościowych, mogących od środka rozsadzić spistość imperium. Po czwarte: Jan Paweł II dokonał upodmiotowienia Ukrainy, czyniąc ją realnym subjektem wydarzeń o randze międzynarodowej (adresatem jego pisma był przecież największy duchowy autorytet ukraińskiej emigracji). Po piąte wreszcie: papieska inicjatywa była atakiem na ideologiczną legitymację władz komunistycznych. Skoro bowiem uważały one chrześcijaństwo za zabobon, to tysięczna rocznica przyjęcia tej religii powinna być raczej okazją do wyrażania żalu nad zacołowaniem przodków niż do hucznego świętowania.

Trzy miesiące później odbyła się pierwsza pielgrzymka Jana Pawła II do Polski, podczas której zakwestionował jałtański podział Europy. Na Kremlu odebrano to jako śmiertelne zagrożenie. 13 listopada 1979 r. zebrane na specjalnym posiedzeniu najwyższe władze sowieckiej partii komunistycznej postanowiły zintensyfikować i podnieść na wyższy poziom dotychczasowe metody walki z papieżem. Część komentatorów uważa, że to właśnie wówczas zapadły decyzje, które doprowadziły do zamachu na papieża 13 maja 1981 r.

MILENIUM CHRZTU RUSI

Na początku swego pontyfikatu Jan Paweł II zdecydował się na krok, na który nie zdobył się żaden z jego poprzedników po II wojnie światowej. W marcu 1980 r. zwołał w Rzymie synod Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego, na którym ogłoszono unieważnienie postanowień pseudosoboru lwowskiego z 1946 r. Wywołało to wściekłość nie tylko władz na Kremlu, lecz także patriarchy moskiewskiego Pimena, który zagroził Watykanowi zerwaniem dialogu ekumenicznego.

Jan Paweł II wydawał się tym jednak nie przejmować. W latach 80. był jedynym przywódcą na świecie, który publicznie upominał się o prawa Ukraińców. Podczas swych zagranicznych pielgrzymek spotykał się także ze wspólnotami ukraińskimi, z którymi rozmawiał w ich ojczystym języku. Tak było m.in. w 1979 r. w Filadelfii czy w 1984 r. w Winnipegu, gdzie odwiedził katedrę greckokatolicką.

Papież doskonale pamiętał list biskupów polskich do biskupów niemieckich z pamiętnymi słowami: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”. Postanowił doprowadzić do podobnego aktu w ramach przygotowań do obchodów tysiąclecia chrztu Rusi. Z jego inicjatywy w 1987 r. w Rzymie zorganizowano spotkanie, podczas którego prymas Józef Glemp i abp Myrosław Lubacziwski (następca kard. Slipyja) powtórzyli te same słowa w imieniu swych wspólnot kościelnych: polskiej rzymskokatolickiej i ukraińskiej greckokatolickiej. W intencji papieża miało być to zapoczątkowaniem historycznego pojednania między oboma narodami.

Obchody milenium chrztu Rusi odbyły się w czasie, gdy w ZSRS trwała już pieriestrojka, a na Kremlu rządził Michaił Gorbaczow. Centralne uroczystości zorganizowano w czerwcu 1988 r. w Moskwie pod nadzorem władz komunistycznych. Patriarcha Pimen stwierdził wówczas, że Jan Paweł II nie byłby tam mile widzianym gościem. Z Watykanu przybyła jednak trzyosobowa delegacja na czele z kard. Agostino Casarolim.

Miesiąc później w greckokatolickim Soborze Sofijskim w Rzymie odbyły się z kolei obchody milenijne pod

przewodnictwem samego papieża, który celebrował liturgię wschodnią. Podczas kazania powiedział, że obejmuje naród ukraiński pocałunkiem pokoju jako „wasz brat i pierwszy w dziejach Kościoła papież Słowianin”. Wskazywał w ten sposób na swe powinowactwo z Ukraińcami, jednak bez popadania w rusofilski panslawizm.

Dla Moskwy stosunek Jana Pawła II do Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego był nie do przyjęcia. Zarówno według sowieckich władz, jak i prawosławnych hierarchów rosyjskich ten Kościół nie miał prawa w ogóle istnieć. W 1989 r. przedstawiciele patriarchyatu moskiewskiego poprosili kard. Angelo Sodano, by przekazał papieżowi następującą propozycję: jeśli rozwiąże Ukraiński Kościół Greckokatolicki, wówczas stosunki prawosławno-katolickie ulegną znormalizowaniu i możliwa stanie się papieska pielgrzymka do Rosji. Karol Wojtyła zdecydowanie jednak odmówił. Owszem, pragnął odwiedzić Moskwę, ale nie za taką cenę. Nie mógł przecież zdradzić Kościoła, który tak wiele wycierpiał za wierność następcom św. Piotra.

Kiedy rozpadł się Związek Sowiecki i powstała niepodległa Ukraina, Kościół greckokatolicki mógł już działać bez przeszkód ze strony państwa. Jan Paweł II zreorganizował jego struktury i wspierał rozwój. 12 listopada 1995 r. ogłosił list apostolski z okazji 400-lecia unii brzeskiej. Pisał w nim m.in.: „przez długi czas, poczynając od lat mojej pasterskiej posługi w Polsce, odczuwałem nie tylko duchową, ale i fizyczną bliskość tego Kościoła, który wówczas przeżywał okres trudnej próby, a gdy zostałem wybrany na Stolicę św. Piotra, uznałem w ślad za moimi poprzednikami, że mam pilny obowiązek wystąpić w obronę jego prawa do istnienia i do swobodnego wyznawania wiary, którego był wówczas pozbawiony. Dziś dane mi jest radować się wraz z nim odzyskaną wolnością”.

KIJÓW TO NIE „WICE-MOSKWA”

Szczególną okazję do cieszenia się odzyskaną swobodą Jan Paweł II miał

w roku 2001, gdy po raz pierwszy i jedyny odwiedził Ukrainę. W Kijowie rządził wówczas prezydent Leonid Kuczma, starający się balansować między Moskwą a Zachodem, zaś Ukraińcy tkwili w postkolonialnym syndromie, odznaczającym się kompleksem niższości wobec „starszego brata”.

Karol Wojtyła przybył wówczas nad Dniepr z przesłaniem, że to nie Kijów jest młodszym bratem Moskwy, lecz Moskwa jest młodszą siostrą Kijowa. Przemówienia wygłaszał w języku ukraińskim, a więc w mowie, która zarówno w czasach carskich, jak i sowieckich deprecjonowana była przez rosyjskie władze jako niedorozwinięta,

Podczas ukraińskiej pielgrzymki w 2001 r. Jan Paweł II przypomniał, że to nie Kijów jest młodszym bratem Moskwy, lecz Moskwa jest młodszą siostrą Kijowa

wieśniacka i prymitywna, zaś jej używanie traktowano jako oznakę nieokrzesania i niskiego wykształcenia. Jan Paweł II dowartościował wówczas ukraińską mowę, czyniąc ją językiem papieskiego nauczania.

Jeszcze bardziej dowartościował jednak tożsamość narodową i tradycję kulturową Ukraińców, pokazując im, że odwołując się do własnej historii, mają powód do nieskrywanej dumy. Przedstawił bowiem wielką historiozoficzną wizję Ukrainy, którą umieścił w szerokim planie dziejów zbawienia.

Przypomniał, że chrzest Rusi dokonał się w roku 988 na terenie Wielkiego Księstwa Kijowskiego (dodajmy od siebie: w czasie, gdy na miejscu dzisiejszej Moskwy rozpościerały się błota i szumiały lasy). Sięgnął przy tym po niezwykłą paralelę. Porównał bowiem Kijów do Jerozolimy, a Dniepr do Jordanu.

Podkreślił, że dzisiejsza stolica Ukrainy była „matką słowiańskiego chrześcijaństwa w Europie Wschodniej” oraz „prekursorem Pańskim pośród licznych narodów”. Przypomniał też tradycję, zgodnie z którą na ziemiach naddnieprzańskich (tam, gdzie dziś znajduje się Kijów) miał prowadzić swoją misję jeden z uczniów Jezusa – św. Andrzej Apostoł.

Komentując papieską mowę, publicysta paryskiej „Kultury”, ukraiński politolog Bohdan Osadcuk pisał: „To największy komplement, jaki Ukraińcy słyszeli w swojej historii. Bez wątpienia takie słowa będą dużym impulsem do samoidentyfikacji Ukraińców. Nikt

jeszcze tak nad Dnieprem nie mówił w ciągu ostatnich dziesięciu lat, nikt nie wznosił się do tej pory na takie wyżyny intelektu, dokonując syntezy dziejów ukraińskich w kontekście chrześcijańskim i cywilizacji europejskiej”.

W podobnym duchu wypowiadał się profesor Bohdan Cywiński: „Trzeba odrzucić polityczne pretensje imperium rosyjskiego i przypomnieć, że to nie Moskwa, ale właśnie Kijów jest sercem ruskiego prawosławia. Kijów nie jest tu »vice-Moskwą«, jest autentycznym i pierwszym partnerem katolików w rozmowie obu wyznań.

To Moskwa jest w tym wypadku nuworyszem, nieposłuszną prowincją, która zachciała odgrywać rolę decydenta i drogą politycznych zabiegów ten status osiągnęła. Papież nie przyjmuje do wiadomości tych politycznych zmian, dokonywanych od XV do XX w. i przyjeżdżając na Ruś, zaczyna od jej dawnej, pierwszej stolicy”.

Ówczesne przesłanie Karola Wojtyły wywarło niewątpliwie wpływ na kształtowanie się ukraińskiej świadomości narodowej na progu XXI w. Wiedzieli o tym dobrze prawosławni duchowni patriarchyatu moskiewskiego, którzy jeżdżili potem śladami papieża po ulicach Kijowa i Lwowa, kropiąc wodą święconą wszystkie miejsca, w których przebywał Jan Paweł II. Podwładnym patriarchy Aleksego II (agenta KGB o pseudonimie Drozdow) nie udało się jednak egzorcyzmować Ducha Świętego.

K

ULTURY

*Colin Firth uosabia
wszystko to,
co dobrze kojarzy się
z angielskim stylem.
Nawet wtedy,
gdy gra postaci
niejednoznaczne
jak w serialu „Schody”.
A przecież na ekranie
był już i królem,
i konkurentem
byłego Bonda*

Dżentelmen w każdym calu

Fot. Cubankite/Shutterstock.com



DARCY WCHODZI DO GRY

Do mocnej pozycji w Hollywood doprowadziły go kasowe sukcesy i uwielbienie widzów, jakie zdobywał, grając w kolejnych odsłonach „Dziennika Bridget Jones” (2001, 2004). Jako Mark Darcy, wzorowany na postaci z powieści Austen, umiał przekonać do siebie nie tylko Renée Zellweger. Stał się obiektem kobiecych westchnień oraz ukrytej urazy Hugh Granta, który namaszczony do roli romantycznych bohaterów filmem „Cztery wesela i pogrzeb”, w obu częściach „Dziennika...”, musiał oddać palmę pierwszeństwa odtwórcy roli safandulowatego Darcy’ego. Bohatera zarazem podobnego, ale też zgoła innego od postaci, która wyciągnęła Firtha do pierwszego planu. Aktor miał 35 lat, kiedy jako pan Darcy pojawił się w miniseriale „Duma i uprzedzenie” (1995), rozkochując w sobie nie tylko Elizabeth Bennet, postać z powieści Jane Austen.

Kostiumowa rola stała się przepustką do kolejnych realizacji. Wkrótce po niej Firth zagrał wyrazistą, choć drugoplanową postać Geoffreya Cliftona w nagrodzonym dziewięcioma Oscarami „Anielskim pacjencie” (1996) Anthony’ego Minghelli oraz Lorda Wessexa w „Zakochanym Szekspirze” (1998) Johna Maddena.

AKTORSKA KLASA

W nowe tysiąclecie wkroczył do Hollywood nie tylko jako ucieleśnienie idealnego mężczyzny, ale też wzorcowego angielskiego dżentelmena. W takim wcieleniu (dopełniającym portret najlepszego agenta służb specjalnych brytyjskiej korony) pojawił się m.in. w megaprodukcji „Kingsman: tajne służby” (2014) oraz jej późniejszej o trzy lata kontynuacji.

Niezależnie od tego, jakie role przechodzi mu grać, Firth wnosi na ekran zachowania dziś coraz bardziej deficytowe, a jednocześnie tak potrzebne.

W niespokojnych czasach, gdy obok realnych działań wojennych porachunki w świecie celebrytów przyjmują coraz bardziej spektakularne wersje, gdy uderzeniem na scenie i ostrym komentarzem na sali sądowej oraz w mediach społecznościowych rozlicza się urazy i winy, ktoś taki jak Colin Firth wydaje się unikatem. Miarą nie tylko aktorskiej klasy.



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Kim naprawdę jest Michael Peterson? Amerykański pisarz, któremu największy rozgłos przyniosły nie powieści, ale tragiczna śmierć drugiej żony? Jaki udział miał w wydarzeniach z grudnia 2001 r.? Dzięki Colinowi Firthowi wzorowany na autentycznej postaci ekranowy bohater jeszcze bardziej utrudni widzom podjęcie decyzji. Opowiedzenie się po którejś ze stron oraz rozstrzygnięcie tej wciąż zagadkowej i budzącej emocje sprawy.

KLUCZ DO POSTACI

Gdy Michael Peterson zadzwonił pod numer alarmowy, powiedział, że jego żona spada ze schodów. Nim przyjechało pogotowie Kathleen (grana przez Toni Collette) zmarła. Twórcy serialu emitowanego właśnie w HBO Max przedstawiają niegdyś szczęśliwy dom, który nagle stał się miejscem tragedii. Co naprawdę w nim się stało, wie tylko Michael Peterson. Człowiek skazany przez sąd na dożywocie za morderstwo i, choć wyrok nie został uchylony, wypuszczony na wolność.

Kluczem do postaci może okazać się Colin Firth, który nieraz pokazał, jak – bez zbędnych ozdobników i ekspresyjnych gestów – potrafi przeniknąć w głąb granych przez siebie bohaterów. Tych wspólnych i tych ubranych w kostium. Zwyczajnych i koronowanych. Wzorowanych na autentycznych postaciach (jak

m.in. Brytyjczyk, prof. George Falconer – ta rola w filmie „Samotny mężczyzna” z 2009 r. przyniosła Firthowi pierwszą nominację do Oscara) i wprowadzonych na autorski plan m.in. przez Woody’ego Allena („Magia w blasku księżycy”, 2014).

KRÓLEWSKIE URODZINY

Niesiony przez oczekiwania widzów i producentów Colin Firth z talentem i klasą potrafi wciąż, odpowiedzieć na potrzeby kolejnych proponowanych mu hitowych produkcji, jak i nie dać się zamknąć w szufladzie dystyngowanego przystojniaka.

Wiedział, jak w roku swoich 50. urodzin (2010) zostać królem i sięgnąć po oscarowe trofeum. W filmie Toma Hoopera pokazał cały wachlarz aktorskich możliwości. Od technicznych, gdy musiał przekonująco odegrać wadę wymowy przyszłego brytyjskiego monarchy, przez ukazanie skomplikowanego portretu bohatera (jkanie było konsekwencją psychicznego urazu, jakiego w dzieciństwie doznał Jerzy VI), przedstawienie jego wewnętrznej walki, a potem umacniania pozycji władcy, gdy zdecydował się objąć tron. Wbrew sobie i społecznej opinii, na dodatek w wyjątkowo trudny, przedwojenny czas.

Dwa lata wcześniej udowodnił, że potrafi mieć do siebie dystans, ale i warsztat, by nie dać się przytłoczyć gwiazdorskiej obsadzie musicalu „Mamma Mia!”. Tu, w szranki o serce głównej bohaterki granej przez Meryl Streep, stanął m.in. na przeciwnym jednego z odtwórców Bondy i po raz kolejny rozbawił widzów, m.in. śpiewając (o wiele czyściej niż główny filmowy amant – Pierce Brosnan).

„Król Edyp” - upadek celebryty

Każda generacja powinna mieć swojego „Króla Edypa” – powiedział ktoś przy okazji tej premiery Teatru Telewizji. Dla mnie ta sztuka Sofoklesa to przede wszystkim wielka, ascetyczna inscenizacja Gustawa Holoubka z Teatru Ateneum (2004 r.).

Widziałem ją dwa razy: na scenie i w wersji telewizyjnej. Była atakowana przez tzw. ojcobójców, radykałów w dziele „reformowania” teatru, jako przykład skostnienia dawnych klasycznych form. I to napastnicy popadali w śmieszność. Ja zawsze myśląc Edyp, widzę Piotra Fronczewskiego.

Jacek Raginis-Królíkiewicz ma za sobą kilka udanych spektakli telewizyjnych. Tak starej klasyki nie robił nigdy. Na co postawił? Na rozmach widowiska, od którego Teatr Telewizji zdążył nas już trochę odzwyczaić.

„Król Edyp” to dramat krótki i prosty. Nie mamy tu w zasadzie żadnego wyboru moralnego, większych psychologicznych komplikacji. Jest przerażająca logika fatum, która dosięga tytułowego bohatera. Odsłanianie kolejnych etapów jego życia zdaje się potwierdzać paraliżującą tezę, że przed przeznaczeniem wykładanym przez wróżbitów nie uciekniesz. Można to oczywiście traktować jako symbol tragizmu ludzkiego losu.

Przerażające jest to, że Edyp jest jak gdyby składany w ofierze, a miasto Teby trwa, życie toczy się beztłoniście, wręcz obojętnie, nawet jeśli publika zatrzyma się chwilę nad cudzym nieszczęściem. Aby wzmocnić ten efekt Raginis otoczył króla Edypa tłumami. Nie popełnił błędu autorów dopiero co oglądanego przeze mnie częstochowskiego „Makbeta”. Oni, pozbawiając króla zbrodnia- rza otoczenia, próbując go wtłóczyć w dramat kameralny, osłabili napięcie.

A to pośród tłumów dopełnia się los Edypa, w scenerii epidemii rodzącej skojarzenia z naszymi doświadczeniami. Oglądaliśmy to na dokładkę w plenerach łódzkiego Orientarium, czyli ogrodu zoologicznego. Niesamowite ryby w akwarium czy słoń to jeszcze bardziej odwieczne, obojętne i groźne tło. Kiedy to się dzieje? Tłum, chór zdaje się nosić stroje z dawnej Grecji, ale sam Edyp

jest po trosze współczesnym celebrytą z mikroportem w uchu, fotografującym się z rodziną i przypominającym swoje dawne zasługi. Celebrytą odzieranym nagle ze wszystkiego.

To zawieszenie w czasie mi nie przeszkadzało. A niektóre pomysły reżysera mnożyły nowe znaczenia. Choćby dodanie Edypowi jako tła jego dzieci. Kto zna kolejne części Sofoklesowej historii, ten będzie poruszony obecnością braci, którzy się potem nawzajem zabijają. Albo sceną, kiedy to Antygona wyprowadza oślepionego własną ręką ojca. Ona już stanie w przyszłości przed wyborem moralnym.

Pięknie to jest kręcone przez Andrzeja Musiałę na tle niesamowitych dekoracji Justyny Elminowskiej, bo mamy nie tylko zoo, także wnętrza będące niby muzeum greckiej klasyki, ale ze współczesnymi akcentami (portrety rodzinne!). Chór (studenci łódzkiej filmówki) śpiewa niektóre partie do sugestywnej muzyki Antoniego Wojnara. Dlaczego to jest tak proste i takie jednak poruszające?

Marek Nędza, łódzki aktor, nadaje Edypowi wszelkie tragiczne przymioty, a jednocześnie jest współczesnym, ekspansywnym



triumfotorem, co czyni jego upadek dla nas widzów jeszcze bardziej przerażającym. Kapitalnie wypada Jokasta Agnieszki Wośniskiej, prawie bierna, jakby przymulona przecuciami, od których nie ma ucieczki. A poza tym twardy Kreon Mariusza Jakusa czy złamany przerażeniem, miotany padaczką wieszcz Tejrzejasz Lecha Łotockiego. Mariusz Czarnik, jako śpiewający Koryfeusz, lider chóru, prowadzi nas przez tę krainę nieszczęść do końca. Ale nawet postaci z tła są dopracowane w każdym calu.

Tak powinno się przypominać klasyczną dramaturgię. 

Piotr Zaremba

Droga do Radości

Przepełniony szpital na Banacha, tysiąc stu poszarpanych młodych mężczyzn na Narodowym, trzystu umiera. Zdjęcia zamordowanych ofiar gwałtów z ulic odbitego Przemysła. Nisko latają rakiety, wykopany miesiąc temu schron w ogródku, tam gdzie miał być basen albo oranżeria, nie było wiadomo do końca, dyskusje trwały. Na pulpicie telefonu nowa apka, analogową syrenę nie zawsze usłyszysz, po co masz ginąć bez sensu, lepiej jest choć jednego zastrzelić, rozedrzeć mu gardło. Stacja Centrum Nauki Kopernik od pierwszego dnia zapelniona. Dziesięć pięter w głąb, 23 metry ziemi nad głową, tak samo Nowy Świat i Świętokrzyska. Pełne stacje metra Centrum i rondo Daszyńskiego. Przecież 19 milionów kobiet i dzieci z kraju nie wyjedzie.

Zwykły Rosjanin patrzy na Mariupol, strzela w tył głowy na przedmieściach Augustowa. Kombinerkami wyrывa zęby, gwałci. Jestem rozrywany. Gniew, bezradność, strach, dobija się nienawiść. Demon w działaniu. Stepowa cywilizacja krwi, imperium zła, świat jako trofeum. Ukraińcy walczą za nas. Ginią w naszych czołgach. Zwyciężają. Umierają za swoje dzieci, też za moje. Za moją swoją żonę, Ojczyznę, rodzinę.

Demon musi zostać osądzony. Haga, Norymberga, opętany Hitler, Himmler, Goebbels. Putin jest zdrów na umyśle, ma jedynie znieprawioną duszę. Stepowy behawioral, nieskomplikowany mechanizm. Liczy się środowisko plus historia wzmocnień w życiu majora KGB. Tyle.

A na usługach stepu ludowi komisarze. Maoista, Didier Reynders, komisarz UE do spraw sprawiedliwości w sprawie praworządności poucza Polskę, porównuje do Rosji, sowiecka swolocz, piewca mordercy, nieświadomy wynawca demona. Narodowy socjalizm uznaliśmy za absolutne zło, choć był legalny. Was też czeka trybunał, mordercy w białych kołnierzy-



ROBERT TEKIELI

kach. Zabójcy nienarodzonych, mydło ze zwłok, sprasowane w sztuczny diament prochy mamusi. Usypianie zbędnych staruszków? Myślicie, że nigdy nie będziecie starzy? Dwa demoniczne systemy przybiły piątkę nad naszymi głowami. Świat to trofeum, zorganizowane struktury grzechu, demoniczne systemy w działaniu.

Azteczy ze stepu i odrodzone pogaństwo New Age, kultura singli, cudzołóstwo nazwij poliamorią. Jesteś fluid.

Lamaści sypali mandale u źródeł i ujścia Wisły, oddając Polskę demonowi seksu. Bajki opowiadał? Budujscy mniś to głupcy? Od tyłu wieków poświęcając życie debilizmowi? Istotą lamaizmu jest oddawanie czci demonicznemu bóstwom. Bzdura? Jeśli bzdura, Dalaj Lama jest obskurantem krety. Trwa walka duchowa. Religijny import, wszystko, byle nie chrześcijaństwo.

Człowiek kojarzy dziś naszą religię z wymaganiami, z rygiorem, ze stojącym za wszystkim złośliwym starcem, który nosi liczydło i zapisuje grzeszne przy-

jemności. A chrześcijaństwo, to bycie z kochającą Osobą, więź, które są źródłem oszalamiającej Radości, szczęścia dostępnego dla każdego.

Bóg Izraelitów oświadczył się nastolatce. Oświadczy Boga, złożona gątkowi ludzkiemu obietnica. Powiedziała TAK, po takim spotkaniu serce człowieka rozrywa ekstaza Radości. Miriam musi się szczęściem podzielić, biegnie z pomocą do ciężarnej, starej ciotki. Człowiek po wizycie Boga biegnie do ludzi. Po Bogu najważniejszy jest bliźni, człowiek. Daj mi Boże, abym dostrzegał potrzeby bliskich i bliźnich. Bóg istnieje, jest Miłością, wiara bez uczynków jest martwa. Chrześcijaństwo to mądra i ofiarna troska o tych, którzy potrzebują naszej obecności i pomocy, słów i czynów dojrzałej miłości.

Miłosny związek Boga i człowieka zawsze owocuje Miłością. W Jezusie Chrystusie miłość niewidzialnego Boga stała się widzialna, abyś mógł w nią uwierzyć do końca i bez wahania. Dla chrześcijanina wierzyć, to zawierzyć siebie tej Miłości, kierować się nią w życiu osobistym, rodzinnym i społecznym. I na koniec: wierzyć dojrzałe, to rozumieć, że wtedy, gdy Bóg wydaje mi się obcy, daleki czy nieobecny, to ja się od Niego oddaliłem, a nie On ode mnie, i że trzeba Go szukać w świętyni, czyli powracać do spraw Ojca, do Jego prawdy o mnie i do Jego miłości do mnie.

Miał być koniec historii, jest powrót do religii krwawych ofiar. Mamy obowiązek doprowadzić do zmiany kremłowskiego reżimu. Rozedrzeć Rosję, by już nigdy więcej żadnego narodu nie zabiła.

W obronie kobiet i dzieci, trzeba zastrzelić Putina i każdego rosyjskiego żołnierza, który przekroczył granicę. Bez nienawiści, cały czas modląc się o szczęście dla nich, o zwrócenie się każdego z nich ku absolutnej prawdzie i miłości.

Demon nienawidzi prawdy, nienawidzi pokory, nienawidzi Maryi. Panie, nie daj mi się już nigdy zgubić. 

Warte

Grzech rodzi smutek. Cywilizacja śmierci to zgrabna blondynka, siedzi za nią licealista, odwróciła się, uciekł z krzykiem. Do śmierci nieszczęśliwy jest człowiek, który nie wie, kim jest, który nie ma zgody na siebie, na starzenie się i umieranie. Z tyłu liceum, muzeum, uśmiechnięta rozpacz. Wielkie NIE wykrzyczane, wyjęczone, wybelkotane światu.

„Droga do radości” Mary David OSB to świadectwo dokładnie odwrotnej postawy. Chrześcijańska ufność, wszystko ostatecznie jest w ręku dobrego Boga. Nie odebrał człowiekowi wolności; bunt, rewolucja, to sprawy diabła. Jego popisowy repertuar, narzędzia demona skuteczne od 700 tys. lat, od momentu tchnięcia sumienia w nozdrza zwierzęcia. I niech mi ktoś nie mówi, że bronię zdekapitowanego za chwilę, zdeprawowanego Wersalu.

Czytając tę książkę, akapit po akapicie, ba! zdanie po zdaniu, miałem momentami wrażenie, jak przy lekturze Księgi Mądrości czy fraz Akwinaty. Mary David, wcześniej panna Totah, dziewczyna o palestyńskich korzeniach urodzona w Filadelfii, a dorastająca w Luizjanie, pewna siebie, pełna życia i utalentowana, była „ucieleśnieniem szlachetnej mądrości okraszzonej charyzmatycznym hartem ducha”. Jak pisze we wstępie do książki o. Erik Varden OCSO: „Každy, kto znał siostrę Mary David Totah, bez trudu wyobrazi ją sobie kroczącą ku chępliwiemu Goliatowi w imię dobra i prawdy z sercem mocnym w wierze, uzbrojoną w garść kamieni wygładzonych wodami strumienia, z którego pił sam Bóg, przybrawszy ludzką naturę, by podnieść głowę – swoją i naszą”.

Jako profesor nadzwyczajna literatury angielskiej wstąpiła do sióstr benedyktynek i jej dusza rozkwitła dzięki klasztornemu odosobnieniu, dzięki wspólnotcie, dzięki klauzurze. Bo klauzura, kobiecy zakon, to nie opresyjne narzędzie patriarchatu. Bystry analityczny umysł, wyostrzony zmysł poetycki – doktoryzowała się z symbolistów angielskich. Zawsze udawało się jej zejść głębiej, wnikać dalej, poszerzyć horyzonty, nie zadowalając się niczym, co nie składa się w CAŁOŚĆ. „Bóg daje nam – tak jak rodzic daje dziecku – wszystko, czego nam trzeba w danej chwili”. Nieszczęśliwi ludzie żyją przeszłością, błędami, niespełnieniami albo bujają w obłokach, nie są tu i teraz, przeżywają przygodę z przyszłością. Bezpłodną, frustrującą, zabierającą czas

i kolejne szanse na szczęście. To elementarz, a „Droga do radości” Mary David to wyższa szkoła jazdy, daje zrozumienie, co znaczy: błogosławieni ubodzy duchem.

Duchowe ubóstwo, to wyrzeczenie się postępu, na drabinię pokory postępowaniem nie jest wywyższanie się, a uniznianie. Wstępujemy ku górze, nie zyskując coś, a tracąc wszystko. Wyrzeczenie się postępu nie oznacza jednak, że życie w Bogu polega na staniu w miejscu i akceptowaniu beczynności. Wręcz przeciwnie. Bóg zachęca nas, byśmy szli naprzód, byśmy stawiali krok za krokiem. Ale skoro nie widzimy dokładnie, co się dzieje, tracimy poczucie naszych własnych osiągnięć i nie sposób mówić o mierzeniu odległości. „Trzeba porzucić wszelkie ludzkie miary i przyjąć, że istnieją tylko boskie”. Nie mamy mieć satysfakcji ze wspinania się coraz wyżej, „duchowe ubóstwo często oznacza kroczenie w mroku”. Duchowe ubóstwo oznacza także, że upadki są nieuniknione. Niedoskonałości nie obrażają Boga. „Człowiek zwykle chce się pięć do góry lub przynajmniej stać w miejscu, ale Jezus, który zstąpił z nieba wybiera upadek”. Musimy ufać i skupić się na prawdzie, która jest większa od nas. Co więcej: „Boże dary miewają nieprzyjemne opakowania”. Oddaj Bogu wszystko, co kochasz, będziesz szczęśliwy. Hierarchia wartości, zdrowa nauka, prawdziwa antropologia.

Człowiek i Bóg. Łyzeczka i ocean. Skłonność do posiadania kontra duchowe ubóstwo. Świat jako trofeum albo umyć nam nogi. Oczekiwania chrześcijaństwa są nienormalne, nienaturalne, nadnaturalne. Chrześcijaństwo przyszło z nieba.

Wierzę, że człowiek z małego miasteczka na peryferiach wielkiego imperium umarł i zmartwychwstał, biorąc

na siebie moje i twoje winy. Wierzę, że dokonała się wtedy kosmiczna przemiana, bo dzięki ofierze Jezusa mogę myśleć o moim życiu z nadzieją. Wierzę, że Jezus Chrystus jest Synem Bożym.

Co to znaczy: wierzyć z całego serca? W moim przypadku doświadczyć cudu. Ten Jezus przyszedł do mnie i przytulił. Poczułem całą miłość tego i tamtego świata. Od 25 lat tego jestem świadkiem, tego jesteśmy świadkami.

Szukałem prawdy, z całego serca, nic nie wiedziałem o Bogu. Szansa została mi dana. I dziś idę z radością swoją drogą. Chrześcijaństwo, nadprzyrodzona nauka.

W wielkim ucisku krzychałem: Mów do mnie wielkimi literami. Mów powoli, nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi. Bóg mnie wysłuchał. Przyjął głos mojej modlitwy, nie odepchnął mej prośby, niech będzie błogosławiony.

Robert Tekieli

Polskie Radio, saLon 44|44





Wojciech Stanisławski

Odkopane źródła pamięci

Ten reportaż, wolny od dziennikarskiego ekshibicjonizmu, opowiada o rzeczy równie bolesnej, co śmierć w rzezi wołyńskiej sprzed 80 lat – o milczeniu o tej śmierci. I przerywa je, na szczęście

Rzeź wołyńska, której 80-lecie przypadnie za rok, to dziś jeden z najtrudniejszych do poruszenia tematów. Politycy i wydawcy, którym przyjdzie się doń zbliżyć, wciskają pewnie na stopy baletki w miejsce półbutów, najtępsze umysły wśród warszawskich PR-owców zamiast głowić się jak zwykle nad promocją nowej odmiany makaronu, wynajmowane są, by rozważyć możliwie bezpieczną strategię medialną.

Isluszenie. Bo z jednej strony to tragedia tym cięższa, że nieprzepracowana. W PRL była przemilczana albo – jak kilka innych tematów, stanowiących przedmiot gier propagandowych – rozgrywana w sposób pokrętny, nie z intencją uczczenia ofiar i sprawiedliwych, lecz z przebiegłym celem politycznym. Albo chodziło o gloryfikację akcji „Wisła” („Słyszeliście, co tam wcześniej się działo? No. To teraz my ich”), albo – bardziej dalekosiężnie – o zniechęcenie Polaków do wszelkiej myśli o współpracy z Ukraińcami przeciwko potęgze Moskwy, o zalanie ołowiem raz na zawsze pamięci o Hadziaczu, Petlurze i Międzymorzu: miała ona zniknąć pod krwawym kleksem Wołynia. W III RP – owszem, ta tragedia była wspominana i filmowana, ale wobec ogromu krzywd i tematów, o których można było mówić, znalazła się trochę na bocznym torze. A także z uwierającą świadomością, że sąsiedni naród nie bardzo chce i umie przyjąć do wiadomości, czego dopuszczono się dwa pokolenia temu.



Katarzyna Surmiak-Domańska, „Czysta”,
Wydawnictwo Czarne, 2021

A z drugiej strony... Generała Waltera i wzniesionych przezeń łun w Bieszczadach nikt już nie chwali, ale wiadomo, że rzeź wołyńska jest najpopularniejszym zagranem propagandowym używanym przez tych, których czule określa się mianem „agentów wpływu Kremla”. Jeśli w potoku żółto-błękitnych nakładek profilowych, które widać po każdym wejściu do mediów społecznościowych, mignie nam biało-krwawy napis „Wołyń 43” – można postawić dolary przeciw rublom, że kryć się tam będą nie wspomnienia bliskich czy rozważania historyków, lecz przedruki z serwera Sputnik, foliarskie historie o „la-

boratoriach NATO” i plugawe plotki uderzające w milion uchodźców.

I co w tej sytuacji począć z Wołyniem? Milczeć o rzezi, bo to kłopotliwe i może być hamulcem solidarności, której Ukraina potrzebuje? Czy odwrotnie, podgrzewać temat donośnie i jętrząco?

Rozwiązanie wydaje mi się jak zawsze jedno. Pamiętać, że, owszem, zbiorowa bywa pamięć i przeszłość, lecz nigdy wina, zawsze wyznawana w pierwszej osobie liczby pojedynczej. I kto „przyszywa” odpowiedzialność za zbrodnie w Dominopolu, Chrynowie i Złoczówce dzisiejszym ofiarom moskiewskiej inwazji – czyni to z inspiracji następców tych, którzy strzelali w tył głowy w Katyniu.

A pamiętając to, opowiadać. W miarę możliwości półgłosem i o konkretnych osobach, z których każda powinna być wymieniona: Franciszka, Jadwiga, Rozalia. Mniej spiszowych widel z nieszczęsnych pomników Andrzeja Pityńskiego, więcej czułości dla okaleczonego świata: zgrabnych pierogów z wiśniami, śpiewów nad rzeką, „maleńkiej czerwonej kropelki na brzuszku” ciotki Rozalii, trafionej zza węgla. Ale to już kwestia stylu.

Taką właśnie opowieść – cichą, czułą i boleśnie przenikającą czytelnika – oferuje nam Katarzyna Surmiak-Domańska.

Spośród dziesiątków wołyńskich wspomnień, zapisków rodzinnych i rekonstrukcji – bo przecież bibliografia rzezi jest obfita – „Czystkę” wyróżniają dwie cechy i to one każą mi ją (spośród dorobku literatury wołyńskiej) zarekomendować.

Pierwsza – to właśnie czystość tonu, spokój taktowania, panowanie nad opisywaną materią. Na kogoś, kto prowadzi czytelnika przez tragedię narodu i dramat rodzinny, a w dodatku pragnie odmalować kruchą i biedną sielanekę lat 30. i stanąć twarzą w twarz z nocą zabójstwa, czeka wiele pisarskich pułapek. Może uderzyć w patos, w spiżę Pityńskiego; może od ckliwości przejść do sentymentalizmu, opisać rzeź w tonacji bajki, przymykając oczy na to, co najstraszniejsze albo odwrotnie, sycić się makabrą, niczym scenarzysta „Wołyńia”. W „Czystce” rodzinna opowieść, historyczne tło i straszna kulminacja wołyńsko-lwowska splecione są jak gobelin: każda nić trafia, gdzie powinna. Oczywiście to kwestia warsztatu autorki kilku książek, autorki dziesiątków reportaży – no tak, publikowanych na stronach „Wysokich Obcasów” i „Dużego Formatu”.

Owszem, uważne czytelnicze oko dostrzeże elementy tego (nie zawsze dużego) formatu. Mniejsza o „w Ukrainie”, ulubiony temat dzisiejszych sporów o politpoprawność języka. Mniejsza o uproszczenia historyczne – stwierdzenie, że Polska, podpisując z Sowietami pokój ryski, „złamała umowę z URL”, i kropka, jest technicznie prawdziwe, ale nie oddaje sprawiedliwości tamtej sytuacji. Łatwość, z jaką autorka we tknęła II RP tę szpileczkę, nie świadczy najlepiej o jej kompetencjach historycznych. Z „Wysokimi Obcasami” najbardziej mogą się jednak kojarzyć inne cechy tego tekstu: skupienie uwagi na postaciach kobiet – filarów rodu, za sprawą konwencji i rozkładu sił przesuniętych w tło, wypartych, niedostrzeganych; łatwość odbrazowania wizerunku rodziny, która może być źródłem traum, przemilczeń i zranień; gotowość do opisanie tych traum.

Te cechy, które potrafią razić w tylu tekstach na łamach „WO”, tym razem w połączeniu z uczciwością autorki stanowią o wartości „Czystki”. Bo ten reportaż nie jest tylko relacją o konkretnej wiosce, o zastrzelonej ciotce, spalonej chacie i wygnanej w świat matce z trójką dzieci. Jest opowieścią o czystce dokonanej we własnej pamięci, o okrutnym tricku, który dokonuje się w umysłach świadków koszmaru: żeby żyć dalej, muszą zaszpunktować źródła i wspomnienia. Jednych prowadzi to do obłędu lub demencji, innych – do „oddychania jednym płucem”, do chłodu i wytlumienia w relacjach z własnymi dziećmi. Może najbardziej o tym jest ta książka: półgłosem, bez dziennikarskiego ekshibicjonizmu. Ten reportaż, wolny od dziennikarskiego ekshibicjonizmu, opowiada o rzeczy równie bolesnej, co śmierć w rzezi wołyńskiej sprzed 80 lat – o milczeniu o tej śmierci. I przerywa ją, na szczęście. 

Zatoka Braudela

Skoro Morze Śródziemne, to wiadomo: Braudel i jego opus „Morze Śródziemne i świat śródziemnomorski w epoce Filipa II”. Tamta praca, która przyniosła mu światową sławę i stała się sztandarowym dziełem historiografii spod znaku czasopisma „Annales”, była pierwszą, która tak radykalnie dystansowała się od historii politycznej i szukała czynników determinujących długie trwanie ludzkości w zmianach kierunku wiatrów i szlaków handlowych, wahanach cen zboża, podmuchach herezji i zarazy.

W blisko wiek później trudno już mówić o odkrywczoci tego podejścia. „Nowa historia” rychło stała się „starą historią”, dezuwowanie klasycznego opisu rządów i praw podejmowane jest na coraz większą skalę. A jednak jest coś pociągającego w próbach (nowatorskich, choć w jakiś sposób tak bliskich wysiłkom Herodota) opisanie wszystkiego, co warunkuje historię jakiegoś obszaru: nie tylko ludów i królów, lecz także upraw, śnieżyć i decydującego o ławicach ryb zasolenia morza. Morza?

Tak, jeśli bowiem próbować powtórzyć braudelowski manewr, co nadaje się lepiej do opisanie niż Adriatyk, który jest – jak

stwierdza w pierwszym zdaniu wprowadzenia Ivetic – „morzem śródziemnym Morza Śródziemnego”, przez lata postrzegany jako jego zatoka?

Zatoka, lecz i węzeł łączący Alpy i Balkany, siedem z dziesięciu europejskich państw basenu Morza Śródziemnego, islam, prawosławie i katolicyzm, rubież cesarstwa Karola Wielkiego, Imperium Otomańskiego i dziedziny Napoleona, bloku sowieckiego i Świętego Cesarstwa Rzymskiego, kultury renesansu i kultur pasterskich. Ivetic lubuje się w zestawianiu takich odcieni, najcenniejsze w jego dziele jest jednak ukazanie Adriatyku jako regionu historycznego, powiązań między Wenecją, Triestem, Otranto, Dubrownikiem a Durrës. Skuteczniej od izohalin (linii na mapie morza łączących punkty o takim samym stopniu zasolenia) łączyły je szlaki żeglugowe, obyczaje i idee. To ukazanie Adriatyku jako ciągłości (niezależnie od tego, że istniał Adriatyk habsburski, Adriatyk turecki i Adriatyk papieski) jest fascynujące, choć i oczywiście jakoś dla każdego, komu zdarzyło się z Vidowej Góry, najwyższego szczytu wyspy Brač, patrzeć w kierunku Hvaru, Visu, Biševa w ślad za zachodzącym słońcem. 





Skowyt

rewolucjonisty

*Do dzieła wybitnego,
a takim są „Spaleni
słońcem” Nikity*

*Michałkowa, warto wrócić
w dowolnym momencie.*

*Dziś jednak w trakcie
przełomowej dla Rosji
(i Ukrainy – naturalnie)
wojny, refleksja nad
tym filmem może być
szczególnie inspirująca*



BRONISŁAW WILDSTEIN

Tytuł rosyjskiej wersji polskiego tanga „Ta ostatnia niedziela”, która stanowi przewodni motyw filmu i dała mu tytuł, brzmieć powinien „Wykończeni słońcem”. Nie tylko byłoby to wierniejsze, ale i uzupełniało o dodatkowe, przerażające znaczenie, co obserwując, z jaką pieczołowitością konstruuje swoje dzieło Michałkow, nie wydaje się przypadkiem.

W centrum Moskwy, w apartamencie jednego z dwóch protagonistów filmu, Dmitrija Arsent'iewa, byłego arystokraty i oficera NKWD, rozgrywa się wstęp i zakończenie filmu. Przez otwarte okno widać wieżę Kremla. Prywatność jest złudzeniem. Wdziera się w nią i determinuje ją historia w swoich politycznych odsłonach. Nie ma od niej ucieczki. Kreml zawsze zaglądał będzie w okna Arsent'iewa.

Tak bardzo jednak chcielibyśmy ulec złudzeniu prywatnego, tylko przez nas kształtowanego świata, że dwie trzecie filmu traktowane są zwykle przez widzów jako opowieść intymna. Rozgrywa się na upalnej prowincji niedaleko od Moskwy, na tyle jednak odległej, że nie wydaje się zakłócać jej w sumie idyllicznego, choć nieco groteskowego rytmu. Wprawdzie

zdajemy sobie sprawę, że ten czechosłowacki klimat niesie w sobie utajony dramatyzm i zagrożenie, do którego przyzwyczail nas już jego twórca, ale niebezpieczeństwa tego nie kojarzymy z wielką historią, tak jak plagi kulistych piorunów – przed którymi ostrzega towarzyszące ciągle bohaterom radio – nie uznajemy za katastrofę naturalną.

Doszczęśliwej, choć pociesznej rodziny komandira Siergieja Kotowa, przybywa niespodziewany gość, w którym po odrzuceniu przez niego błazeńskiego kostiumu odkrywamy Dmitrija, długo niewidzianego, byłego ukochanego Marusi, żony gospodarza. Ciągłe mieścimy się w konwencji intymnego melodramatu, przebiegle sugerowanej nam przez twórcę. Wszystko do niej pasuje: tajone namiętności, żale i urazy trójki bohaterów, co podkreśla tango, które jest stałym motywem filmu, a stanowi wzorcowy przykład tej artystycznej formy. Dmitrij, który zdziera sztuczną brodę, intonując przy fortepianie „Śmieję się pajacu”, jest wręcz upostaciowaniem figury zdradzonego kochanka. Blizny na prze-gubach Marusi komplikują nieco sprawę, gdyż nie wiemy już, kto kogo porzucił, zwłaszcza gdy informuje ona Dmitrija, że jej samobójcza próba była efektem jego wyjazdu, ale ciągle mieścimy się w tym samym sentymentalnym idiomie. Mieści się w nim także rola coraz bardziej lekceważonego i zazdrośnego męża, którą z rosnącym zaangażowaniem odgrywa gospodarz domu.

REWOLUCYJNY DEUS EX MACHINA

A przecież pod tą upalną aurą okraszonego rodzajowym humorem melodramatu tli się coraz głębszy niepokój, a konwencjonalną formę rozsądzać zaczyna ujawniająca się pod nią tajemnica. Uważniejszy widz od początku dostrzega zresztą, że sielski obraz rozleniwionej słońcem prowincji, którą zwodzi nas twórca, odsłania się w coraz bardziej złowieszczy kształt, a kulisty piorun nie stanowi wyłącznie filmowego ornamentu.

Pierwszą sceną właściwej akcji jest starcie kolchoźnic z wyjeżdżającymi na ich pole czołgami. Sekwencja jest zabawna: kobiety tłuką sprzętem rolniczym po pancerzach maszyn, zdeorientowani żołnierze nie wiedzą, czy mają je rozjeżdżać, czy czekać

na kolejne rozkazy. Na szczęście pojawia się oderwany od swojej rodzinnej idylli Kotow, który fetowany przez wieśniaków sztorcuje czołgistów i przepędza czołgi. Ten fragment to seria gagów. Żołnierze grożą i wymyślają Kotowowi, który przyjeżdża na oklep i po cywilnemu, choć jego pewność siebie zbija ich z tropu, ale dopiero gdy komandir robi odpowiednio marsową minę i naciągając na głowę czapkę zabraną żołnierzowi, upodabnia się do swojego wizerunku ozdabiającego zarówno pionierskie chusty, jak i czekoladki, gotowi są wypełniać jego rozkazy, zwłaszcza że potwierdzone zostały przez centralę po żołnierskiej rozmowie, którą przeprowadził z nią legendarny bohater rewolucji.

Rozbrojeni zaangażowaniem i humorem Kotowa nie dostrzegamy, że na polu pojawił się on na zasadzie deus ex machina, a zwykli wieśniacy nie za bardzo mogą liczyć na szczęście, jakim jest interwencja mitycznego herosa, który zrządzeniem losu akurat odpoczywał będzie w ich przysiółku. Nie będzie ich miał kto obronić, a decyzji dowódcy, którego czołgi zmiażdżą płony, nie przeciwstawia się grabe kolchoźników. Kotow jest miły, a więc jego sobiepaństwo budzi w nas sympatię. Ale to, że od jego kaprysu zależy los mieszkańców odsłania nam porządek na pozór idyllicznego świata.

Na portretach, na których oglądać będziemy rewolucjonistę Kotowa, przypomina on Stalina. Na biurku ma zresztą fotografię z ojcem narodu: towarzysze broni porozumiewawczo uśmiechają się do siebie. Wyglądają jak nieco tylko zniekształcone odbicie. Kotow traktuje Stalina zarówno jako kolegę, jak i najwyższy autorytet, i dopiero w finale zrozumie swoją pomyłkę. Czy przy innym biegu rzeczy to on mógłby znaleźć się na miejscu Stalina? Czy zasadniczo zmieniloby to stan rzeczy? To zresztą zupełnie nieprawdopodobne, bo świat, który wyłonił się z przeprowadzonej przez nich rewolucji, siłą rzeczy wyniesie na szczyt kogoś takiego jak Stalin. Kotow musiałby stać się Stalinem, żeby zwyciężyć. Czy zresztą tak mu do niego daleko?

ZŁUDZENIA REWOLUCJI

Ciemne strony życiorysu Kotowa z czasem ujawniają się, tak jak narodowa tragedia pod powierzchnią rodzinnego melodramatu.

Specjalnie dla Nadii, córki generała, a w rzeczywistości dla jej matki, Dmitrij odegra improwizowaną kukielkową historijkę swojego życia. Po wojnie kończącej się krwawym kataklizmem rewolucji, w którym Dmitrij uczestniczył po stronie białych, i po epizodzie emigracji, zdecydował się wrócić do domu i swojej ukochanej. Dostał jednak ultimatum: życie za służbę nowej władzy za granicą państwa. Dmitrij chciał żyć. Kiedy mógł już wrócić, okazało się, że ten, który ultimatum mu postawił, ożenił się z jego narzeczoną. Kotow przyzna to później swojej żonie. Nadal nie wiąże się to dla niego z żadnymi moralnymi skrupułami. Dmitrij mógł przecież „wybrać” i odmówić. Tym, że oznaczałoby to dla niego w najlepszym wypadku więzienie, pocziwy Kotow się nie przejmując. Również Marusia przyjmuje tłumaczenie męża. Inaczej zakwestionować musiałby swoje rodzinne szczęście.

W kolejnych scenach okazuje się, że Kotow miał jeszcze inne uprawomocnienie szantażu, jakiemu poddał Dmitrija. Cztery lata wcześniej ten ostatni, nie mogąc znieść emigracji, złamał się i zgodził wydać w ręce bolszewików swoich dawnych dowódców. Na śmierć. Dmitrij zdradził, ale Kotow eksterminację przeciwników traktuje jako oczywistość. W werbalnym starciu między mężczyznami Dmitrij broni się, że zdrada była warunkiem jego powrotu do życia. Po wykonaniu podlego zadania miał rozpocząć nową egzystencję, a właściwie wrócić do tej, którą prowadził przed rewolucją. Zawierzenie obietnicom bolszewików było naiwne, tak jak naiwne było przeświadczenie Kotowa, że bezwzględna rewolucja pozwoli jego ojczyźnie osiągnąć harmonię, w której nie trzeba będzie „gonić ani uciekać”, jak tłumaczy to swojej córeczce.

Na pierwszy rzut oka porewolucyjna arkadia różni się od epoki wcześniejszej tylko tym, że to Kotow jako zwycięzca zajmie miejsce Dmitrija Arsientiewa. Stanie się właścicielem dacz jako mąż jej posiadaczki oraz osiągnie status patrona lokalnej społeczności. Przestoczą się ceremonie, świętem stanie się obchodzony w trakcie jednodniowej akcji filmu dzień budowniczych stalinowskich sterowców, ale mieszkańcom wydaje się, że poza wymianą panów i pozorów nic się realnie nie zmieniło. Jednak porewolucyjna

rzeczywistość ujawni im wkrótce swoją radykalnie odmienną prawdę. Tym, który od początku nie ma złudzeń, jest Dmitrij. Zmiażdżony przez system, stał się jego trybem. Pelen uzasadnionych urazów, jest wypełniony złem i świadomie zło czyni. Jest wypalony.

KOSZMAR KOMUNIZMU

Dmitrij nie jest postacią prostą. Owszem, zgadzając się na rolę oprawcy swojego dawnego prześladowcy, potrafi czerpać z niej satysfakcję, ale również ona okazuje się złudzeniem. Zemsta jest równie pusta jak widma przeszłości, które ściga były arystokrata. We wstępie do filmu po powrocie do domu Dmitrij nie odbiera natrętnego telefonu. Wie, czego będzie dotyczył. Gra ze sobą w rosyjską ruletkę. Jedna kula pozostawiona w siedmiostrzałowym magazynku jest próbą. Dmitrij przeżywa i oddzwania, oświadcza, że się zgadza. Dopiero z czasem zrozumiemy na co.

W domu Kotowa, który był jego dawnym mieszkaniem, Dmitrij gra. Usiłuje przeżyć to, co przeżywał kiedyś, a także zrewanżować się dawnemu oprawcy za swoją klęskę. Wszystko okazało się jednak iluzją. Zgadzając się na wszystko za cenę życia, Dmitrij je utracił.

Jego miejsce zajął Kotow. Zajął je także przy boku Marusi. Oglądając improwizowany przez Dmitrija kukielkowy spektakl, orientuje się ona, że to obecny mąż zniszczył romans jej życia. W odruchu zrywa się od stołu i wybiega. Ścigana przez Kotowa biegnie po schodach. Grozi, że wyskoczy przez okno. To jednak również teatr. Sprawa jest rozstrzygnięta. To Kotow wygrał wojnę domową. Marusia ulega w sposób najdosłowniejszy i godzi się z mężem w jego łóżku. Przyjmuje jego skrajnie cyniczne, choć w dobronadziejnym przybraniu wyjaśnienia.

Choć wojna wprawdzie się skończyła, ale nie rewolucja. Teraz to Dmitrij, który złamał wszystkie normy i kieruje się wyłącznie resentymentem, jest jej najlepszym narzędziem. Bo to jemu zwierzchnicy polecili aresztowanie Kotowa. Karuzela terrorku musi się kręcić.

Odruchowo chcielibyśmy ulaskawić Dmitrija, jak i innych bohaterów filmu. Nie sposób tego zrobić. Chcielibyśmy usprawiedliwić go tak, jak mieszkańcy



porewolucyjnej Rosji chcą samousprawiedliwienia i fikcji egzystencji w normalnym świecie. Wystarczy jednak uprany przez pomyłkę razem z koszulą adres, aby natknąć się na wydarzenie, którego nie powinno się widzieć i zapłacić za to życiem. Żałośnie zabrzmią wtedy odwołania do nieistniejących praw obywatelskich i tak zostaną potraktowane przez reprezentantów nowej władzy, którzy tak samo traktują żywych ludzi, jak ich plony. To Kotow tworzył ten świat, świat podporządkowany mu i zabawny dopóki jego elementarny mechanizm, którym jest wszechogarniający terror, nie ujawni się i nie skieruje przeciw przekonanemu o swojej wyjątkowej pozycji bohaterowi. Kotow roil sobie, że usytuowany jest ponad prawami świata, który stworzył. Nawet po aresztowaniu ciągle usiłuje wierzyć, jak legion jemu podobnych, że to pomyłka. Skuty i zmasakrowany przez nadzorców, widząc gigantyczny portret Stalina, który jak symbol zwycięskiej rewolucji unoszony jest przez sterowiec, zrozumie, że utopia powołana do życia również przez niego stała się koszmarem i koszar ten nikomu nie zostanie oszczędzony. Skowyt rewolucyjnego bohatera, który niewiele wcześniej sztydził ze złamanego konkurenta, jest jego ostateczną klęską.

UŚMIECH ENKAWUDZYSTY

Kontrrewolucyjny zdrajca nie ma złudzeń. Salutuje przesłaniającemu świat portretowi ze specyficznym uśmiechem (to genialna rola Olega Mieńszykowa). Wie już, że nie ma po co kontynuować egzystencji, która skończyła się lata wcześniej. Do poprzednich zrad dołączył ostatnią, którą okazała się zemsta. Nic mu nie dała.

Wie, że zniszczył nie tylko swojego rywala, ale i dawną miłość oraz jej dziecko. Nie on zresztą decydował – był jedynie wykonawcą. Dlatego popełni samobójstwo, patrząc w okno na kremłowską wieżę, popełni je konsekwentnie w przeciwieństwie do swojej ukochanej, która nie wiedziała jeszcze, że żyły należy przecinać w wodzie, aby rany się nie zasklepiły.

Michałkow opowiedział nam o rewolucyjnym zniszczeniu ładu moralnego i porządku społecznego, które muszą pociągnąć za sobą zdrugotanie losów ludzkich. Od połowy XIX w. kultura rosyjska kwitła, a tradycyjna despotcja ulegała ograniczeniu. Rewolucja nie tylko położyła temu kres, ale stanowiła głęboki regres, w którym okrucieństwo Iwana Groźnego stało się normą powszechną. A przecież ludzie usiłowali żyć w tym systemie, udając, że niewiele się zmieniło, a więc robiąc wszystko, aby nie dostrzegać tego, co działo się wokoło. Życie w komunizmie wymagało nieustannych, upiornych kompromisów. Dlatego po jego upadku mało kto chciał do nich wracać. Hekatomba rosyjskiego komunizmu (innych zresztą również) zostawiła za sobą niewiele poważnych rozliczeń. Film Michałkowa jest jednym z nich. Ale to tylko jedno dzieło. Wybitny twórca potrafi odgrywać rolę medium. Takim był Michałkow, odsłaniając parę lat po upadku komunizmu jego istotę. Potem było zdecydowanie gorzej. Dziś to nadworny artysta Putina. Jego pan – jak elita dzisiejszej Rosji – wyrósł z komunizmu, aby przekształcić go w drapieżny nacjonalizm i w jego imię popełniać kolejne zbrodnie. Michałkow, nowe wcielenie Dmitrija Arsentiewa, mu salutuje. Nie wiem, czy z tym samym uśmiechem.



Nikt nie chce się źle czuć

Nad wprowadzaniem do polskiego systemu refundacji nowych terapii w chorobach przewlekłych dyskutowali uczestnicy debaty „Przewlekła choroba nerek, cukrzyca i choroba otyłościowa. Koszty rozwoju cywilizacyjnego, którym można zapobiec”. Eksperci ochrony zdrowia postulowali, by skoordynowaną walkę ze skutkami powszechnych schorzeń rozpocząć jak najszybciej i jak najskuteczniej. Musimy jednak być cierpliwi w oczekiwaniu na efekty decyzji podjętych dzisiaj, gdyż poznamy je dopiero za pewien czas – wynika z oceny uczestników spotkania

O najważniejszych decyzjach refundacyjnych, na które czekają polscy pacjenci, rozmawiali: Maciej Milkowski, wiceminister zdrowia, Anna Śliwińska, prezes Polskiego Stowarzyszenia Diabetyków, prof. Beata Naumnik, specjalista w zakresie chorób wewnętrznych, nefrologii i transplantologii klinicznej Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku, prof. Leszek Czupryniak, diabetolog z Kliniki Diabetologii i Chorób Wewnętrznych Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, prof. Ryszard Gellert, konsultant krajowy w dziedzinie

nefrologii, prof. Marcin Czech, prezes Polskiego Towarzystwa Farmakoekonomicznego i prof. Mariusz Wyleżół, wiceprezes Polskiego Towarzystwa Leczenia Otyłości. Debatę poprowadził redaktor Krzysztof Jakubiak.

Jakie miejsce na liście priorytetów Ministerstwa Zdrowia zajmują obecnie choroba otyłościowa, cukrzyca i jej powikłania, a zwłaszcza przewlekła choroba nerek? Jaka jest rola profilaktyki oraz wykorzystywania nowoczesnych technologii do leczenia i monitorowania pacjenta?

Czy dzisiejsze decyzje refundacyjne są procedowane z myślą o polskim pacjencie za 20–30 lat?

Maciej Milkowski: Wnioski firm farmaceutycznych nie obejmują tak długofalowych efektów. Trudno dziś udowodnić, że za kolejne 20, 30 lat będzie istotnie taniej, skuteczniej, lepiej. To jest problem: badania kliniczne są krótkofalowe, bardzo skrócone, zatwierdzane po wstępnych wynikach. Mimo to ministerstwo stara się w te choroby populacyjne inwestować, w szczególności w zakresie dostępności aptecznej, gdyż tam



Prof. Mariusz Wyleźół,
wiceprezes Polskiego
Towarzystwa Leczenia
Otyłości

Prof. Ryszard Gellert, konsultant
krajowy w dziedzinie nefrologii

Maciej Miłkowski,
wiceminister zdrowia

Anna Śliwińska,
prezes Polskiego
Stowarzyszenia Diabetyków

środki na te choroby powinny być wyższe. Dostępność większości leków w tych wszystkich chorobach przewlekłych jest bardzo dobra. Te leki, których brakowało, weszły na listy refundacyjne – zwłaszcza duży postęp dokonał się w cukrzycy, ale były to pojedyncze leki, a wszystkie inne są finansowane od dawna. Mówiąc o lekach innowacyjnych dla populacji, należy wspomnieć, że tych grup jest niewiele. Pomimo dużej liczby przypadków cukrzycy, przez ostatnie 5–10 lat nie pojawiło się wcale tak dużo leków zmieniających istotnie terapię. Wchodzimy w kolejne obszary, tak jak w kardiologii, dalej w nefrologii i szacujemy z konsultantem krajowym ds. nefrologii, że ten efekt dla pacjentów będzie bardzo znaczny pod względem wpływu na całkowite przeżycie, koszty dializoterapii oraz uciążliwość leczenia pacjenta dializami (poprawienie jakości życia). Zatem mamy tu działanie istotne w trzech płaszczyznach. Leki te są superefektywne kosztowo, dlatego zapewne niedługo dojdzie do poszerzenia (refundacji) w tym zakresie. Ministerstwo Zdrowia chciałoby leczenie chorób populacyjnych bardzo wzmocnić, a to czego brakuje w aptekach – wprowadzić, ponieważ tam wzrost budżetu refundacyjnego był stosunkowo niewielki w porównaniu do technologii innowacyjnych (bardzo drogie). W związku z tym w pierwszej kolejności chcielibyśmy wykorzystać pieniądze na choroby przewlekłe, a pozostałe środki na leki innowacyjne. Taki jest kierunek zmian. Rozmawiamy, negocjujemy. Myślimy o całym rynku, nie tylko leczenia, ale również monitorowania wyrobami medycznymi, także o systemie ciągłego monitorowania,

skanowania czy systemie pomp insulinowych i aktywnego sprzężenia zwrotnego. To kolejne elementy, nie tylko refundacja apteczna. Chcielibyśmy postawić na informatyzację, czyli na dostęp do danych przez pacjenta i lekarza pierwszego kontaktu. No i oczywiście skorelować te zmiany w systemach leczenia pacjenta i kwalifikacją do kolejnych leków.

Więści bardzo optymistyczne. Zaczynijmy jednak od przyczyny wielu chorób, czyli od otyłości. Choroba otyłościowa powoli zajmuje należne jej miejsce w świadomości pacjentów, w działaniach lekarzy i w systemie ochrony zdrowia. Czy słusznie określamy ją pandemią XXI w.?

Prof. Mariusz Wyleźół: Jestem chirurgiem. Od 30 lat zajmuję się chirurgicznym leczeniem chorych na otyłość, początkowo w Klinice Chirurgii w Zabrze, a od kilkunastu lat w Warszawie. Pan minister wspominał, że nie dysponujemy wynikami badań naukowych, które pozwalałyby na długotrwałą obserwację skuteczności czy efektywności ekonomicznej leków. Inaczej jest w chirurgicznym leczeniu otyłości, gdzie dysponujemy wynikami badań z ponad 20-letnich obserwacji wskazujących na korzyści zdrowotne i ekonomiczne dzięki zastosowaniu tej metody leczenia. Rozumiem, że przy podjęciu decyzji o wprowadzeniu grupy JGP w 2017 r. w chirurgii bariatrycznej czy też przy wprowadzeniu programu pilotażowego KOS BAR brali państwo m.in. właśnie te wyniki pod uwagę. Dziękuję jednocześnie panu ministrowi za zwrócenie uwagi, że w ramach programu KOS BAR staramy się doprowadzić do 8–10 proc. redukcji wyjściowej

masy ciała w okresie poprzedzającym operację. Jest to uzasadnione istotnym wpływem przedoperacyjnej redukcji masy ciała na zmniejszenie częstości występowania powikłań w okresie pooperacyjnym, a także uzyskiwaniem lepszych wyników w obserwacji odległej. Niestety, ale u części chorych interwencja żywieniowa, wsparcie psychologiczne i zwiększona aktywność fizyczna nie przynoszą zakładanych efektów w zakresie przedoperacyjnej redukcji masy ciała. W tej grupie chorych zasadne byłoby wykorzystanie potencjału leków przeciwootyłościowych. Pragnę jednak przypomnieć, że są one w pełni odpłatne i większość chorych nie jest w stanie sfinansować sobie ich zakupu. To zatem duży problem, gdyż wiemy, że dzięki zastosowaniu leków przeciwootyłościowych istniałaby większa szansa na uzyskanie przedoperacyjnej redukcji masy ciała, a tymczasem nie możemy ich zastosować u chorego z powodu bariery finansowej. Jeszcze bardziej dramatyczną – nie boję się tego określenia – jest sytuacja, w której chory mógłby być leczony farmakologicznie z zastosowaniem leków przeciwootyłościowych, a decyzję o poddaniu się operacji podejmuje tylko dlatego, że ponownie pojawiają się uwarunkowania finansowe, mianowicie operacja jest refundowana ze środków publicznych, a po drugiej stronie są leki przeciwootyłościowe, które musi zakupić we własnym zakresie. Oczywiście zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że żaden system finansowy nie udźwignie ciężaru finansowania leczenia farmakologicznego całej populacji chorych na otyłość, ale powinniśmy podjąć poważną dyskusję na temat tego, którzy chorzy odniosą



Prof. Beata Naumnik,
specjalista w zakresie
chorób wewnętrznych,
konsultant wojewódzki
ds. nefrologii



Prof. Leszek Czupryniak,
diabetolog, UCK WUM



Redaktor Krzysztof
Jakubiak



Prof. Marcin Czech,
prezes Polskiego
Towarzystwa
Farmakoekonomicznego

najwyższą korzyść z leczenia farmakologicznego choroby otyłościowej i tej grupie chorych zapewnić taką możliwość. Także z korzyścią dla systemu opieki zdrowotnej w naszym kraju w wyniku redukcji kosztów leczenia powikłań otyłości – np. takich jak cukrzyca typu 2, choroba zwyrodnieniowa stawów, nowotwory złośliwe i wiele innych – które chciałbym przypomnieć, że są leczone ze środków publicznych. Dla mnie taką grupą są przykładowo chorzy ze względami wskazaniami do leczenia chirurgicznego otyłości, tzn. w przedziale BMI od 35 do 40, niewykluczone, że dzięki zastosowaniu leczenia farmakologicznego możliwe byłoby uniknięcie operacji. Chciałbym także zauważyć, że mówiąc dziś o nowoczesnych lekach przeciwcukrzycowych, mówimy w rzeczywistości o nowoczesnych lekach przeciwotyłościowych, a w wyniku leczenia otyłości obserwujemy ustępowanie cukrzycy typu 2, czyli klasycznego powikłania choroby otyłościowej. Ich wykorzystanie w leczeniu cukrzycy typu 2 cieszy mnie, ponieważ wraz z ich upowszechnieniem wejdziemy w erę przyczynowego leczenia otyłości, a nie, jak to ma miejsce dotychczas, że będziemy się koncentrowali i finansowali leczenie powikłań choroby otyłościowej, czyli w rzeczywistości leczymy tę chorobę paliatywnie. Mam także nadzieję, że wraz z dostrzeżeniem leków przeciwotyłościowych powszechne stanie się zrozumienie przyczyn tej choroby i zasad jej leczenia oraz że zaniechamy raz na zawsze oczekiwania od chorego samowyleczenia się z niej dzięki diecie i wysiłkowi, co – jak dowodzą wyniki badań naukowych – nie tylko jest nie-

skuteczne, ale wręcz prowadzi do dalszego postępu choroby otyłościowej.

Cukrzyca nie tylko stanowi zagrożenie, ale prowadzi do wielu powikłań. Ich skutki i koszty leczenia są równie wielkie. Jak skutecznie zapobiegać powikłaniom? Czyli jak zwiększać efektywność leczenia cukrzycy? Jaka jest rola monitorowania glikemii we współczesnej terapii cukrzycy? Wytyczne zawierają dwie ścieżki leczenia cukrzycy typu 2 w zależności od typu powikłań (nefrologicznych lub kardiologicznych) – jak je stosować w praktyce?

Prof. Leszek Czupryniak: Ostatnie dwa, trzy lata to przełom w leczeniu cukrzycy w Polsce. Ten przełom na Zachodzie dokonał się dekadę temu. Dziś doceniamy polskie zmiany i wypatrujemy kolejnych. Mamy leki i mamy technologię. Dzięki nim uzyskujemy wyrównanie cukrzycy, jakie się daje uzyskać insuliną bez objawów niepożądanych insuliny, czyli bez przyrostu masy ciała, z redukcją masy ciała, bez niedocukrzeń. Tajemnicą tych leków jest to, dlaczego niektórzy pacjenci zmniejszą masę ciała o 5–10 kg, a niektórzy aż o 30 kg. To są leki, które – gdyby nie bariera cenowa – dawalibyśmy każdemu pacjentowi z cukrzycą typu 2, a nawet wcześniej: przed cukrzycą, która jest bezpośrednim i bliskim powikłaniem nadwagi i otyłości. I mówiąc o refundacji, powtórzę pewną śmiałą koncepcję: jako diabetolodzy namawiamy ministerstwo do rozważenia dość radykalnego i odważnego kroku wynikającego z postępu medycyny. Krótko mówiąc: szkoda refundować stare leki. Roczna refundacja tanich leków (tych po kilka złotych, na które

pacjenci mogą sobie pozwolić sami) to razem ok. 300 mln zł. Gdyby ministerstwo odeszło od ich refundowania, mielibyśmy bardzo dużo pieniędzy na refundację nowych terapii. Takich leków, o których dziś pacjenci nie mogą nawet marzyć i nowoczesnych technologii np. ciągłego monitorowania glikemii.

Przewlekła choroba nerek sprzyja rozwojowi cukrzycy, zwiększa ryzyko chorób serca. Pacjent z przewlekłą chorobą nerek – to jednocześnie pacjent kardiologiczny, diabetologiczny. Miliony ludzi chorują na PChN, ale duża część o tym nie wie i zaczynają się leczyć, kiedy jest już za późno. Jak zapobiegać przewlekłej chorobie nerek i w jakim stopniu jest za nią odpowiedzialny rozwój cukrzycy?

Prof. Ryszard Gellert: Czy pacjenci z chorymi nerkami są otyli? Najczęściej tak, bo otyłość jest powszechna. Tak jak i nadciśnienie tętnicze, które występuje przy uszkodzeniu nerek. A nie ma uszkodzenia nerek bez insulinooporności. I od razu widać, jak to wszystko jest ze sobą powiązane. Wiemy, że sama otyłość bez cukrzycy powoduje progresywne zmniejszenie filtracji kłębuszkowej. Redukcja nadmiernej masy ciała powoduje, że tempo progresji choroby nerek spada. Wczesne zmiany cukrzycowe w nerce mogą się cofać pod wpływem właściwego leczenia i redukcji ciężaru ciała. Mało kto wie, że jeżeli ktoś ma przewlekłą chorobę nerek odniesie korzyść z rozpoczęcia leczenia właśnie lekami, które stosowane początkowo na cukrzycę, nagle okazują się być również doskonałe w leczeniu chorób serca i zapobiegają chorobom czy



progresji przewlekłej choroby nerek bez cukrzycy. Stwierdziliśmy, że cukrzyca u tych osób, które przyjmują lek na nerki, a nie na cukrzycę, występuje rzadziej niż u tych, którzy tych leków nie biorą. To jest pewne, że istnieje ścisły związek między otyłością, cukrzycą i chorobą nerek. Dodam jeszcze, że nie ma choroby nerek bez choroby serca, a choroby serca – bez chorób nerek. Nerki są filtrem organizmu, jeśli się zepsują, to choruje każda komórka. Taką sytuację można wykryć wcześniej: wystarczy zinterpretować właściwie badanie ogólne moczu.

Im szybsza diagnoza, tym większe szanse na wyleczenie lub utrzymanie pacjenta w dobrym zdrowiu. Jak możemy poprawić sytuację chorych, aby ograniczyć skutki choroby, wcześniej diagnozować, szybciej wdrażać leczenie choroby nerek, aby odsuwać w czasie etap dializ?

Prof. Beata Naumnik: Na Podlasiu, gdzie pracuję i pełnię funkcję konsultanta wojewódzkiego, wydanie 100 zł na 28 tabletek flosyny to wielki wydatek, którego odmawia większość pacjentów – mimo że mają wskazania. Po

prostu nie stać ich na wydanie takich pieniędzy. Dlatego cena ma znaczenie i wielu ludzi rzeczywiście możemy uratować, gdyby te leki były refundowane. Nefrologi czekali na lek wydłużający życie naszym chorym ponad 25 lat. I ten lek jest! Liczy się również profilaktyka. Co zrobić z pacjentem z przewlekłą chorobą nerek, który nie ma żadnego programu profilaktycznego. Powinniśmy stworzyć system profilaktyczny „30+”, aby raz do roku oznaczać stężenie kreatyniny we krwi i wykonać badanie ogólne moczu. Wówczas zdiagnozujemy dużą grupę chorych. Nerki się starzeją już od 25 roku życia w sposób zauważalny. Dodając do tego predyspozycje rodzinne: cukrzycę, otyłość, jesteśmy w stanie wyłowić bardzo wcześnie i podać pacjentom lek – jeśli będzie refundowany. Nie można zwolnić podstawowej opieki zdrowotnej z przeprowadzenia bardzo prostych badań raz w roku profilaktycznie. To powinny być sztywne zalecenia. Każdy powyżej 30 roku życia, kto jest pod moją kuratelą ma raz do roku wykonane badanie ogólne moczu i oznaczoną kreatyninę we krwi. To jest rzecz bardzo istotna.

Nie może istnieć konflikt interesów takiego lekarza: nie można stwarzać sytuacji, że jeżeli lekarz robi mniej badań, to ma większy zysk. On powinien być wręcz premiiowany za szybkie kierowanie pacjentów z grup ryzyka do specjalistów, takich jak kardiolog, diabetolog, nefrolog. Wykorzystajmy w edukacji też potencjał organizacji pacjenckich. Pacjent, który przebył pełną drogę leczenia nefrologicznego, potrafi wiele wytłumaczyć temu na początku ścieżki terapii. Ważne jest też wykaszowanie dezinformacji w środkach publicznych. Od kilku lat przygotowywany jest program skoordynowanej opieki nefrologicznej pacjentów z uszkodzonymi nerkami. Oddajmy pacjenta nefrologowi z pewną pulą pieniędzy, a on będzie dokładnie wiedział, co z tym zrobić. Myślę, że od takich bardzo podstawowych rzeczy nie możemy uciekać. Program profilaktyczny nie pochłonie majątku, a naprawdę wprowadziłby pewien algorytm postępowania. Moglibyśmy w ten sposób uratować wielu ludzi.

Prof. Ryszard Gellert zwraca uwagę na znaczenie floszyn, wskazując na

istotny ich wpływ na przeżycie pacjenta, jakość życia i oszczędność na dializoterapiach, a prof. Beata Naumnik podkreślała, że na taki przełom czekaliśmy 25 lat i że wielu ludzi nie stać na lek za 100 zł. Nefrologia to dziedzina, która wciąż oczekuje fioletu – diabetolodzy i kardiolodzy już je mają. Jaka jest realna perspektywa czasowa, aby to zmienić?

Maciej Miłkowski: Aktualnie mamy trzy fiolety refundowane w zakresie cukrzycy, a od maja zmienił się stan w zakresie leczenia pacjentów z niewydolnością serca, gdzie są refundowane dwie fiolety – dapagliflozyna i empagliflozyna. W cukrzycy pacjenci czekali wiele lat na refundację, w niewydolności serca już odpowiednio krócej, gdyż od złożenia wniosku minęło w jednym przypadku 16, a w drugim osiem miesięcy. W przypadku przewlekłej niewydolności nerek mamy do tej pory jeden złożony wniosek refundacyjny w zakresie fioletu – dapagliflozynę, który jest już procedowany sześć miesięcy i w marcu został zakończony etap oceny przez Agencję Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji. Ocena jest pozytywna i aktualnie oczekujemy na rozpoczęcie negocjacji z Komisją Ekonomiczną. Niezwłocznie po zakończeniu będę się starał, aby to wskazanie było również dostępne dla pacjentów z niewydolnością nerek. Najwcześniej może to nastąpić 1 lipca br., ale jeśli ze względów proceduralnych to się nie stanie, na pewno chciałbym, aby to było w tym roku. W przyszłym roku pewnie będzie refundowany drugi lek w tym wskazaniu, empagliflozyna, gdyż oczekujemy pod koniec roku na decyzję Europejskiej Agencji Leków na rejestrację w tym wskazaniu. W bieżącym roku też przymierzamy się do zmian w zakresie kryteriów refundacyjnych we wskazaniach cukrzycowych dla fioletu i gip-1 oraz wyrobów medycznych, które planujemy na wrzesień bieżącego roku.

Jak konstruować rachunek ekonomiczny przy objęciu refundacją terapii? Bierzemy pod uwagę i koszt populacyjny, i profilaktykę wczesną.

Wciąż rekomendujemy stare leki, a pojawiają się nowe, niestety dużo droższe. Gdzie w tym rachunku ekonomicznym mieści się jakość życia pacjenta?

Prof. Marcin Czech: W ocenie farmakoekonomicznej używamy miernika długości życia połączonego z jego jakością, a tak naprawdę użytecznością stanu zdrowia, który nazywamy latami życia korygowanymi o jakość. Co ciekawe historycznie wskaźnik ten pochodzi właśnie z obszaru nefrologii: dializowani pacjenci deklarowali, czy woleliby żyć dłużej, jeśli tylko jakość ich życia byłaby wyższa. Zaadaptowaliśmy lata życia korygowane o jakość jako ten miernik, który w połączeniu z kosztem terapii pomaga nam ocenić opłacalność danego postępowania i zastosowania danej technologii medycznej, która dokonywana jest systemowo przez AOTMiT. I tutaj w terapiach przewlekłych, w odróżnieniu np. od terapii onkologicznej, ten współczynnik efektywności kosztowej jest bardzo niski. Jest to opłacalna terapia. Trudnością jest fakt, że te choroby po prostu się wielokrotnie przeplatają na różnych poziomach, będąc przyczyną kolejnych chorób. Zaczęliśmy od otyłości, ale one wszystkie ze sobą się łączą, przenikają. Nie wiemy, jak dokładnie policzyć te koszty, trudno je w dyskutowanych dziś jednostkach chorobowych sumować. To pierwsze wyzwanie, z którym mamy do czynienia.

Drugim jest to, że preparaty, o których mówimy mają w badaniach klinicznych dowody na przedłużanie życia (i to w wyższej jakości). Oceniamy również odległe efekty działania leków w modelach makroekonomicznych, bo – jak wspominał pan minister – nie mamy takich długich badań klinicznych i długich obserwacji. Choć w przypadku tych leków raczej nie mamy wątpliwości, co do tego, że twarde (in. pierwszorzędowe) punkty końcowe są udowodnione, skoro kończymy przedwcześnie badania kliniczne.

Niesłychanie się cieszę, że będziemy w stanie inwestować nie tylko w profilaktykę pierwotną, ale również wtórną. Profilaktyka to najbardziej

opłacalne interwencje, bo one pojawiają się wcześniej na drodze tego pacjenta, który potem coraz ciężiej chory wymaga nie tylko lekarza rodzinnego, także specjalisty, potem hospitalizacji, a także dializoterapii lub leczenia chirurgicznego. Każde po kolei są coraz droższymi postępowaniami. W związku z czym przesunięcie naszego wysiłku na wcześniejsze interwencje jest opłacalne. Wydaje się, że mamy do tego środki – tzw. podatek cukrowy przyniósł do budżetu 1,42 mld zł w 2021 r., z czego zgodnie z ustawą 95 proc. trafiło do NFZ. To potężna suma, którą płatnik powinien mądrze wydać. Jeszcze dorzucę do tego koszty pośrednie, czyli produktywność – to tak naprawdę jest nasze bogactwo, które wróci do nas i będzie częścią realnego budżetu, który będziemy mogli wydawać chociażby na nowe terapie czy na pomoc naszym braciom doświadczonym wojną z zachodniej granicy. Nie możemy zapomnieć o tym, że trzy miliony Ukraińców, którzy przekroczyli naszą granicę, to jest olbrzymie wyzwanie również finansowe.

Czy świadomość pacjentów, jeśli chodzi o czynniki ryzyka i profilaktykę, w tym efektywne monitorowanie cukrzycy, może być lepsza? Jak to osiągnąć?

Anna Śliwińska: Nawet zdrowi ludzie dopiero wtedy widzą, jak funkcjonuje ich organizm, gdy sobie założą nowoczesne systemy monitorowania glikemii. Jak reaguje na jakieś jedzenie, na jakie aktywności – a co dopiero osoby z cukrzycą. Bez tych systemów to poruszanie się na oślep. Cytując jedną z pań profesor diabetologii, to tak jak prowadzenie samochodu i otwieranie oczu tylko chwilkami, a nie cały czas. A monitorując swoją glikemię, mądry pacjent wyciąga wnioski i się uczy. A uczy się chętnie, w końcu nikt nie chce czuć się źle.

Notowała **Anna Niczyporowicz**

Partner Główny debaty: **AstraZeneca**
Partnerzy Wspierający: **Abbott, Novo Nordisk**

Wielki tenisista, mały człowiek



Boris Becker, jeden z bardziej rozpoznawalnych tenisistów świata, sześciokrotny zwycięzca turniejów wielkoszlemowych, trafił za kratki.

Niemieckie tabloidy barwią się relacjonowaniem jego pierwszych dni w więzieniu Wandsworth. W tym zakładzie karnym, uchodzącym za największy w Wielkiej Brytanii, siedzieli m.in. Oscar Wilde i zabójca Martina Luthera Kinga James Earl Ray, a także skazany za pedofilię muzyk Gary Glitter

54-letni Niemiec został skazany przez londyński sąd za ukrywanie pokąźnego majątku po ogłoszeniu bankructwa. Dostał 2,5 roku. Gwiazdor był winny swoim wierzycielom ponad 50 mln funtów. Celowo przelewał duże sumy na inne konta, aby wprowadzić w błąd prokuraturę. Zataił także posiadanie kilku bardzo wartościowych nieruchomości na terenie Niemiec i Anglii. Nie przekazał na poczet spłat należności swoich trofeów zdobytych w Wimbledonie, za zwycięstwo w Australian Open czy złoto olimpijskie z Barcelony.

Becker do niczego się nie przyznał, do końca siedział w zaparte. Może dlatego został skazany za jedynie cztery z dwudziestu czterech postawionych mu zarzutów.

Trudno powiedzieć, że Niemcy są w szoku, bo skandale i różnego rodzaju problemy, głównie natury finansowej, ciągną się za byłym sportowcem od wielu lat. Zastanawiają się raczej z zaciekawieniem, jakie warunki w angielskim zakładzie karnym będzie miał as tenisa. Anglicy twardo zapewnijają, że dokładnie takie same, jak inni przestępcy.

Jak informuje BBC, sędzia Deborah Taylor przekazała, że Becker nie okazał skruchy i nie zaakceptował udowodnionej mu winy. Odnosząc się do poprzedniego wyroku skazującego go



CEZARY KOWALSKI

Borisa za uchylenie się od płacenia podatków w 2002 r., powiedziała byłemu najlepszemu tenisistcie świecie: „Nie posłuchałeś ostrzeżenia, które otrzymałeś i szansy, jaką był wyrok w zawieszeniu, a to jest znaczący czynnik obciążający”.

Kiedy w 2017 r. Becker został uznany przez brytyjski sąd za bankruta, media na Wyspach podały, że długi Niemca wynoszą 54 mln funtów (ok. 68 mln dol.). Suma ogromna nawet jak na kogoś, kto grając w tenisa, zgarnął w sumie 25 mln dol., a zarabiał przecież także na kontraktach reklamowych czy pracując przez trzy lata (2013–2016) jako trener Serba Novaka Đokovicia.

Becker próbował wówczas ratować się za pomocą immunitetu dyplomatycznego. Miała go zapewniać funkcja attaché do spraw sportu przy Unii Europejskiej, powierzona mu w kwietniu 2018 r. przez Republikę Środkowoafrykańską. Dokument od początku wydawał się podejrzanym, bo do czego potrzebny jest attaché do spraw sportu w jednym z najbardziej niebezpiecznych krajów na świecie. Mimo to Becker liczył, że uda mu się uciec przed wierzycielami. Nie udało się.

Po ogłoszeniu bankructwa Becker był prawnie zobowiązany do ujawnienia wszystkich swoich aktywów, aby jego

syndyk mógł rozdzielić dostępne fundusze między wierzycieli. Ale na początku maja, po około dwóch tygodniach przesłuchań i przeglądania dowodów, ławnicy Southwark Crown Court uznali Beckera winnym działań, które miały wprowadzić organa ścigania w błąd.

Prokurator Rebecca Chalkley powiedziała, że ława przysięgłych uznała, iż były zwycięzca pobliskiego Wimbledonu działał celowo i nieuczciwie. Dodała: „Nawet teraz Becker stara się obwiniać innych, podczas gdy było oczywiste, że sam nie zrobił rzeczy, które były jego obowiązkiem”.

Niemcowi udowodniono, że nie zadeklarował swojego udziału w rozległej nieruchomości o wartości miliona funtów w rodzinnym mieście Leimen i ukrył pożyczkę bankową w wysokości 700 tys. funtów pod zastaw tego domu, a także udział w firmie technologicznej o wartości 66 tys. funtów.

Stwierdzono również, że dokonał płatności w wysokości 390 tys. funtów ze swojego konta biznesowego na rzecz dziewicy innych osób, w tym jego byłej żony Barbary i obecnej żony Sharley „Lilly” Becker. Adwokat Beckera Jonathan Laidlaw powiedział, że to już ostateczny upadek byłej gwiazdy tenisa, a jego reputacja jest w strzępach. „Te postępowania całkowicie zniszczyły jego karierę i zrujnowały wszystkie dalsze perspektywy zarabiania” – dodał.

Brytyjscy dziennikarze zwracają uwagę na słowa sędzi Taylor, która na początku procesu poinstruowała ławę przysięgłych złożoną z jedenastu mężczyzn i jednej kobiety, aby zignorowali sławę Beckera podczas oceny jego czynów. „Musicie traktować go dokładnie w taki sam sposób, w jaki traktowałibyście kogoś, o kim wcześniej nie słyszeliście”. Sądząc po wyroku najprawdopodobniej posłuchali jej apelu.

PASMO SUKCESÓW

Boris Becker wspiął się na szczyt już w wieku 17 lat, kiedy w 1985 r. wygrał Wimbledon. Był najmłodszym singlistą, któremu udało się osiągnąć. Następnie zdobył jeszcze dwa tytuły Wimbledonu, dwa razy wygrał Australian Open i raz US Open. Wywalczył także złoty medal na Igrzyskach Olimpijskich w grze podwójnej. Wycofał się z tenisa w 1999 r. i od tego czasu komentował Wimbledon dla BBC.

W 2013 r. Becker zajął się coachingiem, współpracując z jednym z najlepszych tenisistów w historii tej dyscypliny sport, Novakiem Đokoviciem. W ciągu trzech lat spędzonych razem, Đoković zdobył sześć tytułów wielkoszlemowych.

Był również zaangażowany w nadzorowanie rozwoju młodzieży i drużyny Pucharu Davisa w Niemieckiej Federacji Tenisowej aż do ustąpienia w 2020 r. Ojciec piątki dzieci mieszka w Londynie od 2012 r.

TAKI STYL

Becker tłumaczył ławie przysięgłych, że jego zarobki, które zdobył podczas kariery sportowej (50 mln dol.) zostały wydane na kosztowny rozwód z pierwszą żoną w 2001 r., płatności alimentacyjne na dzieci i drogie zobowiązania dotyczące stylu życia, w tym na wynajmowany za 22 tys. funtów miesięcznie dom w południowo-zachodnim Londynie.

Proces ujawnił również upodobanie Beckera do markowych ubrań, zakupów w Harrodsie i tego, że wydawał tysiące na czesne swoich dzieci. Zeznał, że jego dochody dramatycznie spadły po przejściu na emeryturę w 1999 r.

Oskarżenie przeciwko Beckerowi zostało wniesione przez Służbę ds. Niewypłacalności w imieniu Sekretarza Stanu ds. Biznesu, Energii i Strategii Przemysłowej. Przemawiając po ogłoszeniu wyroku, jego dyrektor naczelny Dean Beale powiedział: „Wyrok Borisa Beckera wyraźnie pokazuje, że ukrywanie aktywów w bankructwie jest poważnym przestępstwem, za które będziemy ścigać i stawiać przestępców przed wymiarem sprawiedliwości”.

Becker tłumaczył ławie przysięgłych, że jego zarobki, które zdobył podczas kariery sportowej zostały wydane na kosztowny rozwód z pierwszą żoną, płatności alimentacyjne na dzieci i drogie zobowiązania dotyczące stylu życia

KOMENTATOR ZZA KRAT

Według wielu dziennikarzy zajmujących się tenisem przewiduje, że po odbyciu kary były numer jeden na świecie prawdopodobnie odbuduje swoją karierę, powracając do coachingu i komentowania zawodów w telewizji. Jest zbyt barwną, zbyt rozpoznawalną postacią w tym świecie, aby po prostu zniknąć. Argumentacja jest mniej więcej taka: owszem popełniał błędy, ławiował, łamał prawo, ale przecież nie popełnił zbrodni. Nie ma takiej możliwości, aby po odbyciu kary (być może zostanie ona złagodzona o połowę za dobre sprawowanie) jego opiniami

przestano się interesować, a stacje telewizyjne nie chciałyby mieć „złego chłopca”, z takim nazwiskiem w swojej stajni.

David Law z „Tennis Podcast” stwierdził wprost: chwila w więzieniu nic nie zmieni, fani tenisa nadal będą darzyć Beckera uczuciem.

Czy odsiadka zmieni charakter Borisa, skłoni do refleksji i czy rzeczywiście, jak mówi jego adwokat, „jest on dokumentnie zrujnowany”, to inna sprawa. Pogody ducha raczej nie stracił, skoro znów kombinuje. Jak informuje szwajcarski „Blick”, pojawiła się idea, aby Eurosport, z którym Becker współpracuje od kilku lat jako tenisowy ekspert, korzystał z jego usług zza krat. Stacja chce, by Niemiec nadal komentował transmitowane przez nią turnieje (m.in. rozpoczynający się 22 maja wielkoszlemowy Roland Garros). W związku z tym planuje przerobić jego celę o powierzchni 6,5 mkw. na ministudio telewizyjne.

Co na to zarząd więzienia Wandsworth? Na razie nie wiadomo.

Autor jest komentatorem Polsatu Sport

Prawdziwe oblicze Dubaju

Emirat rozdarty między beduińską tradycją, religijnym radykalizmem islamskim i ekstremizmem progresywności, monarchia absolutna. Skrzący się blaskiem diament z licznymi skazami, który istnieje raptem ponad 50 lat



JACEK PAŁKIEWICZ

Droga z lotniska wiedzie 12-pasmową Sheikh Zayed Road przez gigantyczne estakady, po chwili przez tunel, wiadukty, wreszcie między ogromnymi drapaczami chmur. Uwagę przykuwają podobne do otwieraczy butelek bliźniacze Emi-

rates Towers, za minutę kipiące od kolorowych reklam monstrualne budynki, smukłe sięgające niemal nieba bryły biurowców, hotele Millennium Plaza Hotel, The Ritz-Carlton, Sofitel i na koniec przyprawiający o zawroty głowy superwieżowiec przypominający odwrócony soplel lodu Burdż Chalifa – najwyższy budynek świata: 829 m stali, szkła i betonu.

To główna arteria Dubaju, wzdłuż której rozdziło się miasto. Trudno w to uwierzyć, ale jeszcze do wczesnych lat 70. XX w. było to zapomniane przez Allaha miniatury skrawek pustyni z namiotami nomadów i osadą zamieszkałą przez

klany Beduinów przemierzających w karawanach piaszczyste pustkowia oraz przemysłowców, poławiaczy pereł, czy skrywających się tu słynnych piratów Zatoki Perskiej. Najlepiej oddaje ten obraz relacja George'a Chapmaina, Anglika, który przebywał tu w 1951 r.

„Wszędzie tylko wszechobecny piasek i piasek, większość spośród 6 tys. mieszkańców stanowią Beduini, ale dużo też jest Arabów z Bahrajnu i Kuwejtu, ponadto Persów, Hindusów oraz garstka Brytyjczyków. Elektryczność jest nieznana, w nocy panują ciemności, a w wąskich uliczkach soku natknąć się można na typów spod ciemnej gwiazdy.

Przepych Dubaju, zrodzony
w dużym stopniu z kredytów
i ogromnej ilości obcego
kapitału, opiera się tu
na glinianym piedestale.
Emirat jest dłużny wierzycielom
ponad 100 mld dol.



Nie ma samochodów, tylko wózki zaprzęgnięte w osły, wielbłądy czy kozy. Nieustannie brakuje bieżącej wody, studnie nie są w stanie napoić wszystkich, mydło jest rarytasem. Mało kto umie czytać i pisać”.

Wspomnę, że w upalnym klimacie nie znano jeszcze lodu, który zagościł wraz z elektrycznością dopiero w 1960 r. Lekarzy i lekarstwa ludzie zobaczyli wprawdzie w 1950 r., ale przez wiele lat nikt z tego dobrodziejstwa nie korzystał. Pierwszy komisariat policji utworzono w 1956 r. Nadzieja na lepsze życie nastąpiła w 1958 r., kiedy Zatokę Perską zelektryzowała wiadomość, że

w Abu Zabi wyrosły szyby naftowe. W ciągu jednego pokolenia miejscowa ludność przekroczyła ze standardów średniowiecza do życia ponad stan. Stało się tak, że telefon dotarł tutaj wcześniej niż wodociąg, samolot przed linią metra, a komputer jeszcze przed pojawieniem się widelca. Dziś być mieszkańcem Dubaju oznacza należeć niemal do boskiej kasty.

PROSZĘ, NAPISZ PRAWDĘ

Żeby napisać książkę o tym pustynnym klejnocie, jednym z centrów globalnej gospodarki i najszybciej rozwijających się miast na naszej planecie, musiałem pojechać tam wiele razy, rozmawiać z nietuzinkowymi ludźmi, a przede wszystkim usłyszeć głosy rodzimych mieszkańców, potomków niepiśmiennych poganaczy wielbłądów. Ci stanowią raptem kilkanaście procent wszystkich mieszkańców Dubaju i nie

Zapuszczałem się w miejsca skrajnego ubóstwa, do obozowiska na obrzeżu miasta, gdzie w urągających ludzkiej godności warunkach bytuje armia azjatyckich robotników. To właśnie oni w ciągu jednego pokolenia zbudowali w niewolniczych warunkach pustynny Manhattan

mają ochoty socjalizować się z przybyszami. Hermetyczne, przycłoczone obcokrajowcami społeczeństwo trzyma się na bezpieczny dystans, żeby nie pozwolić na naruszenie swojej tożsamości narodowej. Mają już wystarczająco dużo zmarłych z powodu nowych realiów globalizacji kulturowej, wynikających z podziałów społecznych związanych z gigantycznym napływem zagranicznej

siły roboczej. Przybysze zapewnią co prawda podstawy prosperity emiratu, ale przyniesli także w naturalny sposób elementy stylu życia nienależące do Blińskiego Wschodu, a już na pewno nie do obszaru islamskiej religii. – W stosunku do ekspatów jesteśmy garstką, mniejszością we własnym kraju. Powiedziałbym: gośćmi we własnym domu i coraz bardziej chwiejemy się pod naporem zalewu obcej kultury – wyjaśniał mi Abdul, dziennikarz „Khaleej Times”.

Dzięki znajomemu polskiemu lekarzowi zaprzyjaźniłem się z Izmi-rem, powiedzmy, że tak nazywał się mój nowy kumpel, należący do jednej z bardziej liczących się rodzin książęcych w Dubaju. Bracia odsunęli go od kręgów tutejszej elity, bo wyszły na jaw jego źle widziane w świecie arabskim preferencje seksualne. Osaczony przez swoich, ufny w moją dyskrecję, pomógł mi zedrzeć maskę emiratu.

– Napisz o nim prawdę – powie mi tonem przesycanym goryczą i z troską na odchodnie – bo to jest posłannictwem dziennikarza. Zrobiłem to dla ciebie w trosce o uzdrowienie naszej demokracji.

Noszę głęboko w sercu tę scenę, podobną zresztą do tych, jakich doświadczałem w kontaktach z opozycjonistami reżimu sowieckiego, którzy odważyli się wyrazić swój sprzeciw wobec władzy. Izmira nigdy już więcej nie zobaczyłem, a za publikację książki zostałem zaocznie skazany na sześć lat pozbawienia wolności.

To Izmir, obnażając mroczną stronę do niedawna nic nieznaczącej na mapie monarchii absolutnej, będącej dziś jednym z najbardziej

rozreklamowanych miejsc na świecie, wprowadził mnie w tematy, których turysta nie dostrzeże, a które mogłyby wysadzić w powietrze kreowany przez lata mit Dubaju. Uwidocznił fikcyjne życie polityczne, brak pluralizmu i swobód mediów. Przybliżył obraz autorytarnego ustroju, represji wobec działaczy na rzecz demokracji, arbitralnych aresztowań oraz szokujących tortur.

Poznałem z bliska temat taniej siły roboczej, który stał się wysoce kłopotliwy dla władcy. Zapuszczałem się w miejsca skrajnego ubóstwa, do gigantycznego obozowiska Sonapur na obrzeżu miasta, w oddali od blichtru bogactwa, gdzie w urągających ludzkiej godności warunkach bytuje armia azjatyckich robotników. To właśnie oni w ciągu jednego pokolenia zbudowali w niewolniczych warunkach sięgający nieba pustynny Manhattan. Przyjechali zwiedzeni dobrymi zarobkami i możliwością zapewnienia godnego życia swoim rodzinom, a zastali tylko katorżniczą pracę w spiekocie i głodowe wynagrodzenie.

Izmir ostrzegał, że państwu wciąż grozi eksplozja niebezpiecznej mieszanki, jaką jest fuzja zwyrodniałych finansów z gigantyzmem infrastrukturalnym oraz niezdrową gospodarką, zmagającymi się z mieczem Damoklesa w postaci bańki nieruchomościowej. Jej pęknięcie mogłoby spowodować kompletne bankructwo, którego namiastki miasto doświadczyło już w 2008 r.

Przy okazji odkryłem uderzającą opiekuńczość szejka Mohameda bin Rashid Al Maktouma, wiceprezydenta i premiera Zjednoczonych Emiratów Arabskich oraz władcy Dubaju, postrzeganą tu jako dar niebios. – Zapewnił on każdemu dożywotni opiekuńczy pakiet, dom, bezpłatną edukację, służbę zdrowia, elektryczność i wodę, zasiłki na dzieci oraz mnóstwo innych grantów – utrzymywał Izmir. – Oczywiście i pracę. Rozdał ludziom ziemię i asygnował długą listę przywilejów oraz gratyfikacji. Ale nie zrobił tego bezinteresownie. Podpisał milczący pakt ze swoimi poddanymi w zamian za całkowitą zależność od dynastii.

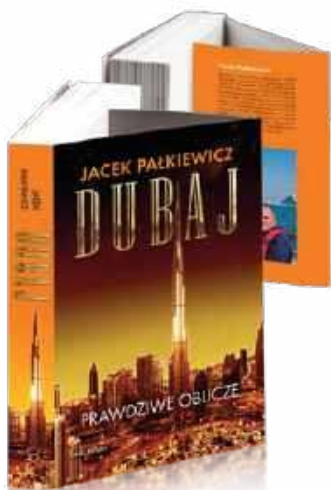
METROPOLIA BEZ CHARAKTERU

Wystarczy jedno słowo Dubaj, by mimowolnie pomyśleć o przepychu

i otchłani bogactwa. Do jego opisania można by użyć tylko dwóch przymiotników: przesadny i wyjątkowy, i to pozostał mieszanina uczucia. Spójrzmy na biznes. Mówi się, że tu ludzie nie pracują, robią interesy. Nie sprzedają, a handlują. I są najlepsi na świecie. Bez względu na to, czy są Emiraczkami, Hindusami czy Pakistańczykami – handlują. Zarabiają pieniądze na transakcjach. Sądzi się, że słynne bogactwo Dubaju pochodzi ze złóż ropy naftowej. To tylko stworzony mit. Rzeczywistym źródłem dochodu są tutaj: sektor finansowy, turystyka, transport lotniczy, ogromne inwestycje, lecz przede wszystkim najbardziej wyśrubowany rynek nieruchomości na świecie.

Brytyjski pisarz Lawrence Osborne nazwał Dubaj metropolią bez charakteru, pełną skrajności i sprzeczności, która przybrała wymiar tandetnej groteski. To gigantyczny plac budowy z przemijającą, niczym w hotelu czy na lotnisku, atmosferą. Wyobcowana

Ta metropolia to futurystyczny koszmar, zdominowany przez „Księgę rekordów Guinnessa”, nieoficjalną konstytucję tego państwa. Bo tutaj wszystko musi być większe i ładniejsze niż gdzie indziej na świecie



betonowa dżungla, bez charakteru, bez mieszkańców w niej zakochanych. Uzupełnię, że przekształciła się w futurystyczny koszmar, zdominowany przez „Księgę rekordów Guinnessa”, nieoficjalną konstytucję tego państwa. Bo tutaj wszystko musi być większe i ład-



Hotel robotniczy. Kosztem głodowego wynagrodzenia armia azjatyckich robotników zbudowała w niewolniczych warunkach metropolię postnaftowej epoki

niejsze niż gdzie indziej na świecie. Wśród gęszczy ostentacyjnego zbytku brakuje jednak czegoś, co w starej Europie jest być może mało przejrzyste, ale istotne dla jakości życia. We Wrocławiu, Berlinie czy Madrycie każdy czuje się jak w swoim domu. A w Dubaju na pewno nie.

Podczas tutejszych pobytów różne myśli naruszały spokój mojego sumienia. Liberalny emirat, który wiele obiecał, teraz zapłatany w pajęczynie nie zawsze przezroczystych personalnych relacji i sojuszków międzykastowych, toleruje różne ciemne interesy. Konglomerat napiera swoim blichтром oraz snobizmem, nakłaniając do pokłasku, i tą swoją sekretną siłą oddziaływania potrafi zdezorientować i przyprawić o zawrót głowy nawet najbardziej zrównoważonego przybysza. Na giełdzie niewyobrażalnego bogactwa, gdzie liczy się tylko bóg pieniądza i niewiele jest śladów kultury, miałem poczucie alienacji i depersonalizacji siedliska ludzkiego.

SZARIAT TAK, ALE DLA BIEDNYCH

Przed hotel Marriott Marquis podjeżdża błyszczące maserati, a za nim czerwony bentley. Wsiadają z nich panowie w długich, nieskazitelnie białych dżalabach, porządnie wykrochmalonych i idealnie wyprasowanych. Wysocy, atletyczni, smagli, czarnoocy, z noszoną niczym królewską koroną chustą przytrzymaną na głowie dwoma sznurkowymi pierście-



Dla jednych Dubaj to miejsce wakacji w stylu „Baśni z tysiąca i jednej nocy”, dla innych gigantyczny plac budowy, miasto bez serca, z przemijającą niczym w hotelu atmosferą

niami, uwodzą powłóczytym spojrzeniem mijane kobiety. Poruszają się z poczuciem wyższości wzbijającej w wyniosłą, nieokrzesaną dumę, drażniąc przy tym swoją pewnością siebie. Niegdyś młodzi dawali upust obsesji seksualnej w Bejrucie, gdzie znajdowali dziewczyny, alkohol, kluby gejowskie, narkotyki i męską prostytucję. Dziś już nie muszą tam jechać, bo nocne życie kwitnie w najlepsze na miejscu. Prawo szariatu traktuje seks pozamałżeński jako nielegalny, za co grożą cztery lata więzienia, ale proceder prosperuje, bo istnieje niepisany podział na sferę prywatną i publiczną. Nikt nie kontroluje, co ludzie robią za zamkniętymi drzwiami. Ruch jest duży, zwłaszcza w piątek, kiedy szczególnie zapelniają się puby, nocne lokale i dyskoteki, otwarte aż do wschodu słońca, kiedy pop muzyka zaczyna mieszać się z psychodelicznym zawrotem głowy muezina nawołującego do modlitwy.

Siedem lat temu do Dubaju ściągnął, za pośrednictwem polskiej agencji modelek, tabun rodzimych aspirantek modelingu, gwiazdek ekranu, celebrytek znanych z kolorowych gazet, dziewczyn z okładek magazynów dla mężczyzn, uczestniczek konkursów piękności, gotowych świadczyć szeroki wachlarz usług seksualnych mającym szejkom. Taki proceder cały czas funkcjonuje. Pokusa jest ogromna, wytworne apartamenty, komfortowe jachty, splendor, najdroższe hotele. Na intratnym wyjeździe można zarobić krocie. Niektóre panie, marząc o wielkim świecie, naiwnie tłumaczyły się potem, że zostały podstępnie zwerbowa-

wane w charakterze hostessy czy damy do towarzystwa, a prawdy dowiadywały się dopiero na miejscu.

Włoch Giacomo B. nie miał obiekcji, aby podzielić się ze mną uwagami na temat rekrutacji na seksrandki w opływającym w luksusy świecie. Wcześniej pracował jako concierge w renomowanym dubajskim hotelu, spełniając różne życzenia gości. Potem zajął się pośrednictwem na własną rękę.

– Jestem w stanie – wyjaśnia – usatysfakcjonować najbardziej skrywane fantazje seksualne moich klientów, głównie arabskich książąt miliarderów. Dobieram dziewczyny na ich życzenie. W archiwum posiadam zatręśnienie wideowizytówek wyszukanych escort-girl, na których występują w kostiumie. Arabowie nie ufają zdjęciom, które można retuszować, wolą oglądać dziewczynę na wideo. Jak trzeba, sięgam do portali społecznościowych czy Instagrama. Moi odbiorcy za uprawianie wyuzdanej miłości są gotowi płacić tysiąc euro za noc czy kilkanaście tysięcy za tygodniową sesję. W swoich krajach dziewczyny o takich sumach nie mogą nawet marzyć. Bywa, że niektórzy inwestują w partnerki niekoniecznie tylko do łóżka, potrzebują ciepła i pieczyt inteligentnej, dobrze wykształconej, wyrafinowanej kurtyzany, nieobowiązkowo wiotkiej. I ja jestem gotów to im dać – zapewnia Giacomo.

– To niemoralny biznes, za stręczeństwem narażasz się na duże perypetie – zauważyłam, towarzysząc Giacomo w klubie pełnym zgrabnych, na wysokim obcasie, elegancko odzianych kobiet, w większości pięknych albo co

najmniej atrakcyjnych niczym z okładki „Vogue’a”.

– Ja jestem tylko negocjatorem, za pewniam wyrafinowany serwis, pomagam spełniać marzenia i uszczęśliwiam obie strony. Chociaż nie ukrywam, że posiadam koneksje zapewniające parawan ochronny.

NARODZINY PAŃSTWA

2 grudnia 2021 r. powstałe z połączenia siedmiu księstw: Abu Zabi, Dubaju, Sharjah, Ajmanu, Umm al Quwain, Ras al Khaimah oraz Fujairah, Zjednoczone Emiraty Arabskie obchodziły 50. rocznicę oficjalnych narodzin państwa. Wreszcie, dwa miesiące wcześniej, w Dubaju ruszyło w końcu Expo, pierwotnie zaplanowane na 2020 r. i przełożone z powodu pandemii. Mohammed bin Rashid Al Maktoum obiecał, że ta wystawa światowa, która potrwa do końca marca br., „zadziwi świat”. Będzie celebrować innowacyjność i pomysłowość zgodnie z głównym tematem „Łączenie umysłów, tworzenie przyszłości”. Przesadził jednak z obwieszczeniem o starożytnym pochodzeniu Zjednoczonych Emiratów Arabskich, bo jak donosił w roku 1580 wenecki podróżnik Gasparo Balbi, rybacka osada Dubaj liczyła z górą 400 lat osadnictwa. To niewiele w porównaniu z Londynem czy Paryżem, szczytującymi się z górą dwoma tysiącami lat historii. Szejk byłby bardziej wiarygodny, gdyby nie starał się obnosić „głębokimi” korzeniami cywilizacji na tym obszarze, a zatrzymał się tylko na swojej świątyni ekstrawagancji i wyzywającego bogactwa.



MARCIN KYDRYŃSKI*

Oddechy przeszłości

Na portalach społecznościowych przelewa się ocean zdjęć: upiększonych i upozowanych, czasem celowo zniekształconych. Świadczeń aspiracji i potrzeb ich autorów oraz bohaterów. Autoprojekcji i autopromocji ułatwionych przez współczesną technologię.

W książce „O wschodzie” (wyd. Świat Książki) takich fotografii nie ma. Zamiast wyciszczonych przez specjalne programy cyfrowych obrazków są świadomie uchwycone w kadrze chwile. Czasem kompozycyjnie niedoskonałe, ale intensywne, niosące swoją historię, dodatkowo skomentowaną po latach przez autora w połączonych naszyconymi obrazami wspomnieniach i współczesnych refleksjach.



Zdjęcia czekały na odkrycie schowane w pudle na pawlaczu. Kydryński pisze: „Mieszkalem niedaleko przepelnionych szpitali, blisko pogotowia. Przed świtem budziły mnie sygnały karetek, skowyt bezsilności i cierpienia”. Wyciągnięte w dziwnym i trudnym czasie pandemii „przemówiły”. Wsparcie lekturą własnych dzienników, prowadzonych trzydzieści i więcej lat temu, pozwoliły „odnaleźć człowieka, którego historię, zatrzymaną w kolejnych decyzjach żrenicy, miałem przed sobą”.

Fotograficzne wyprawy przywołały wspomnienia miejsc, ludzi i wrażeń: „Ostatnie lata, po prawdziwie ćwierć wieku, spędziłem w Afryce i do tej pory, jeśli nie liczyć wątku Lizbony, wyłącznie o niej próbowałem opowiadać” – pisze autor we wstępie do książki. „W zimowe dni drugiego roku wielkiej choroby, nie ruszając się z domu, wróciłem na Wschód. Przez dwa miesiące powstało kilkadziesiąt wspomnień, refleksji, swoistych »oddechów przeszłości«. Różnią się od siebie objętością, formą,

stylem, z pewnością stopniem poczucia humoru (niektóre wydają się zabawne, inne wprost przeciwnie), tak jak różny bywał w tych dniach człowiek, który je spisywał. Stały się, jak wspominałem, terapią, ale też nieuchronnie kroniką tęsknoty i lęku. Przede wszystkim zaś, jak

bodaj wszystko, co piszę i fotografuję, próbą zatrzymania tego, co minione. Utrwalenia, co pojedyncze...”

Kydryński sięgnął do zdjęć sprzed lat na początku ubiegłego roku. To, co wydarzyło się na Ukrainie, dodało niektórym fotografiom i refleksjom nieoczekiwanych kontekstów.

Jolanta Gajda-Zadworna

*Radiowiec, wędrowiec, fotograf

SŁODKO-SŁONY

Taki drobiazg

ANNA MONICKA

Lubię filmy z kulinarną akcją, niekoniecznie pierwszoplanową. Wszystko jedno, czy z żywymi aktorami, czy z postaciami animowanymi. Podglądam wyposażenie kuchni, techniki przyrządzania potraw, śledzę bohaterów maszerujących bladym światem na lokalne targi w poszukiwaniu najświeższych produktów – raniutko zebranych grzybów, pachnących warzyw czy dopiero co wyjętych z sieci ryb. „Ratatuj” o szurku, który incognito zawojował podniebienia wymagających paryżan, niezmiennie rządzi w moim prywatnym rankingu, a historia Julii Child, pionierki modnych dziś programów kulinarnych, bawi mnie do łez, zwłaszcza moment, gdy wyciąga przed kamerą na żywo z damskiej torebki kuchenkę elektryczną, na której – przed oczami zdumionych jej brawurą wypomadowanych panów – smaży omlet. Ten wyczyn odmieni kulinarne upodobania Ameryki, bo będzie początkiem wielkiego, narodowego zrywu, który sprawi, że potulne dobre żony zaczną bawić się w kuchni i czerpać radość z coraz lepszego jedzenia, na czym skorzystają nie tylko ich mężowie, przyzwyczajeni do tych samych zapiekaneł z makaronem, ale i więzi rodzinne.

Film, który ostatnio wygrzebałam, nie jest może tak spektakularny, ale pokazuje, że dobre jedzenie, pasja i miłość mogą zdziałać cuda i przemienić nie tylko zapyziały pub na angielskiej prowincji, ale i serca zatwardziałyłch starych tetryków. „Love’s kitchen” tryska angielskim humorem (czasem aż za bardzo), ale po obejrzeniu z pewnością zapamiętacie, co wylewa się z kuchenek mikrofalowych i dlaczego najlepiej się ich pozbyć. I że deser trifle (drobiazg) pięci podniebienia.

Jak go zrobić? Bardzo prosto, chociaż pewnie główny bohater ma swój magiczny składnik, którym się jednak nie dzieli. Może to po prostu pasja i chęć zrobienia nawet prostego dania jak najlepiej? Oto moja wersja: miksujemy serek mascarpone ze śmietanką, sokiem z limonki i startą skórką, kroimy truskawki, robimy sztywną galaretkę (potrzeba mniej wody), którą kroimy w kostkę i układamy w pucharach naprzemiennie z biszkoptami, owocami i kremem, dekorujemy miętą. W wersji dla dorosłych biszkopły można skropić likierem amaretto. 

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Smak wyobraźni

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Zabotikaba (*Plinia cauliflora*) to niewielkie drzewo z Brazylii. Jego owoce wyrastają bezpośrednio na pniu i gałęziach, dosłownie oblepiając zabotikabę, co nadaje jej osobliwego wyglądu. Nawiasem mówiąc, druga część nazwy łacińskiej wskazuje na tę cechę drzewa: kaulifloria to przypadek, kiedy kwiaty (z których powstają później owoce) wyrastają prosto z pnia i gałęzi.

Ostatnio natrafiłem na opis smaku tych owoców, w którym ktoś przyrównywał je do jogurtu jagodowego. Od razu przypomniały mi się dawne opisy smaku egzotycznych owoców, kiedy próbowano swojskimi porównaniami przybliżyć zamorskie, niedostępne i nieznanne ciekawostki.

Przed wojną – to mój ulubiony przykład, który znam bezpośrednio od ucznia rocznik 1919 – przyrównywano w szkołach banany smakiem do gruszki, a pożywnością do bułki z szynką. W jednej ze starych polskich książek botanicznych można natrafić na frapujący opis mango. Miało ono smakować „podobnie do brzoskwini i ogórka z jajem, z kilkoma kroplami terpentyny”. Ostrzegano też przed połączeniem mango z mlekiem i z alkoholem jako mogącym powodować ciężkie zatrucia.

Awokado z kolei – komu, kto jadł awokado przyszkolby to do głowy? – przyrównano po prostu do ciastek. Nazywając je w dalszej części tekstu „gruszką”, zalecano dość nietypowe sposoby spożywania: posypanie cukrem i zjedzenie jak kremu łyżeczką. Jedzony z pieprzem (to rzeczywiście chyba najlepszy sposób na awokado) polecano jako jarzynę. Według autora książki awokado można też wycisnąć do szklanki i zjeść jak kompot. Obowiązkowo też zalecano chłodzenie lodem.

Wzruszający jest opis ananasów (autor książki, żyjący w głębokiej komunie, mimo fascynacji tropikami nie miał chyba możliwości ani wyjazdu w egzotyczną podróż, ani zjedzenia niczego poza płodami polskiej ziemi). Opis przypomina fantastyczne relacje dawnych podróżników o niezwykłych, rajszych ziemiach gdzieś hen, daleko. Ananasy miały być za morzami tak liczne, że koło drogi można było nazbierać ich dowolną ilość, a jeść mieli je nie tylko ludzie, ale też wszystkie zwierzęta z kurami, psami i kotami włącznie. Kosz ananasów można było podobno kupić za kilka groszy, miały być też podobno tak mało cenione, że sprzedawcy dorzucali znaczną ich ilość do zakupów „na dodatek”. 



W ŚWIECIE LUSTER



HANNA KARP

Skutki strategii na przeczekanie

Wojna na Ukrainie zmusza Europę do rachunku sumienia. Uświadamia, jak straszne w polityce mogą być skutki zaniechań, obojętności czy gry na przeczekanie. Kanclerz Angela Merkel, której podstawową strategią była właśnie gra na zwłokę (wymowne milczenie, odczekiwanie trudnych sytuacji), gdzieś się ukryła. Chyba dobrze wie, że oczy wielu zwrócone są dziś właśnie na nią.

Przez cztery swoje kanclerskie kadencje uchodziła za rasowego polityka. Negowanie jej politycznej strategii i pozycji było zakazane, objęte wręcz sferą tabu. Podczas gdy za naszymi plecami przez dwie ostatnie dekady Niemcy pod jej przewodem pospół z Rosją Władimira Putina wily niby para gołąbków własne gniazdko, swoją unię.

Tabu podtrzymywane latami wokół kanclerz Merkel i jej przyjaźni z dawnym sowieckim pułkownikiem KGB przyniosło tragiczne skutki nie tylko dla Ukrainy, ale i dla całej Unii Europejskiej.

TABUIZACJA KATASTROFY

Dobrze to widać na przykładzie katastrofy smoleńskiej. W tym dramacie

sferą tabu objęto nie tylko samo wydarzenie, ale też komisję Macieja Łaska i raport Anodiny, raport Millera czy rodziny smoleńskie, tzw. wdowy smoleńskie. Ten ostatni temat był w sposób haniebny komentowany na portalu blogów „Newsweeka”. Autor „Krzyszton” 24 października 2013 r. pisał m.in.: „Smoleńskie polityczne hieny wypełzły ze swych nor na żer w postaci Ewy Błasiak, Beaty Gosiewskiej, Zuzanny Kurtyki, Małgorzaty Wassermann, na dalszą polityczną konsumpcję ciał swych najbliższych, czego jedynym celem jest polityczne żerowanie dla swych własnych korzyści politycznych. Wymienione owe smoleńskie hieny, mając politycznie resztki swych najbliższych pomiędzy zębami, racząc się nadal politycznie resztkami zwłok swych najbliższych, chcą nadal grać tym, co pozostało po ich politycznej konsumpcji, zarazem na tym budować swój polityczny kapitał, zarazem tańcząc na trumnach swych najbliższych”. Wpis został oceniony. Na 32 głosy – 28 osób oceniło wypowiedź aprobująco. Przy okazji tej oceny uzyskaliśmy portret czytelnika gazety redagowanej przez redaktora Tomasza Lisa.

Gdyby jednak autor „Krzyszton” okazał się samym Lisem, też nie byłoby zaskoczenia. Wstępniaki redaktora pisane przez kolejne lata wydają się być tylko poszerzoną wersją tego, co „Krzyszton” pisał o „wdowach smoleńskich”. Nie przypominam sobie, by ktoś z rodzin poszkodowanych pozwał portal za te bezecności. A szkoda.

SMOLEŃSKIE MYŚLOZBRODNI

Pojawiają się bardzo szybko liczne publikacje dezawuuujące postępujące prace komisji zespołu parlamentarnego ds. Smoleńska, zarzucające temu gremium dewastację... [sic!] polskiego państwa. W numerze 45. „Newsweeka” z 4 listopada 2012 r. w wywiadzie z Tadeuszem Mazowieckim, ówczesnym doradcą prezydenta Bronisława Komorowskiego, wybija na czołówkę jego pytanie „Jak mamy ze sobą żyć w jednym państwie, kiedy część z nas wierzy, że polski rząd uczestniczył w zamordowaniu polskiego prezydenta?”. Oznacza to, że już sama myśl o tym, iż nie była to zwykła katastrofa i nie można odrzucać żadnej z wersji zdarzeń, jest rodzajem orwellowskiej myślozbrodni.

Podsycane są także różnorodne spory wewnątrz rodzin smoleńskich, w tym

także na tle usytuowania pomnika ku czci ofiar katastrofy. Jacek Gądek 2 marca 2015 r. na portalu Onet pisał: „Część rodzin smoleńskich uznaje propozycję władz Warszawy ws. lokalizacji pomnika katastrofy smoleńskiej za chybioną. Prof. Włodzimierz Bernacki, szef społecznego komitetu budowy pomnika, jest zdania, że jedynym miejscem na monument jest warszawska via sacra, czyli Krakowskie Przedmieście. Zuzanna Kurtyka nazywa podłością sam fakt wyciągania tematu pomnika w czasie kampanii”.

Polityczne środowisko Prawa i Sprawiedliwości oskarżane jest o wykorzystywanie narodowej katastrofy w celach politycznych. Tygodnik „Wprost” w październiku 2013 r. pisał: „Nie rozszyfrowano choroby Macierewicza. PiS żeruje na tragedii”. W mediach dominujących następuje mnożenie przyczyn katastrofy ad absurdum – w rodzaju: wybuch w salonce, sztuczna mgła, bomba termobaryczna, hel, trotyl, zamach, naciski, niesterylny kokpit. „Super Ekspres” 26 kwietnia 2011 r. pisał: „Jedną z najczęstszymi przekazywanych z ust do ust teorii spiskowych o katastrofie pod Smoleńskiem doczekała się nowszej, zmodyfikowanej wersji. Być może Rosjanie nie tylko celowo wywołali sztuczną mgłę, ale wcześniej rozpylili hel, który miał spowodować pogorszenie widoczności oraz szybkie opadanie tupolewa”.

Udawano, że odwoływanie się do katastrofy smoleńskiej w kontekście politycznym jest niegodziwe. A sam temat jest niepożądany ze względu na zagrożenie, jakie niesie. Nasila się już i tak stale obecny wątek gry na emocjach (emocje dominują na każdym etapie katastrofy), w tym przypadku strachu przed Rosją i jej prezydentem Władimirem Putinem. Kamil Durczok, szef „Faktów” TVN, 11 kwietnia 2013 r. mówił dla springerowskiego tabloidu „Fakt”: „PiS zawłaszcza katastrofę smoleńską i wykorzystuje ją do swoich rozgrywek. To już dla nich jak religia. [...] hasła pełne nienawiści to powód do ogromnego wstydu. Ta tragedia zamiast nas łączyć, dzieli. I to w najgorszy z możliwych sposobów”.

Kolejny ważny zwrot następuje w 2014 r., gdy środowiska Agory szukają porozumienia w kontekście nowej sytuacji geopolitycznej: zajęcia w lutym 2014 r. przez rosyjskie „zielone ludziki” Krymu i wojny na Ukrainie oraz narastającego zagrożenia rosyjskiego. W tej sytuacji najaktywniejsze środowisko Agory daje do zrozumienia, że należy szukać mimo wszystko narodowej zgody także wokół Smoleńska, gdyż spory na tym tle powodują „radość na Kremlu”. Marek Beylin insynuował już w 2009 r. na łamach „Gazety Wyborczej”: „PiS krzyczy, Kreml się cieszy”.

W imię tej solidarności zaproponowano nawet zgodę na pomnik ofiar tragedii smoleńskiej. Ogłoszono, że prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz zgłosiła propozycję miejsca, w którym mógłby stanąć pomnik ofiar 10 kwietnia 2010 r. Miejsce to róg ul. Trębackiej i Focha, na tyłach pętli autobusowych. Choć rzeczywiście to tylko 60 m od Krakowskiego Przedmieścia, to propozycję tę Polacy uznali bardziej za kpinę niż za poważną ofertę.

Cisza wokół przyjaźni kanclerz Merkel z dawnym sowieckim pułkownikiem KGB przyniosła tragiczne skutki nie tylko dla Ukrainy, ale i dla całej Unii Europejskiej

wicz-Waltz zgłosiła propozycję miejsca, w którym mógłby stanąć pomnik ofiar 10 kwietnia 2010 r. Miejsce to róg ul. Trębackiej i Focha, na tyłach pętli autobusowych. Choć rzeczywiście to tylko 60 m od Krakowskiego Przedmieścia, to propozycję tę Polacy uznali bardziej za kpinę niż za poważną ofertę.

SMOLEŃSKA CENZURA

Temat Smoleńska oficjalnie coraz częściej zostaje skategoryzowany jako obszar „smoleńskiej cenzury”. Dodatkowo jako temat strefy tabuizowanej, strefy zakazanej, narażającej odwołujących się do niej na uznanie za publicznego wroga, który żeruje na narodowym nieszczęściu. W mediach dominujących jako tematy zastępcze smoleńskiej katastrofy powstają dodatki informacyjne okołosmoleń-

skie, pisane w okolicach miesięcznic i rocznic Smoleńska z pozycji wrogich przede wszystkim wobec Prawa i Sprawiedliwości. Przy czym dominujący nurt mediów utrwała się w roli amatoryzatora oraz tłumacza niepowodzeń działań Platformy Obywatelskiej i samego rządu Donalda Tuska.

Pomimo błędów i pewnego niezamierzonego, obok tego zamierzonego, informacyjnego chaosu cała operacja przyniosła oczekiwane cele. Poddano kontroli reakcje społeczeństwa na traumatyczne informacje o katastrofie w Smoleńsku. Sterowano społeczne zachowania, regulując i nadzorując poszczególne reakcje, tonując nastroje i rodzaje reagowania. Początkowo przedłużając nastrój żałoby, transmitując uliczne konwoje ze sprowadzanymi ciałami ofiar. Transmitując żałobne nabożeństwa, modlitwy, eksponując sylwetki tragicznie zmarłych.

Przedsięwzięcia tonujące polegały m.in. na długotrwałej i zagęszczonej ekspozycji tragicznych obrazów i muzyki żałobnej. Problem pojawił się wtedy, gdy nastrój żałoby wydłużał się ponad przewidziany czas, a społeczeństwo zaczęło się domagać racjonalnej debaty publicznej na temat przyczyn katastrofy. Zmusiło to „kontrolerów mediów” do tworzenia kolejnych wersji dezinformacji. I kolejnej gry na przeczekanie.

Od chwili katastrofy smoleńskiej funkcje kontrolne mediów głównego nurtu w Polsce przybrały rażące formy dysfunkcyjne. Przekształcając się często w aktywną stronę sporu, kreowały różnorodne działania osłonowe dla strony rządu Donalda Tuska, pozwalając poszczególnym członkom jego gabinetu uniknąć, choćby tylko politycznej, odpowiedzialności za Smoleńsk.

To zaniechanie – tak jak w przypadku kanclerz Angeli Merkel i wojny na Ukrainie – stanowiące element strategii na przeczekanie, dziś może okazać się dla Polski w każdej chwili bombą z opóźnionym zapłonem.

Autorka jest religiologiem, medioznawcą, profesorem Akademii Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu

Oni wtedy zwyciężyli

Dzisiaj Polska pokazuje światu, co znaczy prawdziwa wolność, patriotyzm i solidarność. Przyjęliśmy ponad 3 mln uchodźców z Ukrainy i – mimo pandemii, ciągłego straszenia nas przez Unię Europejską, w atmosferze szkalowania i rozpowszechnianych kłamstw przez rodzimych targowiczów – możemy pochwalić się szybkim rozwojem i coraz wyższym standardem życia najuboższych.

Jan Paweł II mówił: „Jestem synem Narodu, który przetrwał najstraszliwsze doświadczenia dziejów, którego wielokrotnie sąsiedzi skazywali na śmierć, a pozostał przy życiu i pozostał sobą. [...] Dla mojej Ojczyzny Dekalog jest jak kompas na burzliwym morzu, który umożliwia nam trzymanie kursu i dopłynięcie do łądu”.

Dzisiaj, gdy trudno nam zrozumieć wypowiedzi papieża Franciszka na temat wojny, którą prowadzi Rosja Putina, powróćmy do roli papieża Polaka w walce z komunistycznym zniewoleniem. Karol Wojtyła boleśnie doświadczył zbrodni obu totalitaryzmów, ale nigdy nie uległ, zachował silną wiarę i wolność opartą na 1000-letniej kulturze chrześcijańskiej.

W 1978 r. wybór kardynała Wojtyły na Stolicę Piotrową był szokiem dla Kremla, na rządy komunistyczne padł błąd strach. Chyba nikt myślący nie ma wątpliwości, że słowa Jana Pawła II wypowiedziane w czasie pierwszej wizyty w Ojczyźnie – „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi” oraz „Nie lękajcie się” stały się zaczynem festiwalu Solidarności roku 1980. Polacy rzeczywiście przestali się bać. Inne kraje poszły za Polską, padł mur berliński i zaczęła się pierestrojka w Związku Radzieckim.

André Frossard, autor kilku książek o Janie Pawle II, napisał: „7 czerwca 1982 r. doszło do pierwszego spotkania na szczycie papieża Jana Pawła II i prezydenta Stanów Zjednoczonych Ronalda Reagana w Bibliotece Watykańskiej”. Dwaj mężowie stanu siedzieli naprzeciw siebie na jasnych krzesłach, rozmawiając bez tłumaczy przez około godzinę. Obaj przeżyli zamachy na siebie i cudem uszli z życiem. W pewnym momencie Reagan powiedział do papieża: „Spójrz, jakie złe siły stanęły na naszej drodze, a Opatrzność je przezwyciężyła”.

Dzień po spotkaniu w Bibliotece Watykańskiej Reagan na forum parlamentu brytyjskiego odsłonił strategiczne kierunki polityki amerykańskiej, zapowiadając „wysłanie komunizmu na śmietnik historii” dzięki „wielkiemu rewolucyjnemu kryzysowi” w Europie Wschodniej. Wywoła go krucjata wolności, która rozpocznie się w Polsce gwałtownym wybuchem niepokojów społecznych. W pewnym momencie Reagan wypowiedział prorocze słowa: „Ten papież zmieni świat”.

Jak piszą znawcy tamtego okresu, Reagan dopiero po spotkaniu w Watykanie znacząco podkreślił wyścig zbro-



Alina Czerniakowska

jeń, stawiając Związek Radziecki na krawędzi finansowego bankructwa. Prezydent USA uczynił to wbrew niektórym doradcom, którzy uważali, iż lepiej nie drażnić rosyjskiego niedźwiedzia. Reagan jednak zdecydowanie przeciwstawił się imperium zła. W Afganistanie, Nikaragui i Angoli wprowadził sankcje gospodarcze, storpedował budowę gigantycznego transkontynentalnego gazociągu z Syberii do Europy Zachodniej (wprawdzie został otwarty, ale na znacznie mniejszą skalę), zwiększył nakłady na radiostacje Głosu Ameryki i Radia Wolnej Europy, finansował NSZZ „Solidarność” i ruchy opozycyjne w Czechosłowacji i na Węgrzech.

Zdecydowane działanie Reagana przyniosło niespodziewany efekt, ZSRR i blok wschodni nie wytrzymały wyścigu zbrojeń i gospodarczej walki ze Stanami Zjednoczonymi.

Zarówno Reagan, jak i Karol Wojtyła zmagania z komunizmem postrzegali w kategoriach duchowych: jako walkę ze złem. W dużej mierze to właśnie współdziałanie papieża i prezydenta USA przyczyniły się do upadku ZSRR i bloku wschodniego. Ronald Reagan do końca swoich dni pokazywał w swoim gabinecie zdjęcie z Janem Pawłem II, nazywając go najlepszym przyjacielem.

Do przegrania przez ZSRR wyścigu zbrojeń przyczyniła się seria wybuchów w składach amunicji tajnej bazy morskiej w Siewieromorsku na północy ZSRR (60 km od granicy z Norwegią). Władze ZSRR utrzymały to wydarzenie w wielkiej tajemnicy. Zamkniętym miastem targnęła seria eksplozji – ich liczba i dokładna charakterystyka nie są znane. Napisane po latach wspomnienia wskazują, że Siewieromorsk stał się miejscem apokalipsy. Na ulice wylegli przerażeni, nie w pełni ubrani ludzie, rzeka uciekinierów usiłowała opuścić miasto, a zdesperowane matki oddawały swoje dzieci obcym ludziom, byle tylko dać im szansę na przeżycie. Zginęło wówczas ok. 300 osób.

Seria tych wybuchów ogromnie uszczupliła arsenał wojenny ZSRR, który szykował się do III wojny światowej, o czym NATO wiedziało dzięki płk. Ryszardowi Kuklińskiemu. Opisujący to wydarzenie zauważają, że doszło do niego 13 maja 1984 r., w rocznicę Objawień Fatimskich i w kilka miesięcy po zawierzeniu świata Niepokalanemu Sercu Maryi przez polskiego papieża w marcu 1984 r.

„Jan Paweł II, Ronald Reagan i Margaret Thatcher mieli te same, zdecydowanie antykomunistyczne przekonania i podobnie oceniali sytuację w Polsce i Europie Wschodniej. Na pytanie, czy to oni obalili komunizm, z pełną odpowiedzialnością i zdecydowanie odpowiadam: tak” – powiedział John O’Sullivan, autor książki „Prezydent, papież, premier. Oni zmienili świat”, specjalny doradca Margaret Thatcher, uhonorowany Komandorią Orderu Imperium Brytyjskiego.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

Ruska onuca

Ma Nowy Jork Statuę Wolności, uznaną za narodowy pomnik Stanów Zjednoczonych. Co ma Warszawa? „Statuę niewolności”, „ruską pięść”, „kwitnącą narosł”, zrealizowany 66 lat temu „koszmarny sen pijanego cukiernika”, jak różni znani i nieznani określali Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina. „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy, co nam obca przemoc dała, nocą rozbierzemy” – śpiewali po kątach zniesmaczeni tym cynicznym „darem” sowietów. W kwestii formalnej jego wzniesienie nadzorował sam Mołotow. Ten sam, który wcześniej dogadał z Ribbentropem kolejne wymazanie naszego kraju z mapy i granicę rosyjsko-niemiecką na Wiśle.

Dziś polskie społeczeństwo „śpiewa” inaczej. Tak w każdym razie wykazuje sondaż wPolityce.pl, w którym zaledwie 11 proc. ankietowanych jest za rozbiórką tego reliktu naszej tragicznej historii, a aż 77 proc. przeciw. Ciekawe, co odpowiedzieliby ci sami respondenci, gdyby pytanie: „Czy popiera Pani/Pan wyburzenie Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie?” postawić inaczej: „Czy popiera Pani/Pan okazały pomnik mordercy na grobie Pani/Pana matki, ojca, córki lub syna?”. Że przesadzam? Bynajmniej! Miliony naszych rodaków, walczących byśmy mogli żyć w wolnym kraju i decydować o własnym losie, leży pod ziemią – zarówno przed, podczas, jak i po wzniesieniu tego sowieckiego monumentu trwały walki z niezłomnymi, planowe mordowanie najlepszych

córek i synów naszego narodu, odbywały się fingowane procesy polskich patriotów, jak niespełna 18-letniej „Inki” – Danuty Siedzikówny, lata represji i prześladowań.

„Dziękujemy Wam, Towarzysze”, brzmiał tytuł relacji w „Życiu Warszawy” z otwarcia pałacu, symbolu sowieckiej dominacji sterczącego na ruinach Warszawy. Ostatnią ofiarą narzuconego nam systemu był młody naukowiec, który dokonał samobójczego skoku z PKiN po wyrzuceniu go z pracy w stanie wojennym za działalność w podziemnej „Solidarności”.

Nie mamy pomnika obalenia komunizmu, którym Polska zapoczątkowała rozpad tzw. bloku sowieckiego, wciąż nie mamy pomnika zwycięstwa nad bolszewikami w 1920 r., mamy... ruską onucę, architektoniczną zmurę, na którą natykają się wszyscy przyjezdni po wyjściu z dworca Warszawa Centralna, która jak szkło w oku zakłóca śródmieście stolicy i, co najgorsze, nadal góruje w sferze mentalnej.

„Powiedzcie mojej babci, że zachowałam się, jak trzeba” napisała Siedzikówna w grypse tuż przed śmiercią. Więc spytam jeszcze raz: czy popiera Pani/Pan pomnik mordercy na grobie Pani/Pana bliskich...?



**Piotr
Cywiński**

GORĄCE PYTANIA

ZOSTAŃ W DOMU I OGLĄDAJ

W POLSCE PL

polsat box
wcześniej Cyfrowy Polsat

NA POZYCJI

196



NA POZYCJACH

339

dekoder
Mediabox

121

dekodery
KAON i Horizon



NA POZYCJI

32

N E T I A

NA POZYCJI

192

VECTRA

NA POZYCJI

825

PRZEZ ŚWIETLIK

A wszyscy porównują



**Wiktor
Świetlik**

Nijakość, małość czy nawet zwykła ludzka przeciętność – do których w końcu trudno mieć pretensje, że występują – stają się problemami, gdy następują po wielkości. To w dużym skrócie największy problem papieża Franciszka, czyli argentyńskiego purpurata Bergoglia, który wstąpił na piotrowy tron krótko po Janie Pawle II.

Zauważyłem, że nie broni go już nikt. Sam, choć z wiarą i religijnością u mnie bywało w kratkę, mam taki odruch, by Kościoła raczej najpierw bronić, a potem się zastanawiać. Bo uważam, że jest podstawą, na której jako Polacy i ludzie stoimy, ale też dlatego, że od 30 lat jest głównym celem ataku rozmaitych stalinowskich pociotków, wypełniających łamy jedynej słusznej gazety. I dlatego też, że całe te od urodzenia pozbawione głębszej refleksji elitki medialno-artystyczne uwielbiają go kopać. Poza tym mam paru dobrych kumpli księży, a porządni ludzie wiedzą, że kumpli trzeba bronić, choćby skały grzmiły, czy jak to tam się mówi.

Ale w przypadku Franciszka zauważyłem, że już nawet tacy, którzy zawsze bronili, w najlepszym wypadku milczą. Ci, którzy za żadną cenę nie chcieli dopuścić do siebie myśli, że bywali księża, a nawet biskupi esbecy, i bywają księża pedofile. Nawet oni wymiękają. Milczą w najlepszym razie.

W gruncie rzeczy największym problemem nie jest to, że papież głądzi coś tam o „szczekaniu NATO”, zresztą różnie

jest to interpretowane. Chodzi o to, że w ogóle go nie ma. Nigdzie tyłu katolików i grekokatolików nie modli się teraz co na Ukrainie, nigdzie tyłu nie ma ku temu powodów. Papieża nie ma. Wydaje oświadczenia, które źle, dwuznacznie brzmią, i nie bierze ich jednoznacznie w opiekę. Zachowuje się jakby stawiał znak równości między obiema stronami walczącymi. Gdy wojska rosyjskie były niemal w Kijowie, apelował do obu stron o pokój. Pokój oznaczałby masowe gwałty i mordy. Wywózki i prześladowania.

Przecież Franciszek nie jest rosyjskim agentem i raczej też nie mówi tego ze złej woli. Chyba po prostu średnio rozumie rzeczywistość doczesną. Wątpię zresztą, czy jest jakimś mistrzem w pojmowaniu uniwersaliów i kwestii wiecznych. Swojego czasu rozgorzał spór o to, czy w czasach rządów dyktatury w Argentynie jako przełożony tamtejszych jezuitów i biskup Buenos Aires, pomagał prześladowcom czy prześladowanym. Żadna ze stron nie dostarczyła przekonujących dowodów.

I taka jest prawda o tym przeciętnym emisariuszu Opatrzności, który nieszczęśliwie trafił na czasy wymagające wielkości, a w dodatku nastąpił krótko po wielkości, do której jest porównywany. Pewnie i w tym jest jakiś plan, ale by to ogarnąć, zdecydowanie jestem zbyt małuczki. 

Suflowanie

Kilka podpowiedzi dla ekipy rządzącej. W sprawach bezpieczeństwa Polaków powinniście działać bardziej dyskretnie. W naszym interesie jest to, aby Ukraina jak najdłużej walczyła „za swoją i naszą wolność”. Dlatego trzeba zaopatrywać Kijów w broń, wspierać logistycznie i lobbować za nim na forum międzynarodowym, ale bez wypowiadania wojny Moskwie! Wypowiedz gen. Skrzypczaka o potrzebie zajęcia przez polskie wojsko obwodu kaliningradzkiego jest szczytem ignorancji i może nas słono kosztować. W chwili, gdy masę sprzętu wojskowego (w tym wszystkie czołgi T-72) oddaliśmy Ukrainie, a przybiecane Abramsy jeszcze nie nadeszły – prowokowanie Rosji jest skrajną nieodpowiedzialnością. Nie mamy dziś ani wystarczającej ilości broni, ani wojska czy rezerwistów, by skutecznie się bronić, a co dopiero najeżdżać Kaliningrad. Jeśli Putin planuje wykonać na Polskę prewencyjne uderzenia jądrowe – podaliśmy mu właśnie pretekst na tacy.



**Lech
Makowiecki**

W tak trudnych czasach bezcenne są wiarygodne sojusze. Konflikt na Ukrainie wykazał, że dla Niemiec i Francji (rządzących de facto UE) ważniejsze od naszego bezpieczeństwa są interesy z Rosją. Notoryczne finansowe nękanie Polski za wymagowane „nieprzestrzeganie praworządności” (i to w chwili, gdy ponosimy proporcjonalnie największe koszty wspierania Ukrainy i uchodźców) jest działaniem wrogim naszemu państwu. I jako takie powinno spotkać się ze zdecydowaną ripostą polskiego rządu, z budżetowym szantażem włącznie!

Skutecznych sojuszników należy szukać wśród krajów zagrożonych przez Rosję (Europa Środkowa, Skandynawia). I wśród anglosaskich członków NATO. Nie rozumiem, dlaczego nie przywrócono krótkiego, ale intensywnego szkolenia wojskowego wszystkich mężczyzn? Pozwólmy przynajmniej niekarany i psychicznie zdrowym Polakom bez nałogów na posiadanie broni. W dobie realnego zagrożenia wojennego i masowych, niekontrolowanych migracji mamy niezbywalne prawo do samoobrony. 

Michał Korsun prezentuje: *Szefrosyjskiej dyplomacji Sergiej Ławrow na dywaniku*



Wycinki z *przeszłości*



Przyjaciół Młodzieży” – przedwojenne pismo o charakterze katolickim – donosił w numerze sierpniowym z 1927 r.: „W czerwcu student Rosjanin, nazwiskiem Kowierda, zastrzelił w Warszawie posła bolszewickiego Wojkova. Bolszewicy wysłali z tego powodu dwie ostre noty do Polski. Rząd polski odpowiedział na nie ze spokojem. Kowerdę oddano pod sąd doraźny i skazano na dożywotnie więzienie. Bolszewicy, mszcząc się za zabójstwo Wojkova, uprowadzili porucznika Korpusu Ochrony Pogranicza Janiego, który, zabłądziwszy, przekroczył granicę. Oskarżyli go w Mińsku o szpiegostwo i mieli go rozstrzelać. Również organizują bolszewicy na polskiej granicy bandy dywersyjne, które mają szerzyć popłoch na terytorium polskim”. Brzmi znajomo? Wiek niemal minął, sowieci oficjalnie zniknęli, metody zostały. Dlatego powyżej pokazujemy piękną monetę kolekcjonerską wydaną przez Narodowy Bank Polski, która została poświęcona współczesnym obrońcom wschodniej granicy.

(mk)



Leszek *Długosz*

Te wiosny, te maje... Co na płótnach, w strofkach zostają

Jerzy Harasymowicz (1933–1999)
„Dom w Bortnem”

*Gospodyni wyszła przed dom
– zwołuje kaczenie z łak
sypie – światło*

*Jasnozielone lampy lasu
palą się
pod błękitem*

*Gospodarz buduje wóz
pojedzie po siano
na drugą stronę nieba*

*Siedzimy przy stole
zranionym jak brzoza
Między nami chleb
dany na drogę*

*W zagrodzie
trzmiel porykuje do róży
Poświęcana palemka
chroni dom
przed burzą jaskółek*

*Trzepot czarnych serafinów
znad łak*

*Wiosna
podchodzą buki
wypalone
wspomnieniem*

*Jeszcze nie ma liści
to szeleści światło
dobre rano*

*Wiosna maj
liście rozświećta nadzieja*

*Pąki buczyny
świecące palce Boga
błogosławią Bortnianom* 

*Butwieje
rozpada się brodaty
krzywdy pień*

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika			
CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Proste liczby

Czasem proste liczby pozwalają lepiej zrozumieć złożone zjawiska społeczne. Dr Barbara Fedyszak-Radziejowska zwróciła naszą uwagę na liczby „123” oraz „104”. My dodamy jeszcze „300” oraz superliczbę: okrągły miliard.

123 OD DRUGIEJ STRONY

123 – tyle lat nie istniało państwo polskie. Ale zazwyczaj patrzymy na tę liczbę od naszej, polskiej strony. Barbara wskazała, że liczba ta w pewien sposób określa coś wspólnego dla trzech ważnych także w dzisiejszej polityce europejskiej krajów: Austrii, Niemiec i Rosji.

Przez kilka pokoleń elity i społeczeństwa tych krajów miały podstawy, by ugruntować sobie poczucie dominacji i wyższości wobec Polaków. Przecież okazały się silniejsze, potrafiły nas podbić i panować nad nami tyle czasu.

W dzisiejszej polityce europejskiej – rzekomo opartej na partnerstwie – to poczucie wyższości i posiadania niekwestionowanych racji nadal jest obecne. Także w sposobie, w jaki politycy oraz media Austrii i Niemiec traktują nasze spory z Brukselą. Nie ma co się na to obrażać. Oto historyczna rzeczywistość: przez całą XIX w. nie było nas na mapie świata, i odczucie naszej podrzędności głęboko odczytywać się musiało w mentalności nawet najbardziej światłych Europejczyków. Nawet gdy szczerze deklarują dobrą wolę w relacjach z nami, to i tak z tyłu głowy tkwi pamięć dawnej dominacji.

Gdy Zachód się rozwijał, zawierał sojusze strategiczne, my toczyliśmy ciężki bój o codzienne przetrwanie polskości. Wtedy pojęcia chyba oczywistego, dziś wykrzywanego na wszystkie możliwe sposoby. I nadal ten bój toczymy, choć co do polskości coraz trudniej wypracować kompromisy.

104 Z NASZEJ STRONY

Z tym poczuciem tak długo trwającej przewagi dawnych zaborców kłóci się



Jak policzymy, ile faktycznie czasu „dała” nam Europa na zarządzanie naszego polskiego domu po swoim, według naszego instynktu wolności i naszej pracowitości, to zobaczymy, iż nie mamy czego się wstydzić

dzisiejszy obraz Polski. Kraju ambitnego, szybko rozwijającego się gospodarczo, który samodzielnie organizuje swoje sojusze. Tu elity dawnych krajów zaborczych czują dysonans. Zamiast cicho siedzieć w miejscu, do którego przypięły nas zaborcy, pytamy Niemców: gdzie reparaacje za zniszczenia Polski w czasie okupacji, za eksploatację naszej siły roboczej, za zamordowanie milionów polskich obywateli? Za zamordowanie – nie po prostu za zabicie w działaniach wojennych.

Te „104” – okres naszej niepodległości – jest mniejszą liczbą niż czas zaborczej podległości. Jak bardzo jest to liczba mniejsza, uświadomimy sobie, gdy odejmiemy od niej czas niemieckiej okupacji, a potem okres komunizmu.

Jak policzymy, ile faktycznie czasu „dała” nam Europa na zarządzanie naszego polskiego domu po swoim, według naszego instynktu wolności i naszej pracowitości, to zobaczymy jasno, iż nie mamy czego się wstydzić. Mało który naród w takich warunkach uzyskałby tak wiele. Już nie mówiąc o otwarciu ramion i naszych domów dla kobiet i dzieci z Ukrainy.

PRAWIE 300

W 2016 r. historyk Arkadiusz Stempin zauważył: „Układy dłuższe i krótsze zawarte między przywódcami Niemiec i Rosji od niemal 300 lat wyznaczają bieg historii Europy i zgubnej konsekwencji dla Polski. Rura na dnie Bałtyku transportująca gaz do Niemiec jest tego ostatnim wyrazem. Dość powszechne przekonanie o układzie niemiecko-rosyjskim, wiszącym nad polskimi głowami jak miecz Damoklesa, wyrosło na podglebiu polityki Fryderyka II, Bismarcka, Hitlera, a nawet powojennych kanclerzy RFN, kontynuujących niemiecko-rosyjskie konszachty. Wspólne kąpiele kanclerza Helmuta Kohla i Borysa Jelcyna czy Gerharda Schrödera i Władimira Putina pasują do tego modelu jak ułaj”.

1 000 000 000

Rzecznik rosyjskiego MSZ Maria Zacharowa uległa ostatnio osobliwym egzaltacjom. W reakcji na wypowiedź Piotra Głińskiego, tłumaczącego wyciszenie kultury rosyjskiej w przestrzeni publicznej jako wyrazu protestu przeciw agresji Putina na Ukrainie, pyta: „Polski ministrze kultury, kim jesteś, by coś takiego mówić? Kim jesteś? Kto ci dał takie prawo? Nie starczy ci miliarda lat, by nauczyć się przedmiotu, który chcesz zlikwidować. Nie jesteś w stanie nawet wyobrazić sobie jego granic”.

Błędnie przy tym hitlerowska wizja Tyśiąclecia Rzeszy.

**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**

Do czytania i słuchania

e-prenumerata

SIECI

50% taniej

+3 audiobooki
GRATIS!



Zamów już dziś na

www.siecprzyjaciol.pl



ZESKANUJ KOD I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE

nawet kiedy śpisz



WEJDŹ NA:

wPolityce.pl